



Sophia James



Kochanka doskonała

Prolog

Anglia, 1794 rok

Z uśmiechem musnął dłonią jej policzek, patrząc z zachwytem, jak słońce rozświetla rudoblond włosy Eloise St Clair. Uchyliła się, lekko zniecierpliwiona. Już się pozapinała, zdążyła nawet zasznurować buty. Maxwell żywił nadzieję, że czerpała taką samą radość jak on z ich namiętnego zbliżenia. Sięgnął do kieszeni. Na jedwabnej wyściółce pudełeczka załśnił złoty medalion.

Miał to być znak.

Znak, że ona powie „tak”.

- Eloise - odezwał się drżącym głosem, zażenowany, że nie potrafi zapanować nad sobą.

- O co chodzi, Maxim?

Użyła zdrobniałej formy jego imienia, jakby był małym chłopcem, podczas gdy on czuł się mężczyzną.

- Przyniosłem ci coś. Nam - poprawił się. Zainteresowała się maleńkim złotym przedmiotem.

- Prezent?

- Żebyś o mnie myślała.

Obserwował w napięciu, jak otwiera zameczek.

- Wyrześ to dla nas?

Pokiwał głową.

- To zamiast pierścionka, Elli, zaręczynowego pierścionka. Do czasu, aż będziemy pełnoletni i się pobierzemy.

- Twój rodzice mnie nie akceptują. Ojciec słyszał o tym w kościele, a on nie kłamie.

Słońce skryło się za chmurami, niebo poszarzało, w lesie zrobiło się ponuro i chłodno.

- Jak będziemy starsi, nikt nam nie będzie mówił, co mamy robić.

Potrząsnęła głową. Złotorude loki wysypały się spod aksamitnej opaski, sięgały talii.

- Matka wywiezie cię do Londynu i zapomnisz o mnie. Jestem tylko córką duchownego.

Po raz pierwszy, odkąd się poznali przed dwoma laty, dosłyszał się w jej głosie nutki rozzalenia, ale ponieważ rzadko miewał nad nią przewagę, kuł żelazo póki gorące.

- Połączmy się w obliczu nieba teraz, w tej chwili. W tym lesie. - Wyciągnął nóż. - Węzłem krwi. Twojej i mojej.

Błysk w jej oczach zachęcił go do działania. Przyłożył ostrze do nadgarstka i przeciągnął w poprzek żył. Krew zaczęła spływać po wewnętrznej stronie jego dłoni, ściekała kropelkami z palców.

Podąła mu dłoń. Kamień spadł mu z serca, że nie zemdlą, gdy cienkie ostrze przecinało jej skórę. Złączyli krwawiące ręce pod kątem prostym, tak by utworzyły krzyż. Symbol ich związku na wieki.

- Jeśli rodzice nie zgodzą się na nasz ślub, uciekniemy, prawda?

- Myślisz, Maxwellu, że nie będą nas szukać, że nie użyją wszystkich swoich wpływów, żeby nas rozłączyć?

Eloise posmutniała. Przeczynała, co nastąpi. Poczł się nieswojo. Zabrał rękę. Zdziwił się, że aż tyle krwi wsiąkło w mankiet lnianej koszuli.

- Odprowadzę cię do domu.

- Nie trzeba. Sama dojdę szybciej.

Dotknęła palcem jego policzka i już jej nie było. Ból nadgarstka wzmagął się, gdy patrzył, jak ukochana oddała się biegiem z miejsca schadzki.

Rozdział pierwszy

*Zamek Penleven,
Kornwalia, kwiecień 1816 roku*

- Co powiedziała?! - wykrzyknął książę Penborne, a Leonard Lindsay cofnął się o krok.

- Caroline Anstretton powiedziała, że kiedyś łączył was intymny związek. Zapewniała, że dzisiaj to sprawa zamknięta, ale większość gości i tak była przekonana, że ciągle jeszcze żywi do ciebie uczucie.

Kuzyn relacjonował zdarzenie już po raz drugi, ale gniew Thorntona Lindsaya, księcia Penborne'a, był tak samo wielki jak za pierwszym razem, choć wiedział, że Leonard nie ponosił żadnej winy. Rozumiał przecież, że posłaniec nie zasługuje na kulkę w łeb tylko dlatego, że przynosi złe wieści.

- Twierdzisz, że ta kobieta rozgłasza, że byłem jej kochankiem?

- Owszem.

- Czy to jakaś prostytutka?

- Zdecydowanie nie sprawia takiego wrażenia.

- A zatem szpetna?

Zadał ostatnie pytanie wbrew sobie, wiedząc, jak wygląda jego twarz, ale musiał wiedzieć, z kim ma do czynienia.

- Jest jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek widziano w Londynie. Opowieści o jej urodzie nie schodzą z ust od czasu, gdy pojawiła się w mieście. Przysięgłbym, że mimo tego niebywałego wyznania, znalazłaby się setka amatorów zawarcia z nią bliższej znajomości, gdyby dała im szansę.

- Szansę? Na co?

- Na zdobycie jej przychylności. Wszyscy łamią sobie głowę, czy jest ktoś, kto już korzysta z jej faworów, wygląda bowiem ona... na doświadczoną łowczynię męskich serc.

Leonard zniżył głos. Starał się uchodzić za kogoś, kto brzydzi się plotkami, w rzeczywistości jednak lubował się w roztrząsaniu skandali towarzyskich.

- Powiadają, że była krótko zamężna za francuskim generałem.

- Nie traciła zatem czasu.

Ironia uszła uwagi kuzyna. Thornton, śmiejąc się, pogładził dłonią policzek. Blizny były wyraźnie wyczuwalne pod palcami. W bezsenne noce wracało wspomnienie kanonady artyleryjskiej. Po dwóch latach, które upłynęły od tamtego dnia, wciąż pamiętał swąd spalonego ciała, piekący ból twarzy i tygodnie w malignie.

Wyrybanie sobie drogi z piekła zajęło mu aż pięć miesięcy, a kolejnych siedem trwała rekonwalescencja w L'Hôpital des Anges, Szpitalu pod Aniołami, w południowo-zachodniej Francji. Za każdym razem, gdy spojrział w lustro, ożywały na nowo wojenne koszmary.

Skrzywił się. Nie był człowiekiem próżnym, ale nie dojrzał jeszcze do powrotu na salony i tego wszystkiego, co się z tym wiązało.

Jeszcze nie. A jeśli nie teraz, to kiedy?

Podszedł do okna, za którym szumiało otwarte morze. Huk przyboju odbijał się o skały poniżej murów zamkowych.

Penleven - dom, bezpieczne schronienie, azyl.

Tu się ukrył, lizał rany i zbierał siły. Nie opuszczał tego miejsca niemal od roku, nie zważając na plotki, jakie szeptem wiązano z jego nazwiskiem: pokancerowany odludek, dziwak, samotnik.

Czy ma na nowo angażować się w życie towarzyskie tylko dlatego, że jakaś kobieta o ptasim mózdzku postanowiła rozpowszechniać kłamstwa, że obdarzyła go względami, a inni mieli ochotę tego słuchać?

Caroline Anstretton. Potrafił wyobrazić sobie jej twarz: alabastrowej białości cera i wyraz litości w oczach.

Wrócił do domu, by zaznać spokoju i samotności, żeby się ukryć. Nie bał się do tego przyznać.

Blady promień słońca padł na jego lewą dłoń. Wiosna niesie nowy początek, a jedyne, co czuł, to przenikający do kości chłód zimy i nagość blizn opalizujących w nieśmiałym świetle słonecznym.

Leonard niespokojnie poruszył się za jego plecami. Thornton był pewny, że sięga w tej chwili po karafkę z brandy, by wypić dla kurazu. Ostatnimi czasy, ile razy się spotykali, twarz kuzyna była coraz bardziej ziemista.

Thornton zastanawiał się, czy kuzyn nie choruje. A może tak na niego działał pobyt w Penleven, gdy uświadomił sobie utratę wszelkich widoków na odziedziczenie tej posiadłości? W końcu przez pięć lat samodzielnie gospodarował na zamku, gdy on walczył na kontynencie europejskim. Thornton zastanawiał się, jak by się czuł na miejscu kuzyna, i doszedł do wniosku, że melancholia Leonarda była w pełni uzasadniona. Życie w uzależnieniu finansowym od bogatszych członków rodziny na pewno nie należało do najłatwiejszych.

Trwał ciągle w bezruchu, laska zdejmowała ciężar z jego lewej nogi.

- Jestem przekonany, że te nedorzeczne oskarżenia ucichną do końca tygodnia, a ci wszyscy, którzy poświęcili im tyle uwagi, zajmą się roztrząsaniem kolejnego skandalu - powiedział.

Słyszał irytację we własnym głosie i starał się ją pohamować.

- Mogłoby się tak zdarzyć, gdyby nie Excelsior Beaufor-Hughes - zauważył Leonard.

- Beaufort-Hughes?

- Powiadają, że był o krok od wygrania ręki tej dziewczyny w wista, i głośno sarknął, że księżę krwi otwarcie zadaje się z młodą damą... o podejrzanej reputacji.

- Młodą damą?

- Nie dałbym jej więcej niż dwadzieścia lat.
- A co z jej rodziną? Skąd są?
- Ma brata. Cieszy się równie złą reputacją jak ona. Karciarz.

Hazardzista i kłamczucha!

Przez chwilę Thornton poczuł... zainteresowanie. Takiego uczucia nie doświadczył od lat i sprawiło mu to radość. Wszystko jest lepsze od nudy, która mu ostatnio doskwierała. Ciekawe, dlaczego ta dziewczyna łże? Ponieważ nie spodziewa się, że on się zjawi i zada kłam jej słowom. To oczywiste.

- Możesz pojechać ze mną i położyć temu kres - stwierdził Leonard. - Dla dobra naszego nazwiska lepiej nie pozostawiać sprawy bez wyjaśnienia.

Thornton się skrzywił. Nazwisko Lindsayów było zamieszane w niejedno. Gdyby Leonard wiedział choć połowę tego, co on robił na kontynencie w imię kraju i króla! Śmieszyła go dbałość kuzyna o zachowanie pozorów. Towarzyskie maniere i rytuały decydujące o sprawach życia i śmierci w dalekich krajach...

O życiu Lillyanny. Do pewnego stopnia o jego życiu.

Nagle poczuł się zmęczony kłamstwami tej Anstretton i troską kuzyna o nazwisko Lindsayów. Z tego powodu pozwoliby się zaciągnąć do Londynu?

A jednak cała ta afera działała nań ekscytująco. Piękna kobieta rozsiewająca plotki w towarzystwie w poczuciu bezkarności? Kobieta najwyraźniej licząca na efekt teatralny. Interesujące. Jakie okoliczności mogły ją skłonić do takiego postępowania?

Uśmiechnął się.

W końcu szpiegostwo było jego drugą naturą. W zagadkowym zachowaniu Caroline Anstretton było coś zastanawiającego. Niecałych dwadzieścia lat i już ze zrujnowaną reputacją. Piękna, przewrotna i gotowa na wszystko. Skąd ta myśl? Pobyt w Londynie będzie wymagał poświęcenia. Wspomnienie ostatniego wypadu do miasta było wciąż świeże w jego pamięci. Ci, którzy znali go sprzed wojny,

przyglądali mu się, nieumiejętnie ukrywali współczucie, szeptali między sobą.
„Dawniej... Kiedyś... Pamiętam, jak...”

Tylko tydzień, obiecywał sobie, choć wiedział, że źle robi. Tydzień w mieście i wróci do domu.

Nie powinna tego mówić. Nie powinna mieszać w to nazwiska tego dziwaka, ale chodziło o przetrwanie. Nie miała wyjścia.

Excelsior Beaufort-Huges, hrabia Marling, był stary i oblesny. Trzymając koronkową chusteczkę tuż przy nosie, w obecności wszystkich gości na przyjęciu u lady Belindy Forsythe odezwała się w te słowa: „Thornton Lindsay, książe Penborne, był kiedyś moim kochankiem i po nim nie dopuszczam nawet myśli, że mogłabym spać z panem”.

Caroline wciąż pamiętała milczenie, jakie zapadło po tym oświadczeniu, poprzedzone głośnym „ach!” zebranego towarzystwa, i zaciętrzewienie, z jakim stetryczały wielbiciel domagał się od jej brata rekompensaty za przegraną.

Rekompensaty w postaci ciała Caroline.

Uratowała ich późna godzina, bo podchmieleni goście zaczęli się wymykać na inne imprezy towarzyskie, zostawiając ją i Thomasa, żeby sami znaleźli wyjście z tej godnej ubolewania sytuacji.

Wyjście! Tylko jakie?

Upłynął tydzień od tamtego wydarzenia i teraz książe Penborne miał w każdej chwili pojawić się na balu u Wilfredów. Puls Caroline przyspieszył. Książe, samotnik z wyboru, na pewno nie ucieszy się nadmiernie jej fałszywym świadectwem. Obok niej stała lady Dorothy Hayes, niemłoda dama o uznanej pozycji wśród londyńskiej socjety, i mówiła na głos to, co wszyscy obecni myśleli po cichu.

- Lindsay rzadko opuszczał Kornwalię od czasu powrotu z wojny na kontynencie. Służył w randze kapitana pod rozkazami Wellingtona. - Lady Dorothy zamilkła na chwilę dla wywołania większego efektu, po czym dodała: - Był

oficerem wywiadu, jeśli wierzyć plotkom, i wielu twierdzi, że w tej roli zapomniał, iż ma serce. Książę bez serca. Człowiek stroniący od ludzkiego towarzystwa.

Caroline czuła pot zbierający się w rowku między piersiami. Po przybyciu do Londynu nie znalazła uznania w oczach wielkich dam z towarzystwa, kobiet, za którymi przemawiały nieskazitelne maniery i wielkie majątki, nie mówiąc o mężach na wpływowych stanowiskach na dworze królewskim. Jednak jeszcze nigdy nie znajdowała się w takiej izolacji jak teraz. Przecież sama się przyznała, że należy do półświatka, i zaproszenie na takie wydarzenie jak obecny bal zawdzięczała wyłącznie zaciekawieniu skandalem. Przybywała z mrocznego podziemnego świata, z ciemnego zaułka życia towarzyskiego, gdzie w blasku poważania krążą rekiny hazardu i stręczyciele, czyhając na okruchy ludzkie, żeby je wykorzystać w swoich egoistycznych celach.

Kobieta upadła.

Wydobyta na światło dzienne, bo taki był przelotny kaprys socjety.

Czuła się źle i zastanawiała się, czy nie jest chora, gdy nagle tłum rozstał się i do salonu wkroczył wysoki mężczyzna z twarzą osłoniętą wysoko postawionym kołnierzem. Okrzyknięcie jej kłamczuchą powinno zająć Lindsayowi najwyżej sześć sekund. Cisza, jaka zapanowała na jego widok, była bardziej wymowna niż szeptane plotki.

Caroline nie widziała jego twarzy, zauważyła jedynie, że mocno wspiera się na hebanowej lasce. Stanął tuż obok. Opuścił kołnier, ignorując stłumione okrzyki zdziwienia na widok jego twarzy. Skłonił się jej swobodnie. Na lewym policzku krzyżowały się głębokie bruzdy blizn, lewe oko zasłaniała skórzana opaska. Guziki surduta odbijały jaskrawe światło kandelabrow i słały tęczowe refleksy na posadzkę.

- Przypuszczam, że mam do czynienia z panną Caroline Anstretton?

Zaczepty ton wytrącił ją z równowagi. Miała ochotę się wycofać.

Bursztynowej barwy oko przygwoździło ją do miejsca.

- Rozumiem, że panią i mnie łączy pewna historia.

Zlustrował ją pobieżnie. Na pewno zauważył przesadny makijaż, ale skupił spojrzenie na rękach. Natychmiast przestała miętosić chusteczkę i postanowiła ratować sytuację.

- Może mnie pan nie pamiętać - odezwała się przesadnie wysokim głosem.

Nie zwracała uwagi na chichoty kobiet obserwujących scenę.

- Oczywiście jest pan bardzo zajęty...

- Wątpię, pani, bym kiedykolwiek o niej zapomniał.

Obrzucił sugestywnym spojrzeniem jej figurę. Caroline zatrzepotała rzęsami i przywołała na pomoc cały swój talent aktorski.

- Raczy pan sobie ze mnie żartować, wasza wysokość.

Dobrze, że obfita ruda peruka zasłania policzki i nie widać, jak pokrywają się rumieńcem, pomyślała. Żeby tak mieć się gdzie schować. Jakże trudno było grać przed mężczyzną, z którego twarzy biła żywa inteligencja. Serce łomotało jej w piersi. Rozmowy wokół nich stały się głośnie i ludzie zaczęli się rozchodzić. Boże, pomóż mi, myślała, biorąc głęboki oddech. Pomóż, pomóż.

Nieoczekiwanie spojrzenie jego jedyne go oka skrzyżowało się z jej wzrokiem.

- Byłem dobrym kochankiem?

Zapytał tonem świadczącym o tym, że nie obchodzi go odpowiedź, i w tym momencie Caroline zrozumiała, że on nie dba, co myślą o nim w towarzystwie, i jest o wiele bardziej niebezpieczny niż wszyscy mężczyźni, z jakimi do tej pory miała do czynienia.

Opuściła ją odwaga. Bezzębny uśmiech Excelsiora Beaufort-Hughesa wydał się nagle mniej przerażający od stalowego spojrzenia stojącego naprzeciwko niej mężczyzny.

Poczuła się obca, nie na miejscu i niepewna. Co to za człowiek, że wystawia się tak otwarcie na zniewagę i dobrze się bawi z tego powodu?

Wzięła się w garść. Cały Londyn wiedział już, że jest kobietą upadłą i porzuconą kochanką księcia Penborne'a. A może nawet kimś jeszcze gorszym.

Natomiast ten sterany wojną żołnierz stąd pochodził. Tu był jego dom. Wiedziała, że mając takie blizny, musiał się porządnie nacierpieć.

- Był pan najbardziej wytrawnym kochankiem, z jakim miałam przyjemność być.

Powiedziała to bardzo wyraźnie, żeby nawet ci, którzy nasłuchiwali w milczeniu w najdalszym kącie salonu, mogli dosłyszeć jej słowa.

Po raz pierwszy zauważyła błysk rozbawienia na jego twarzy.

- Ile pani ma lat?

Nie spodziewała się, że o to zapyta.

- Dwadzieścia.

- A zatem jest pani dość dorosła, by wiedzieć, że nie igra się z ogniem, bo można się poparzyć.

Rozejrzał się po zgromadzonym tłumie z pogardą i lekceważeniem. Pomyślała, że nie jest taki zdystansowany do świata, jak o nim myślano. Wielu zaczynało spoglądać pod nogi i usuwać się nerwowo na boki. Musiał być kiedyś bardzo przystojny. Nawet teraz szeptały o nim z podziwem młode dziewczyny.

Z tą pokancerowaną twarzą, wsparty na hebanowej lasce, onieśmiała obecnych brutalną siłą osobowości do tego stopnia, że nie komentowali kalectwa, jakie odniósł na wojnie.

To było wielkie zwycięstwo, podziwiała go.

- Może dojdziemy do porozumienia?

- Słucham? - Zaskakująca sugestia, pomyślała.

- Wydaje się, że poszukuje pani protektora. Jestem zainteresowany odnowieniem znajomości z pani wdziękami. Gdzie jest pani brat?

Stał nieruchomo, wyczekując. W innych okolicznościach byłby naprawdę groźny.

- Nie jestem pewna, czy wasza wysokość dobrze zrozumiał sytuację... - zaczęła, ale zamilkła, bo z pokoju karcianego przepychał się ku nim przez tłum Thomas.

- Pan jest bratem? - Głos Thorntona Lindsaya tylko z pozoru był uprzejmy. Thomas denerwował się tak samo jak ona. Pokiwał głową i się zaczerwienił.

- Pańska siostra ogłosiła światu, że ona i ja kiedyś byliśmy sobie bliscy - zakomunikował ksiązę. - Myślałem, że moglibyśmy odnowić znajomość.

- Nie! - wykrzyknął Thomas. Na szyi wystąpiły mu żyły.

- Nie?

Książę zatrzymał tęskne spojrzenie na Caroline. Wyciągniętą dłonią zaczął wodzić wzdłuż wycięcia jej koronkowej sukni.

Wyzwanie. Najzwyklejsze w świecie wyzwanie.

Brat rzucił się do przodu w jej obronie, ale ledwo zdążył się ruszyć, wylądował na parkiecie. Żadnej szamotaniny, tylko uderzenie dłonią w miejsce, gdzie na szyi Thomasa bił puls, i ten leżał plackiem na podłodze.

W salonie zapadła cisza jak makiem zasiał. Książę pochylił się, by podnieść upuszczoną laskę.

- Gdy się ocknie, proszę mu powiedzieć, gdzie może mnie znaleźć. Z przyjemnością wynagrodzę mu wszelką poniesioną szkodę. - Wyciągnął z kieszeni wizytówkę.

- Tu jest adres. Oczekuję was oboje jutro o drugiej po południu.

I tyle go było. Wolno schodził w dół marmurowymi schodami.

Zostali ograni przez mistrza. Z dziecinną łatwością. Caroline nie patrzyła ani w prawo, ani w lewo, pomagając wstać Thomasowi. Wkrótce i oni opuścili towarzystwo.

- Wiesz co, Thomasie? Myślę, że Penborne jest inny, niż myśleliśmy.

Caroline zanurzyła ściereczkę w zimnej wodzie i przyłożyła kompres na guzie, który wyskoczył na głowie brata od uderzenia o posadzkę.

- A co myśleliśmy?

- Że będzie chciał za wszelką cenę uniknąć skandalu i nie ruszy się ze swojego zamku w Kornwalii, bo jest mu obojętne, co sądzi się o nim w towarzystwie.

- Szkoda, że tak dogryzłaś Excelsiorowi Beaufort-Hughesowi. Cała ta awantura nie musiała się zdarzyć. Miałem w rękę fula, mogłem z nim łatwo wygrać, ale tobie zabrakło cierpliwości.

- Cierpliwości? Straciłeś już całą wygraną z poprzedniego tygodnia, a gość obok ciebie miał pełny kolor.

- Nie mógł mieć, bo ja miałem trzy asy.

- Ale nie miałeś asa kier. Leżał w kartach, których nie wzięłeś, bo spasowałeś. Gdybym nie wywróciła stolika i nie oświadczyła, że Lindsay był moim kochankiem, zostałabym wywieziona do wiejskiej posiadłości hrabiów Marling i byłbyś bezsilny. Prawo też na nic by się zdało.

- O mój Boże - wyszeptał Thomas.

Popatrzył na siostrę z przerażeniem. Szare spojrzenie jego oczu skrzyżowało się z jej ciemnoniebieskim. Oszust karciany, jej ukochany brat bliźniak.

- Nie możemy tu zostać dłużej, Caro. Księżę to prawdziwy bokser. Lepiej wyjedźmy przed świtem. A może powinniśmy wyciągnąć od niego te obiecane pieniądze?

Caroline ucałowała go w czoło. Nic mu się nie stało, był w formie.

- A potem wyjedziemy do Bath. Mamy zaproszenie od Heleny Alexander na przyjęcie i obietnicę przenocowania przez kilka dni. To ładna i miła dziewczyna. Widziałam, jak na ciebie spogląda.

Podeszła do lustra i wyjęła spinki przytrzymujące na miejscu perukę. Własne włosy koloru pszenicy przykleiły się od gorąca do skóry głowy. Pochyliła się i palcami przywróciła im sprężystość. Ciężki makijaż na twarzy wyglądał groteskowo w zestawieniu z krótką fryzurką na pazia.

- Lubię Anglię. Podoba mi się tutaj. Czuję się jak w domu.

- Szkoda, że tak nie jest.

Brat podszedł do kredensu i nalał sobie brandy. Caroline zmarszczyła czoło. Za dużo pił i coraz częściej narzekał na wszystko. To trwało od śmierci matki. Od ucieczki z Paryża. Zostali bez grosza i w dodatku ścigano ich.

- Są inne sposoby zaradzenia naszym problemom, Thomasie.

Rozzłościła go.

- Jakie, Caroline?

Rzadko zwracał się do niej pełnym imieniem. Wiedziała, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu. Ciemne smugi farby do włosów sprawiały, że wyglądał na zmęczonego.

- Moglibyśmy naciągnąć Lindsaya na grubą forszę. To krezus. Z pieniędzmi moglibyśmy znowu zmienić tożsamość i zacząć gdzieś nowe życie.

- Rozłożył mnie na łopatki w ciągu paru sekund. Nie zmuszę go, żeby nam dał więcej, niż zamierza.

- Pozwól mi działać. Pójdę do niego.

- Ty?

Uśmiechnęła się, słysząc ton powątpiewania w jego głosie.

- Potrafię być niesłychanie przekonująca.

- Nie jestem pewien. On jest niebezpieczny.

- Nie wyobrażam sobie, żeby mógł uderzyć kobietę.

Brat wahał się jeszcze, ale wiedziała, że się zgodzi. Zerknęła w lustro. Jej ciemnoniebieskie oczy lśniły z podniecenia. Chciała znowu ujrzeć Thorntona Lindsaya, zrozumieć, skąd się brał ten jego czar. Nawet poraniony, miał jakiś nieuchwytny urok, który sprawiał, że inni wyglądali przy nim zwyczajnie. Pewność siebie i rzeźbione rysy nienaruszonej części twarzy czyniły go jeszcze bardziej atrakcyjnym.

Włoży jasnyniebieską suknię i czółenka na obcasach, żeby wyglądać na wyższą, postanowiła. Schowam kamień do woreczka. Muszę mieć coś, czym go

powstrzymam, gdyby stało się to konieczne. Przypomniała sobie, jak łatwo uporał się z jej bratem, ale postanowiła o tym nie myśleć.

Warto ryzykować. To przeznaczenie. Poskromiła rozsądek, na krótką chwilę dała się ponieść fantazji i zaczęła sobie wyobrażać coś, co od dawna tkwiło w niej w uśpieniu.

Równie szybko powściągnęła rozbudzoną wyobraźnię.



Rozdział drugi

Popełniła błąd, że przyszła na spotkanie. Zrozumiała to, gdy książe Penborne zaprowadził ją do biblioteki i zamknął za nimi drzwi.

Dzisiaj był ubrany na czarno. Taki fason spodni, jakie włożył, widuje się raczej tylko na wsi, nie w mieście. Długie, ciemne włosy związał paskiem skóry. Nie były szczególnie wypielegnowane ani starannie ufryzowane. Światło z okna padało na blizny na jego twarzy. Wyglądał naprawdę groźnie.

Caroline kurczowo ścisnęła torebkę, która trzymała przed sobą niczym tarczę.

Co tu robi? W miarę jak uciekała z niej odwaga, miała co do tego coraz większe wątpliwości. Jak mogła być taka głupia, aby sądzić, że zdoła przechytryć tego człowieka? Boże, dopomóż, modliła się w duchu. Bała się, ale musiała doprowadzić tę sprawę do końca. Nawet małe pieniądze byłyby zbawienne dla ich pustej sakiewki. Zdjęła okrycie. Gruba wełniana peleryna przestała osłaniać jej filigranową figurę.

Przywołała się do porządku. Musi trzymać się roli. Wysunęła do przodu biust. Z zadowoleniem zauważyła, że książe zatrzymał na nim wzrok.

- Brat jest na mnie zły. Wiem, że pan także - odezwała się przyciszonym głosem.

Mała, niewinna dziewczynka. Nieźle idzie. Lekko pochyliła się do przodu, żeby wyeksponować dekolt.

- Przysłał mnie, żebym odebrała rekompensatę, którą pan w swej łaskawości nam zaoferował.

Gdyby wzrok mógł zabijać, już leżałaby u jego stóp. Śmieszność całej sytuacji była rażąca.

Skłamała, a on ją zdemaskował. Pośpieszny odwrót byłby chyba najrozsądniejszy, jednak wobec braku pieniędzy nie mogła brać tej opcji pod uwagę.

- Ile? - zapytał krótko.

Uchwycił jej dłoń. Nie bardzo rozumiała, o co mu chodzi.

- Ile? - powtórzyła jak echo.

- Ile pobiera pani za swoje usługi na rzecz mężczyzn?

Urażona, próbowała wyrwać dłoń, ale trzymał ją mocno.

Czy poczuł dreszcz, który przeszył jej ciało?

- Och, nie jestem tania, wasza wysokość.

- Nie?

Ścisnął mocno jej nadgarstek. Czy czuł jej przyspieszony puls?

- Daje pani rabat za powtórkę?

- Proszę nie żartować. Przecież nie było pierwszego razu.

- Szkoda, że nie mogli usłyszeć o tym fackie tak mocno tym zainteresowani plotkarze.

- Myślałam, że wolał pan, abym o tym nie wspominała, bo przecież nazwałam pana najlepszym kochankiem spośród wszystkich dotychczasowych i nadal nie mogę się oprzeć wrażeniu, że takiej deklaracji pan oczekiwał.

- Na jakiej podstawie pani tak sądzi?

- Bo inna by pana zraniła, zaszkodziła pańskiej reputacji. Wypuścił jej dłoń, podszedł do stolika, na której stała karafka z brandy. Nalał sobie sporą porcję.

- Reputacja to ostatnie, czym bym się martwił.

- A więc jest coś, co nas łączy, wasza wysokość.

Na potwierdzenie, jak mało dba o reputację, Caroline lekceważąco machnęła ręką, po czym zaczęła poprawiać bujne loki, ale on zignorował jej uwagę i zmienił temat.

- Gdzie pani rodzina, pani najbliżsi?

- Thomas jest jedyną moją rodziną - odrzekła.

Wzięła z jego rąk brandy, którą jej zaoferował. Przytknęła do warg pięknie rzeźbiony kieliszek. Rozgrzewający napój poprawił jej samopoczucie. Kobiety

rzadko piły brandy, zwłaszcza o tej porze dnia, ale Caroline nie była zwyczajną kobietą.

- Co z pani rodzicami?

- Nie żyją.

- A mąż?

- Też nie żyje.

- Pani brat usiłuje związać koniec z końcem przy stoliku karcianym, a pani mu pomaga, idąc do łóżka z każdym, kto się panią zainteresuje?

- Tak

Dodawła sobie odwagi, trzepocząc zalotnie rzęsami. Nie bardzo odpowiadało jej to wypytywanie, ale zależało jej na tym, żeby wziął ją za kobietę, jaką odgrywała.

- Raczej ryzykowne zajęcie, jak sobie wyobrażam, i niebezpieczne. Jest pani taka młoda.

- Młoda wiekiem, lecz stara doświadczeniem.

Znalazła to zdanie w jakiejś książce i zawsze pragnęła je wykorzystać. Nie wywarło jednak pożądanego wrażenia na Thorntonie Lindsayu. Zamiast ją podziwiać, roześmiał się w głos.

- Dlaczego wybrała pani mnie na swojego rzekomego kochanka? - spytał.

Zarumieniła się. Postanowiła być szczerą.

- Wiedziałam, że jest pan... samotnikiem, człowiekiem, który nie przyjedzie do Londynu, żeby sprostować ten drobny szczegół. Gdybym wiedziała o pańskich ranach, wybrałabym kogoś innego.

- Budzę w pani litość? - zapytał ostrym tonem, wyraźnie zirytowany.

- Litość dla pana? Wątpię, czy dopuściłby pan do tego.

Znowu się roześmiał.

- Od jak dawna jest pani kurtyzaną?

- Wystarczająco długo.

Złota tęcza jego zdrowego oka pociemniała.

- Zapłacę pani pięćdziesiąt gwinei, jeśli spędzi pani ze mną noc.

Mówił z trudem, jakby nie mógł zapanować nad głosem. Przyjrzała mu się zdziwiona.

- Pięćdziesiąt gwinei?

Nigdy w życiu nie miała tak wielkich pieniędzy. Była to suma wystarczająca, żeby rozpocząć gdzieś nowe życie. Caroline się ożywiła.

- Pięćdziesiąt gwinei - powtórzyła, jakby chciała nabrać pewności, że się nie przesłyszała.

Taka kwota rozwiązywała wszystkie problemy. Jedna noc wstydu w zamian za nową szansę. Koniec tułaczki od miasta do miasta ze stróżami prawa na karku i sumieniem obciążonym poczuciem winy.

- Dobrze, ale nie dzisiaj.

Książę spojrział na nią pytająco.

- Dzisiaj wieczorem jestem zajęta - wyjaśniła, zadając sobie w duchu pytanie, jak to zrozumiał.

- A zatem jutro wieczorem. Tutaj o szóstej.

Stał nieruchomo z rękami w kieszeniach. Skinęła głową na znak zgody i odniosła wrażenie, że chyba poczuł ulgę.

- Będę pani oczekiwał, panno Anstretton.

Nie czekając na jej odpowiedź, książę ruszył w stronę wyjścia. Za drzwiami czekał lokaj, żeby wyprowadzić ją do holu. Odwróciła się, pragnąc pożegnać gospodarza, ale biblioteka była już zamknięta.

Thornton zakorkował karafkę z brandy. Wyrzwał na dziedziniec przed domem, skąd dochodził hałas odjeżdżającego powozu.

Dlaczego był wobec niej taki hojny? Przecież za ułamek tej kwoty mógł mieć prawdziwą Wenus, w każdym razie dziewczynę prawie tak samo powabną jak Caroline Anstretton.

Prawie.

Było coś pociągającego w dotyku jej palców. W niepewności wyczierającej z oczu osłoniętych gęstymi rzęsami tak długimi, że gdy spuszczała wzrok, dotykały policzków. W przedziwnym poczuciu humoru.

Była oszustką, kłamała i Bóg wie, co jeszcze obciążało jej sumienie. Sznureczek, na którym wisiała torebka, był mocno naciągnięty, musiała tam trzymać coś znacznie cięższego od chusteczki do nosa.

Wszystko, co się z nią wiązało, było jednym wielkim fałszem.

Czuł to w każdym wypowiedzanym przez nią słowie. Każda odpowiedź na jego pytania była kłamstwem. Uśmiechnął się do siebie i ponownie napełnił kieliszek.

Praca w wywiadzie pozostawiła na nim piętno. Nikomu nie wierzył. Każdy był podejrzany, nawet piękna dziewczyna lekkich obyczajów, która robiła wszystko, żeby zauważył, jak kształtne są jej piersi, i która bez wahania przyjęła propozycję spędzenia z nim nocy.

Będzie z nią jutro wieczorem. Od lat nie był z kobietą.

Ogarnęły go wyrzuty sumienia.

- Lillyanno - szepnął.

Wspomnienie jej imienia w zestawieniu z tym, co zamierzał zrobić, napełniało go smutkiem. Pod tym smutkiem kiełkowało jednak coś, co nie pozwalało mu zrezygnować.

Caroline Anstretton, z jej uróżowanymi policzkami i szemrzącym głosem, dotknęła głębokich pokładów jego duszy, o których myślał, że dawno obumarły.

Nadzieja. Nadzieja, że znowu będzie czuł? Pięćdziesiąt gwinei to niska cena za taką przemianę.

Zawołał kamerdynera i polecił mu, aby na następną noc dał wolne służbie.

Wyciągnął z szuflady pistolet i zabrał się do jego starannego czyszczenia.

Caroline oparła głowę o wyściełane oparcie wynajętego powozu. Oddychała głęboko. Wdech i wydech. Drżącymi dłońmi poprawiała loki rudej peruki i niewidzącym spojrzeniem wpatrywała się w miejski pejzaż za oknami pojazdu.

Sprzedawała się.

Sprzedawała się pierwszemu lepszemu oferującemu najwyższą stawkę. Tą stawką jest wolność i ocalenie brata od upadku.

Brandy, która początkowo tak przyjemnie rozgrzewała, teraz obciążała żołądek. Caroline kręciła się niespokojnie na siedzeniu. Kupione z drugiej ręki pantofle uciskały stopy, a kamień w jedwabnej torebce zaczynał przecierać nadwątlone szwy.

Wycofać się ze wszystkiego.

Jeszcze nie za późno. Po prostu nie zjawi się jutro i wyjedzie z bratem z Londynu. Ale dokąd? I za co? Na kilka dni do Bath, a co potem...?

Za pieniądze Thorntona Lindsaya mogliby wynająć dom poza Londynem. Mogłaby sprzedawać portrety, a brat zająłby się pracą na roli. Zawsze o tym myślał. I o rybołówstwie. Własne jarzyny, parę kur, niewielka łódź. Wyobraźnia podsuwała widok domku usytuowanego wysoko nad zatoką.

Bezpieczeństwo za cenę utraty dziewictwa.

Caroline nagle oprzytomniała. Czy on się zorientuje? Czy możliwe, żeby mężczyzna się nie zorientował? Matka uprzedzała ją, że będzie trochę krwi i ból.

A jeśli Thomas się dowie? Trzeba coś wymyślić, żeby zmylić brata.

Suzette.

W ubiegłym tygodniu przyjaciółka zapraszała ją do siebie i Thomas podsłuchał ich rozmowę.

Caroline poprosiła woźnicę, żeby skręcił do Clapham i poczekał chwilę, aż załatwi jedną krótką sprawę. Jeśli brat się nie dowie, nie będzie się czuł zmuszony do działania. Jego poczucie honoru nie ucierpi. Co innego ona. I tak nie ma szans na dobre zamażpójście, nie musi dbać o reputację.

Tylko jedna noc, po której znajdą się w jadącym na zachód dyliżansie. Z niezłą sumką w kieszeni. Z szansą na nowe życie.

Całkiem rozsądna transakcja. Oby już było po wszystkim.

Rozdział trzeci

Caroline bardzo starannie dobierała strój. Biała muślinowa suknia była od góry do dołu zapinana na plecach na guziki, z przodu ściągnięta sznurówką aż pod piersi. Na wierzch nałożyła obszytą futerkiem aksamitną pelerynkę, sięgającą kolan po to, żeby miał co z niej zdejmować, a nie dla ochrony przed zimnem.

Rzuciła ostatnie spojrzenie w lustro. Całkiem efektowne to poświęcenie. Róż na policzkach podkreślał bladość twarzy.

- Jesteś pewna, Caro, że to dobry pomysł? A jeśli książę Penborne spróbuje zaciągnąć cię do łóżka?

Uśmiechnęła się blado.

- Nie zrobi tego, Suzette. To tylko kolacja u jego przyjaciół i późny koncert.

- Bardzo późny, jeśli mam być szczerą, skoro nie planujesz powrotu do rana.

Czy na pewno wszystko mi powiedziałaś, *chérie*?

Miała na końcu języka wyznanie prawdy, ale się powstrzymała. Nie może dopuścić do tego, żeby brat pojawił się w środku nocy w Lindsay House i zażądał zadośćuczynienia lub wyzwiał księcia na pojedynek. Ten książę to wyborowy strzelec, jak powszechnie wiadomo. Nawet jeśli jest kaleką.

Jednak tylko ona jest w stanie wydobyć ich z pułapki, w której się znajdują. Nie odpowiedziała przyjaciółce. Uśmiechając się do siebie, zawiązywała wstążki kapelusza. Do woreczka włożyła jedynie chustkę do nosa i grzebień. Bała się wetknąć jeszcze koszulę nocną, żeby Suzette nie zauważyła.

Ból rozsadzał skronie. Pomasowała je. Migrena nie może przeszkodzić w realizacji tej... propozycji. Jeśli będzie lekko oszołomiona, tym lepiej.

Drzwi otworzył jej książę. Od razu zorientowała się, że pił. Czowała to w jego oddechu, gdy zdejmował z niej okrycie. Musnął palcami jej ramiona. Gdy znalazła się wewnątrz domu, poczuła się tak, jakby opuściła znajomy świat i wyszła na nieznane bezdroża.

- Myślałem, że pani nie przyjdzie.

- Należę do kobiet dotrzymujących słowa, wasza wysokość, a pięćdziesiąt gwinei to zbyt wielka suma, żeby z niej zrezygnować.

- Rzeczywiście.

Dzisiaj szramy na jego twarzy mniej ją przerażały. Opaska na oku była z cieniutkiej skórki. Caroline miała wrażenie, że ma do czynienia z sokołem, któremu przed polowaniem zasłonięto oczy. Czytała o tym w książkach.

Sokół. Naprawdę przypominał drapieżnego ptaka. Czujny i niebezpieczny. Odskoczyła, gdy dotknął jej policzka.

- Jest pani niespokojna.

- Wczoraj jadłam bardzo późno kolację i boli mnie głowa...

Uciszył ją, kładąc palec na jej wargach.

- Ponieważ to zadanie przyniesie pani znaczną kwotę, byłbym wdzięczny, gdyby zechciała pani skupić się na tym, co do pani należy.

Pokiwała głową. W spojrzeniu księcia nie dostrzegła pańskiej wyniosłości. Patrzył na nią, nie kryjąc pożądania.

„Zadanie”. Całkiem zwyczajne słowo na określenie tego, co ma się zdarzyć.

- Liczę na to, że pomyślała pani o zabezpieczeniu się. Nie oczekiwałbym dziecka po tym spotkaniu.

- Tak, wasza wysokość - wyjąkała ze ściśniętym gardłem.

O co dokładnie mu chodzi? Jakie zabezpieczenia stosują kobiety, żeby na świat nie przychodziły dzieci?

- Jest pani świadoma, że płacę za całą noc?

Będzie więcej niż raz? Wiele razy? Ile? Klamka zapadła. Towar sprzedany, towar kupiony.

Poczuła dziwne pulsowanie. Rozum buntował się przeciwko czekającej ją radykalnej odmianie w jej życiu, ale ciało topniało w akcie przyzwolenia. Podniecenie przenikało całą jej istotę aż do szpiku kości. Wystarczyło, że raz jej dotknął.

Zerknęła na zegar nad kominkiem. Kwadrans po szóstej. Zadrżała. Jak ten czas zwolnił. Wciąż jeszcze wcześniej.

Czy zedrze z niej ubranie i rzuci się na nią na otomanie? Nie miała pojęcia, jak to się wszystko zacznie. Oddychała ciężko, żołądek podchodził do gardła i niemal ją dusił.

Thornton stał oparty o ścianę i spoglądał na Caroline Anstretton, siedzącą na otomanie. Dostrzegł, że jest przestraszona. Bała się tak samo jak owi młodzi, gładkolicy, niedoświadczeni żołnierze, których posyłał do walki.

Jak to możliwe? Przecież ma do czynienia z kurtyzaną, i to, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nieźle doświadczoną. Płacił jej dobrze. Cienka suknia, którą miała na sobie, eksponowała powabne kształty. Mocno opinająca figurę, wyglądała jakby była za ciasna. Wszystkie zaokrąglenia były wyraźnie widoczne, piersi wystawione na pokaz niczym towar w witrynie sklepu.

Tak właśnie było, to był towar, którym handlowała.

Czuł ogarniające go podniecenie. Mógł ją wziąć, kiedy chciał i jak chciał. Po latach narzucanej sobie samotności świadomość ta działała jak potężny afrodyzjak.

Był zadowolony, że ubrała się na białe. Biały kolor odpowiadał jego intencjom. Dziewicza biel pomoże okiełznać szalejące w nim, domagające się uwolnienia demony.

Zbliżył się, uniósł ją za łokieć i przyciągnął do siebie. W zapadającej ciemności ich twarze zlewały się z cieniem, zapłata za usługę szła w zapomnienie, ożywała obietnica czegoś doniosłego.

Prawie uwierzył, że Lillyanna wstała z martwych. Ciepła. Żywa. Radosna. To na nic. Jeśli ją weźmie w taki sposób, nie zostanie uzdrowiony. Musi pamiętać, że to Caroline Anstretton. Kobieta bezwartościowa, sprzedajna.

Zaczął rozpinąć guziki jej sukni na plecach. Nie usuwała się, nie protestowała. Osłonięte tylko bielizną wdzięki były zachwycające.

- Chcę cię widzieć.

- Tutaj, wasza wysokość?

Z niepokojem zerknęła w stronę drzwi.

- Dałem służbie wychodne. Nie wrócą aż do rana.

Uśmiechnęła się niepewnie. Thornton zrozumiał, dlaczego cieszyła się opinią najpiękniejszej kobiety, jaka pojawiła się ostatnio w Londynie. Nie dzięki rudym, sięgającym talii włosom. Nie z powodu alabastrowej skóry, którą nie wiedzieć czemu ukrywała pod warstwą różu. Sprawiały to ciemnoniebieskie oczy, w których co jakiś czas zapalały się jasne iskry, i dołeczki w policzkach, widoczne nawet wtedy, gdy się nie śmiała.

- Ma pan rum? Napiałabym się, bez żadnych dodatków - odezwała się niskim, wabiącym głosem.

Rum bez dodatków! Tak piją marynarze, dziwki i ludzie, którzy nie mają nic do stracenia.

- Oczywiście.

Nalał jej podwójną porcję. Wypiła szybko, do dna, po czym odłożyła na bok torebkę i ostrożnie zdjęła bransoletkę z nadgarstka.

- Nie chciałabym tego zgubić, gdy będziemy...

Położyła bransoletkę na torebce. Na jej policzki wypłynął ciemny rumieniec.

- To od wielbiciela?

Nie miał pojęcia, dlaczego o to pyta, sam przecież nie był skłonny do zwierzeń, ale nie mógł się powstrzymać. Był zadowolony, że nie mówiąc, skinęła głową i zwróciła ku niemu głowę, pytając:

- Mam zdjąć bieliznę?

Nieporadność jej zachowania kazała zastanowić się, czy naprawdę uprawiała swój proceder tak długo, jak twierdziła. Strach, który dostrzegł w jej oczach, skłonił go do delikatności.

- Może najpierw coś zjemy.

Zaskoczył go jej śmiech. Gardłowy, szczery, pierwszy prawdziwy przebłysk zachowania kobiety, która nie jest dziwką. Zachęcony tym, przesunął palcem po jej twarzy w stronę pełnej dolnej wargi.

Usta miała wilgotne i gorące. Czy reszta równie gorąca?

Na to przypuszczenie wstrząsnął nim dreszcz. Wziął się w karby. Nie tak prędko. Chciał smakować każdą chwilę tego wieczoru i tej nocy.

Pomyślał o kolacji. Najpierw będą jedli. Poczwała ulgę i jednocześnie od rumu zakręciło się jej w głowie. Rzadko piła, od czasu do czasu kilka kropel brandy. Nigdy nie wzięła do ust wina. Dzisiaj wieczorem na myśl o tym, co będzie robiła, mogłaby wlać do gardła całą butelkę. Była wdzięczna księciu za lekki jedwabny szal, którym okrył jej ramiona.

Stół w sąsiednim pokoju był jasno oświetlony licznymi świecami i zastawiony wykwinną kolacją. Bażant, łosoś, turbot, pierś kurczaka, brzoskwiniowe ciasteczka i kompot z jabłek. Światło rozpraszało się na kieliszkach z rżniętego kryształu. Środek stołu dekorowały kwiaty ułożone w wielkiej szklanej misie.

Thornton Lindsay usłużnie przytrzymał jej krzesło, po czym usiadł naprzeciwko. W miękkim świetle świec ujrzała pod bliznami mężczyznę, którym był niegdyś. Ciągle jest!

Miał ciemnobrązowy surdut, pod nim czarną kamizelkę. Szyję otaczał prosty, biały fular. Żaden krzyk najświeższej mody. Żadnej frywolności, żadnych ozdóbek, jak przystało na oficera, którego brawura w pełni zasługiwała na fawory królewskie.

Bardzo chciała zapytać go o jego dokonania w Europie, o bitwy, w których uczestniczył, o pracę wywiadowczą, w której osiągnął sukces, ale się powstrzymała. Przyszła na jedną noc. Będzie lepiej, jak zachowa anonimowość.

Gdyby zaczęła zadawać mu pytania, on również mógłby chcieć się czegoś o niej dowiedzieć. Nie mogła mu przecież nic powiedzieć. Przynajmniej niczego, co byłoby prawdą, a będąc arcyszpiegiem, nie potrzebował wielu informacji, żeby poszczególne elementy złożyć w całość.

Uniosła do światła talerzyk.

- Porcelana sewrska, prawda? Uwielbiam ich wzory.

Książę milczał, a po dłuższej chwili zapytał:

- Dlaczego to mnie pani wymieniła jako swojego kochanka?

Od palców trzymających kryształowy kieliszek w głąb mankietu śnieżnobiałej koszuli biegła ledwo widoczna szrama. Na jednym palcu nosił sygnet z rodzowym herbem. Brakowało koniuszka najmniejszego palca.

- To był błąd.

Przywołała uśmiech na usta i spuściła wzrok. Wiedziała, że oczy mogą ją zdradzić, a zależało jej, żeby wierzył w jej historię.

- Mój brat założył, że uda mu się ograć przeciwnika w karty, a kiedy zabrakło mu pieniędzy, postawił wystawić mnie. Wygrywający miał się ze mną ożenić.

Usłyszałam gdzieś pana nazwisko i się nim posłużyłam.

- Często dopuszczała się pani takich... wybryków?

Zachmurzyła się. Siedziała w ponurym milczeniu.

„Przyrzeknij, że wrócisz do Anglii. Obiecuj, Caroline, na swój honor. Tu nie jest dla ciebie bezpiecznie. Guy potrafi być...”

Wciąż dźwięczały jej w uszach słowa matki umierającej zimą 1813 roku. Łzy same napływały do oczu. Okrutnik? Deprawator? Bezwzględny brutal i tyran. Miała zaledwie siedemnaście lat, była dla niego za młoda. Thomas ją ocalił.

Odpędziła wspomnienia. Przyszła tu w określonym celu.

- Jestem kobietą wynajmowaną na noce, wasza wysokość.

Nabrała sporą porcję turbota w sosie z homarów.

- Znakomity - orzekła, choć z trudem przełknęła wzięty do ust kawałek.

Za wszelką cenę pragnęła odwrócić uwagę księcia od siebie i zainteresować go jedzeniem. Jednak on nie jadł, nawet nie skubnął winogron, leżących na talerzu tuż obok jego łokcia. Przypatrywał się jej badawczo.

- Powiadają, że mieszkała pani w Paryżu.

Odpowiedziała nie od razu.

- Kilka lat temu spędziłam tam jakiś czas.

Niebezpieczny temat. W panice sięgnęła po kieliszek wina. Niezdara. Rubinowy płyn wsiąkał w biały obrus. Wyglądało to jak kałuża krwi, prawie przezrzysta na brzegach. Nie wolno igrać z księciem. Jego umysł pracował sprawnie, kojarzył fakty.

Nagle zapragnęła, żeby było już po wszystkim. Sprawa skończona. Pieniądze w ręku. Pięćdziesiąt gwinei. Cena wolności.

Jeden ruch ramion i szal osunął się w dół, odsłaniając sterczące piersi.

Księżciu pociemniał wzrok. Wiedziała, że ma go w garści.

Odstawił kieliszek z winem i podniósł się ze swojego miejsca. Nie było mowy o jedzeniu teraz, gdy dała mu taki wyraźny sygnał. Podał jej dłoń, pomógł wstać. Pachniała różami, była miękka, jej włosy łaskotały go w policzek. Dawno nie miał kobiety. Dawno nie dotykał innej istoty ludzkiej z... czułością. Przesunął palcem po jej nagim ramieniu, niżej zsunął koszulę.

- Pragnę cię.

Pokiwała głową. Pochylił się i przyssał się do jej piersi. Chciał zapomnienia i powrotu wspomnienia dni, kiedy wszystko było łatwe i niewinne. Dni, gdy nie stawał przed koniecznością przetrącenia karku człowiekowi i zrujnowania egzystencji całej rodziny tylko dlatego, że taka była potrzeba polityczna, a on jeden pozostał przy życiu, żeby tego dokonać.

Lillyanno!

Otrząsnął się ze wspomnień.

Caroline. Miękka obfitość jej wdzięków i niskie brzmienie głosu. Żywa. Realna. Obecna. Spojrzał w jej twarz. Dostrzegł zachętę. Przyciągnęła go do siebie. Obwiodła koniuszkiem języka zarys jego ust.

Pochylił się, żeby wziąć, co mu dawała.

Paralizujące ją napięcie nagle ustąpiło. Pragnęła księcia. Oczekiwała z radością tego, co nastąpi. W końcu nie płacił jej za ból. Wsunęła dłonie w jego włosy, przyciągała go do siebie. Znowu pieścił i całował jej piersi, a z jej gardła wydarł się nieproszony jęk. Jeszcze, zdawała się mówić.

Potrzebowała go i chciała. Z odchyloną do tyłu głową, z wygiętą w łuk szyją czuła, że się unosi; lekka jak piórko, zawisła w powietrzu w oczekiwaniu. Jego palce wyczyniały cuda, nigdy by nie domyśliła się, że takie doznania są możliwe.

- Teraz?

Czy ją dosłyszał?

Dość zwlekania.

Zaprowadził ją z powrotem do salonu. Poprosił, żeby położyła się na dywanie. Zrobiła to i obserwowała, jak zdejmuje surdut i kamizelkę. Zegar na kominku wybił siódmą. Dzień kończył się, zapadała noc.

Na stoliku obok jej torebki leżały pieniądze. Pięćdziesiąt błyszczących złotych monet. Jej wynagrodzenie.

Sięgnęła dłonią pod jego koszulę. Wyczuła pokrytą bliznami i szramami skórę. Pod skórą mięsny. Mydło, którego używał, miało nieuchwytny zapach.

Słyszała jego przyspieszony oddech i wzmożone bicie serca. Zsunęła dłoń niżej. Był gotowy.

Rozwarła szeroko kolana. Usłyszała odgłos rozdzieranego batystu. W blasku księżyca połyskiwał na biało jej obnażony brzuch. Instykt podpowiedział jej, żeby unieść biodra, prosiła o coś, o czym nie miała pojęcia.

Wypełnił ją. Ostrożnie, stopniowo, wycofując się chwilowo, zanim zagłębił się do końca w gorącym wnętrzu jej ciała.

Myślał, że zdoła zachować rozsądek, że powstrzyma fale napierającego przyboju, które rozlewały się szeroko, nie napotkawszy na swej drodze żadnej przeszkody. I nagle się zgubił w tym odkrytym na nowo świecie i zalewał ją swym nasieniem bez ochrony, bez umiaru i nie mógł przestać tak długo, aż zaspokoił rozpaloną do czerwoności żądzę. Nie potrafił złapać oddechu, żeby zebrać siły, by się podnieść. Przygniatał ją sobą, a piżmowy zapach tego, co było między nimi, wypełniał powietrze. Osiągnął swój cel. Był zadowolony. Rozbrojony. W półmroku majaczyła plama jej pełnych, czerwonych ust.

Płakała? Poczuł ciepłą wilgoć na piersi. I tak nierówno oddychała.

Uniósł się, chciał zapalić świecę.

- Nie. - Złapała go za rękę. - Zostańmy przy świetle księżyca.

- Zrobiłem ci krzywdę?

- Nie.

Usiadła, ogarnęła bieliznę.

- Nie wzięłam nic do ubrania na zmianę.

Zegar wybił pół godziny. Zdziwiająco głośno w uszach ich obojga.

- Zabezpieczyłaś się? - zapytał. Chyba czytał w jej myślach.

- Myślę, że będzie dobrze.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewał. Domyśliła się, co chciał powiedzieć, i go uprzedziła.

- Nie będzie dziecka. Kobiety mojego pokroju mają swoje sposoby.

Za pięćdziesiąt gwinei znajdzie sposób. Nie chciała go irytować, żeby się nie rozmyślił co do wysokości kwoty.

Zacisnął palce na jej przedramieniu. Posadził ją sobie na kolanach.

Jedna noc. Cała noc. Chmury, księżyc, ciemność zlały się w jedno. Drżała, pocila się, nie wiedziała, co mówi, jego imię cisnęło się samo na wargi.

- Thornton?

Wolała, żeby zabrzmiało jak pytanie. Więcej nie mogła powiedzieć.

Dużo później zaniósł Caroline na górę do sypialni. Mógł ją nareszcie zobaczyć w łagodnym świetle świec. Zdjął z niej bieliznę i czekał, aż się obudzi.

Wybiła druga. Tylko cztery godziny do świtu i końca umowy. Za szybko. Chciał, aby czas zwolnił. Pochylił się nad Caroline, żeby ją zbudzić. Delikatnie przesunął palcem po jej policzku. Uchwycił jego dłoń. U nasady kciuka ujrzał bliznę w kształcie półksiężyca.

Nie pocałował jej ani razu. Nagle uzmysłowiła sobie dlaczego. Mężczyźni nie całują kurtyzan. Mówił jej o tym brat, gdy wrócił kiedyś ze spotkania ze swoimi doświadczonymi przyjaciółmi. Nie pocałował jej. Była zdziwiona, bo to ją zasmuciło. Rozejrzała się po nieznanym pokoju. Nad łóżkiem był rozpięty baldachim z bordowego aksamitu. W wielkim zwierciadle obok łóżka odbijało się światło świec osadzonych w srebrnych kandelabrach.

Patrzył na nią. Zdjął opaskę z oka. Dziwne, nie było pod nią żadnych blizn.

Bardzo delikatnie musnęła palcami brwi Thorntona i zachęcona jego uśmiechem, zapytała:

- Myślałam, że byłeś ranny w oko.
- Nie. Czasami po prostu męczy mnie patrzenie nim.
- Co się stało?
- Byłem nie dość ostrożny.

Uchwycił dłoń Caroline i położył sobie na ustach jej wskazujący palec.

- Nie mówmy o przeszłości, dobrze? Myślmy o teraźniejszości. O tej nocy.

Zrozumiała i ośmielona tymi słowami, opasała go nogami. Położył się na niej. Swoim ciężarem uciskał jej piersi. Podłożył ramię pod jej biodra.

- Tym razem będę cię widział.

Gładził dłonią wewnętrzną stronę jej ud, aż znalazł miejsce, gdzie rozkwitał i narastał jakiś rozkoszny ból-nie ból, jakiś ledwo wyczuwalny puls, który przerodził się w gwałtowne skurcze. Wołała jego imię głośno, nie bacząc na nocną ciszę, upajała się jego zapachem, bliskością, a on nie ustawał nawet wówczas, gdy wstrząsające jej ciałem paroksyzmy wygasaly.

Była w niebie. Nie opuści tego pokoju. Magia Thorntona sprawiła, że jej obawy i ciekawość splotły się w coś specjalnego, nieokreślonego. Miłość?

Słowo nasunęło się nieproszone. Szybko je odrzuciła. Przeczyło mu pięćdziesiąt gwinei. Przestała się zastanawiać.

Było po ósmej rano. Siedziała na łóżku i wciągała pończochy. Każda część jej ciała wibrowała. Przyglądał się jej z drugiego końca pokoju.

Marzyła o kolejnej nocy. O tysiącu nocy. Pończochy, suknia, okrycie wierzchnie. Jej bielizna była w opłakanym stanie. Nie wspominał o następnym spotkaniu. Nie prosił o nic.

Tylko ta jedna noc. Bez przeszłości. Bez przyszłości. Już po wszystkim. Ma się wynosić.

Nie odzywała się, gdy pomagał jej zapinać pelerynkę. Nie spojrzała na niego, kiedy poinformował, że kazał zajechać stangretowi, który ma ją odwieźć do domu pod same drzwi. Nie podziękowała mu, gdy wciskał jej do ręki pieniądze.

Podjechała pod dom Suzette, cały czas w oszołomieniu. Była zadowolona, że nie zastała przyjaciółki. W łazience szybko ściągnęła z siebie ubranie i się umyła. Chciała zmyć z ciała zapach Thorntona, pozbyć się wspomnienia jego dotyku. Posmarowała olejkiem lawendowym wszystkie miejsca, gdzie pozostawił na jej ciele znaki miłości, we włosy uwolnione od peruki wtarła olejek różany. Owinięta w szlafrok kąpielowy, usiadła przed lustrem i zajrzała głęboko we własne oczy.

Patrzyły radośnie. Z pewnym niedowierzaniem. Ani śladu wstydu czy wyrzutów sumienia. Nie tego się spodziewała.

Stała się kobietą. W świat tych nieznanych doznań została wprowadzona przez mistrza. Niczego nie żałowała. Łzy, które pojawiły się za moment, nie były łzami smutku z powodu tego, co zrobiła. Płakała, bo wiedziała, że ta noc się nie powtórzy i że żaden mężczyzna w jej życiu nie dorówna niedoścignętemu wzorowi - Thorntonowi Lindsayowi.

Ciągle czuła na sobie spojrzenie jego złocistych oczu, smutne i zranione. Wulgarności dopatrzyła się w nich tylko w chwili zapłaty.

Odpędziła od siebie wszelką myśl, że niemożliwe stanie się możliwe, i zaczęła się zbierać w drogę powrotną do domu.



Rozdział czwarty

- Twierdzisz, że książe Penborne dał ci pięćdziesiąt gwinei, ot tak? Nie wierzę. Caroline jeszcze nigdy nie widziała brata tak wściekłego. Szukała słów, którymi dałoby się go ugłaskać. Nie potrafiła go oszukiwać. Nie zamierzała kłamać i tym razem.

- To nie było, ot tak.

- Przespałaś się z nim tylko po to, żeby wyciągnąć forszę od tego łajdaka?

- Nie. Spałam z nim, bo chciałam się dowiedzieć, jak to będzie kochać się z Thorntonem Lindsayem, i po raz pierwszy w życiu poczułam się spełniona. - Z trudem powstrzymywała cisnące się do oczu łzy. - Nie było w tym nic brudnego, wulgarnego, krzywdzącego, to było po prostu... piękne.

- O Boże!

Gniew brata stopniał, gdy ujrzał jej łzy, objął ją i przytulił.

- O Boże - powtórzył. - Co teraz zrobimy?

- Wyjedziemy z Londynu i starczy nam na przeżycie całego roku, jeśli będziemy ostrożnie gospodarować pieniędzmi.

- Nie o tym myślałem, Caro, lecz o twojej przyszłości i o Lindsayu.

- Nie będzie żadnej przyszłości. Wyraźnie dał to do zrozumienia.

- A jeśli będziesz miała dziecko?

Nie odpowiedziała.

- No widzisz. Co będzie, jeśli go znowu spotkasz?

- Nie spotkam. Dzięki tym pieniądzom możemy wyjechać, dokąd tylko zechcemy, Thomasie. Mamy wolną rękę, przynajmniej na razie...

Potrząsał powątpiewająco głową. Usiadł i patrzył na nią zmartwiony.

- Ale za jaką cenę, Caroline?

- Za cenę dwunastu godzin prawdziwej przyjemności, Thomasie.

Na jego twarzy odbiło się zaciekawienie, ale też i ulga.

- Nie chcesz, żebym z nim porozmawiał?

- O czym? Będziesz nalegał, żeby mnie poślubił, a jak odmówi, wyzwiesz go na pojedynek? Mówią, że jest jednym z najlepszych strzelców w całej Anglii, nawet pomimo kalectwa. I o co będziesz walczył? O moją reputację? Przecież jest zrujnowana już od czasu ucieczki z Paryża. Lepiej wziąć pieniądze i zniknąć. Zmienić tożsamość i zacząć wszystko od nowa.

- Więc ty nie czujesz się poszkodowana?

- Nie wyraził chęci ponownego spotkania. Nie pragnął utrzymania kontaktów.

Po policzku Caroline stoczyła się pojedyncza łza, otarła ją grzbietem dłoni.

- A gdybyśmy tak poszli do niego razem, Caro, i opowiedzieli mu część naszej historii...

- Którą część? Tę o zamordowaniu kochanka naszej matki i że od tamtej pory ciągle się ukrywamy?

- Myślałem o tym, żeby przypomnieć mu o jego odpowiedzialności. Nie jesteś kurtyzaną, za jaką cię brał. Gdyby wiedział, kim naprawdę jesteś, może wtedy...

Nie dała mu dokończyć.

- Nie chcę, żeby kiedykolwiek się dowiedział. Wykluczone.

- Dlaczego?

- Nie interesuje mnie małżeństwo zawarte z przymusu.

- Ale ty go polubiłaś. Przyznaj się. Przecież widzę.

Miała dość. Chciała wyjechać z Londynu, uciec od Thorntona Lindsaya, od pokusy zjawienia się ponownie na jego progu i zaproponowania mu kolejnej nocy. I następnej.

Była szczęśliwa, gdy Thomas wyciągnął ich starą i wysłużoną mapę Anglii i rozłożył ją na stole.

- Tym razem ty wybierz miejsce, Caro.

Zamknęła oczy i postawiła palec na mapie, a gdy je otworzyła, pod palcem znajdowała się nazwa Morteheo na wybrzeżu, niedaleko Barnstaple. Łagodny brzeg Kanału Bristolskiego. Nowy początek. Postanowiła, że będzie wdową. Przyzwoitą wdową, której zmarły mąż był pierwszą i ostatnią miłością w życiu.

Thornton trzymał w rękach oddarty kawałek halki Caroline - delikatny biały batyst. Biały kolor kojarzył mu się z panną Anstretton. Zastanowiły go plamy krwi. Skaleczył ją czy może jest to jego własna krew, tak mocno wbijała mu paznokcie w plecy?

Okazała się zupełnie inna, niż oczekiwał. Doświadczona kurtyzana zachowująca się jak dziewczica? Roześmiał się. Miała przecież męża i legion kochanków. Może odgrywanie dziewicy to tylko trik z jej strony. Może myślała, że on się tego po niej spodziewał, a pięćdziesiąt gwinei to dla każdego mnóstwo pieniędzy.

Na podłodze zauważył złotą bransoletkę. Najwyraźniej Caroline zapomniała o niej, chociaż tak ostrożnie zdejmowała ją z ręki i kładła na stoliku obok torebki. Podniósł złote kółeczko. Na wewnętrznej stronie wygrawerowany był napis.

„Paryż 1807 - TStC”.

Bransoletka nie pochodziła z Anglii, tylko z Francji? Obejrzał ją dokładnie. Szmaragdy wprawione w środkową część wszystkie bez wyjątku były fałszywe, metal cienki, robota mało precyzyjna, tania. Tego rodzaju biżuterię mogą cenić tylko dzieci, dlaczego miałyby się do niej przywiązywać kurtyzana? Pewnie opuściło ją szczęście. Pewnie dlatego wymyśliła tę historię na temat ich rzekomego związku.

Książę pomyślał, że Caroline ma jakieś sekrety, a ta konstatacja wzmogła jego zainteresowanie. Ujęła go czymś, czego zupełnie nie spodziewał się u kurtyzany: niewinnością i naiwną prawością. Czując miękki dotyk jej warg na swoim policzku, był prawie gotów jej zaufać.

Prawie.

Odłożył bransoletkę na stół. Z zamkniętymi oczami i rękami w kieszeniach nasłuchiwał odgłosów z zewnątrz: przejeżdżającego powozu, wiatru szumiącego w gałęziach drzew, śpiewu ptaków, kroków przechodniów spieszących się w swoich sprawach.

Przez długi czas musiał mierzyć, odcyfrowywać, porównywać i interpretować przejawy toczącego się wokół życia. We wszystkich mogły się kryć znaki ostrzeżenia przed wrogiem, który zawsze czuwał. Nagle dzisiaj, w tej chwili, poczuł się tym wszystkim nieprawdopodobnie zmęczony.

Zapragnął normalnego, rzeczywistego życia. Chciałby, na przykład, spokojnie usiąść, nie tylko plecami do ściany, wyposażony w ostry sztylet ukryty głęboko w kieszeni surduta. Życia bez poczucia winy za okropności wojny i bez paralizującego strachu przed samotnością, które go prześladowały od powrotu do domu. Życia z kobietą, która rozgrzałaby jego łóżko. Dzięki której potrafiłby się śmiać, która głaskałaby go po pokiereszowanym policzku z taką samą czułością jak Caroline Anstretton. Z żoną!

Może tego potrzebował. Pogodnej dziewczyny, otwartej na świat w takim samym stopniu, w jakim on był na świat zamknięty, takiej, która świadomie nie skłamała. Nie pragnął chodzącej doskonałości, choć doskonałość miała swoje zalety. Byłaby wdzięczną towarzyszką, gdy szalejące w nim demony groziły zerwaniem się z uwięzi. W końcu był bogaty i względnie młody, a część twarzy, która pozostała nienaruszona, była niebrzydka.

Ona nie będzie Lillyanną i jej nie zastąpi. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Jednak Caroline Anstretton uzmysłowiła mu coś, czego nie podejrzewał aż do ostatniej nocy. Oto, ku swemu zdumieniu i satysfakcji, przekonał się, że potrafi odczuwać miękkość skóry pod palcami, że jego powonienie jest wrażliwe na zapach róż i kobiety. Pożądanie potrafi go rozpałcić, a smutek łagodnieje w obliczu zapowiedzi czegoś, o czym, jak mu się wydawało, zapomniał na zawsze.

Nawet teraz, w pełnym świetle dnia, ciągle był podekscytowany. Gdyby zaproponował Caroline, aby pełniła rolę oficjalnej kochanki na okres poszukiwań księżny Penborne, mógłby upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. On zaspakajałby namiętność, ona zyskałaby pieniądze, których potrzebowała. Oboje mogliby cieszyć się swoim towarzystwem. To byłyby obopólne korzyści.

Sięgnął po kartkę papieru i umoczył pióro w atramencie. Propozycja musi być wyważona i ograniczona w czasie. To kurtyzana, a on jest księciem. Szczerze mówiąc, więcej nie powinna nawet oczekiwać.

O trzeciej po południu rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych. Thornton nasłuchiwał, rozpoznawał bowiem głos gościa.

Caroline Anstretton. Przyszła osobiście odpowiedzieć na jego hojną propozycję? Z trudem zmuszał się do pozostania przy biurku. Czekał.

Miała na sobie gruby wełniany żakiet narzucony na żółtą suknię. Na starannie ułożone rude włosy założyła kapelusz. W rękę trzymała jego list, ale sposób, w jaki to czyniła, obudził jego czujność.

- Wasza wysokość. - Skłoniła się.

Czekała, aż lokaj opuści pokój. Wyraz jej oczu nie wróżył niczego dobrego.

Coś się zmieniło od wczorajszej nocy. Bez śladu znikła jej ujmująca naturalność. Dziś była sztywna i nieprzyjemna, gdy trzęsącą się dłonią kładła na stole list.

- Przypuszczam, że odniósł pan na mój temat mylne wrażenie ostatniej nocy.

- Wrażenie? - Zmarszczył czoło. Nie patrzyła wprost na niego.

- Nie jestem kobietą, która mogłaby kiedykolwiek... być z jednym tylko mężczyzną. Pozycja kochanki, którą pan zaproponował, pochlebia mi niezmiernie, a warunki są naprawdę wspaniałe, jednak ma ona charakter ograniczający.

Przynajmniej w mojej opinii.

- Chce pani powiedzieć, że pragnie więcej - stwierdził Thornton, rejestrując nutę groźby we własnym głosie.

- Wasza wysokość, jestem młoda, a wielu uważa, że tak pięknej kobiety od lat nie widziano w Londynie.

Odwróciła się do lustra nad kominkiem i poprawiła kilkakrotnie kapelusz. Wyraźnie podziwiała swoje odbicie.

- Może to owal twarzy, może kolor oczu, a może kształt nosa. Prawdę mówiąc, otrzymałam propozycję małżeńską od lorda, ni mniej, ni więcej, i jego rodziny nie zraża moja reputacja. Jednak brat uważa, że powinnam poczekać na coś jeszcze lepszego.

Jest próżna i głupia, orzekł w duchu książę. Tego się nie spodziewał.

- Nie jest tak, że pana nie lubię, proszę mnie zrozumieć. Ostatnia noc była cudowna, tylko po prostu...

- Tylko po prostu wolałaby pani zostać raczej księżną niż kochanką - dokończył za Caroline.

- Właśnie.

Niebieskie oczy płonęły ożywieniem, potrząsała bujnymi rudymi lokami. Ma nadzieję, pomyślał, uśmiechając się pod nosem.

- Zapamiętam pani propozycję, panno Anstretton. Ponieważ jednak jutro wracam do Kornwalii, jestem zmuszony ją odrzucić.

- Och! - Westchnęła, wygładzając fałdy spódnicy. Intensywny żółty kolor kontrastował z jasną skórą jej dłoni. Miała krótko obcięte paznokcie.

Otworzył szufladę i wyjął jej bransoletkę.

- Zostawiła to pani wczoraj w nocy. Domyślam się, że jest dla pani cenna, więc ją zwracam.

Z uczuciem ulgi w oczach zapinała zameczek. Dla upewnienia się, że jest dobrze zapięty, potrząsnęła ręką.

- Dziękuję.

W tym momencie powróciło to nieuchwytnie napięcie, które pojawiło się między nimi ostatniej nocy. Gdyby Caroline spojrzała w jego stronę, Thornton

wyciągnąłby do niej ramiona i zażądał wyjaśnienia, ale zrobiła unik. Wzięła torebkę z krzesła, na które rzuciła ją po wejściu do pokoju. Wiedział, że jest dla niego stracona.

- Za pół godziny mam przymiarkę nowej sukni. Madame Celeste obiecała, że będzie gotowa na bal u Forsythe'ów, który odbędzie się za miesiąc w Kencie. Gdyby pan nieoczekiwanie wrócił ze swojej posiadłości, może mnie pan odszukać i partnerować mi podczas balu.

Książę się nie odezwał. Wyciągnęła do niego rękę, nie dając wyboru, musiał ją przyjąć. Uderzyło go, że ma lodowate palce. Przecież wczoraj była niczym ogień. Puścił ją natychmiast.

- Nie tańczę.

Zerknęła na jego lewą nogę.

- Oczywiście, przepraszam...

Zakłopotanie i litość miała wypisane na twarzy. Zaprzagnął, żeby jak najszybciej się oddaliła, lecz ona zwlekała. Pochyliła się do przodu i bardzo delikatnie musnęła go po policzku. Jej kciuk zawadził o jego dolną wargę.

Dopiero wtedy wyszła. W pokoju jeszcze długo unosił się zapach jej perfum.

Thornton nalał sobie kieliszek brandy i wypił jednym haustem całą zawartość. Dotknięcie wciąż go paliło. Instynkt rzadko go zawodził; podpowiadał mu, co powinien sądzić o różnych ludziach. Tym razem zupełnie nie wiedział, co myśleć o Caroline Anstretton.

Zarozumiała dziwka czy wspaniała aktorka? Coś w jej wczorajszym zachowaniu nie pasowało do wizerunku kurtyzany. Było w niej tyle niewinności. Nie chce być kochanką, a żoną! Oczekuje, żeby podniósł stawkę i zaproponował jej małżeństwo. Roześmiał się, bo stwierdził, że nawet miałby ochotę porzucić wszelką ostrożność i podjąć takie ryzyko. Chętnie by sprawdził, czy czar wczorajszej nocy może powrócić. A gdyby tak zabrać ją do Penleven? Tam byłaby bezpieczna.

Jednak nie mógł tego uczynić dopóty, dopóki więcej się nie dowie o nich obojgu. O bracie i siostrze, którzy pojawili się w Londynie znikąd i wywołali taką burzę.

Od myślenia o tym rozboleła go głowa. Nalał sobie szklanek wody. W Londynie odczuwał znużenie, którego nigdy nie doświadczał w Penleven. Tutaj nawiedzały go wspomnienia, o których wolałby zapomnieć.

Na przykład o Lilly w tamtych szczęśliwych dniach, zanim w Orthez w południowo-zachodniej Francji dosięgła ją śmierć. Podczas ostatniej defensywnej kampanii Napoleona jego pułk stacjonował w tym miasteczku. Francuska ciężka artyleria ostrzeliwała ich pozycje, schronił się więc z grupą żołnierzy w małym kamiennym kościółku, który, jak teraz o tym pomyślał, stanowił doskonały cel dla wroga. Było ich tam dwudziestu i Lilly. Nieliczni uszli cało. Ona straciła życie, a jego życie się zmieniło. Od tamtej pory nic nie było takie samo.

Nienawidził uczucia lęku, które go nachodziło, i niemocy, która paraliżowała mu ręce. Ścisnął kciukami skronie. Tutaj usadowiły się wspomnienia. Były obezwładniające. Upłynęły dwa lata, a obrażenia, które były przyczyną okresowej utraty wzroku, nadal odbijały się na stanie jego zdrowia.

- Lillyanno! - zawołał, widząc, jak się zbliża. Jej niebieską spódnicę wzdymał powiew powietrza, oczy jej się śmiały.

- Lillyanno! - krzyknął, żeby ją ostrzec.

Dach zapadał się nad jej głową. Zdążył jeszcze dostrzec ból na jej twarzy i niebieską tkaninę powoli opadającą na dół. Tyle pozostało z jej radości i dobroci.

Gdy powracały wstrząsy, nie podpierał się o ścianę, tylko padał ciężko na posadzkę i leżał zlany potem w gorączce, ledwie oddychając.

Przez zamknięte powieki czuł jaskrawe światło. Usiłował osłonić dłonią oczy. W pokoju był jego kamerdyner Henry. A także jego sekretarz James. Wyglądali prawie identycznie.

- Jak długo tym razem?

- Dwanaście godzin, wasza wysokość.

Zamknął oczy. Dwanaście godzin? Ostatnim razem utrata świadomości trwała zaledwie kilka godzin. Poprawa czy pogorszenie? Lubił ten stan zapaści, błogosławionej śpiączki, zaniku pamięci, ale gdyby kiedyś miał się z niej nie obudzić...

- Macie wodę? - zapytał słabym głosem.

Henry napełnił szklankę ze stojącego na nocnym stoliku dzbanka. Uniósł jego głowę. Jeden łyk, drugi. Pot wystąpił Thorntonowi na czoło, poczuł mdłości. Kątem oka widział Jamesa i usiłował zrozumieć, co ten do niego mówi.

- François de Gennes był tu dzisiaj rano i powiedział, że wróci jutro po południu.

Brat Lillyanny. Nie miał z nim żadnego kontaktu od trzech lat, ale wiedział, po co tamten przyjechał. Chodziło mu o nazwiska. Wywiad wciąż działa, a przysięga, którą Thornton złożył, gdy miał dwadzieścia lat, nadal obowiązywała. Czasami wydawało się, że od tamtej pory upłynął cały wiek. Gdzie ten młody chłopak z naiwną wiarą w sercu, że zdoła naprawić świat? Że od tej pory będzie lepszy. Lepszy dla kogo? Nie dla Lillyanny. Nie dla ludzi, których zabił.

Thornton chciał wracać do domu. Do huku fal rozbijających się o przylądek Lizard, do samotnego krzyku mew krążących nad klifem, zanim zanurkują w błękitną otchłań morza. Tam był jego azyl.

Z odrętwienia wyrwało go wspomnienie rudych włosów i błyszczących błękitnych oczu. Co teraz robi Caroline Anstretton? Najpewniej flirtuje. Albo poluje na jakiegoś utytułowanego arystokratę, który nie ma pojęcia, ile fałszu kryje się pod tą piękną maską, pod tą twarzą o cerze koloru kości słoniowej, od której biło takie przyjemne ciepło, gdy się nad nim pochylała.

Dopił resztę wody ze szklanki.

- Niech robi, co chce - szepnął, z trudem łapiąc oddech, zły, że może tym razem się jej powiedzie.

François wrócił nazajutrz rano. Miał włosy o ton jaśniejsze, bruzdy wokół oczu się pogłębiły. Roześmiał się, zauważając, że Thornton mu się przygląda.

- Lata pokoju nie były dla mnie takie łaskawe, jak się spodziewałem - powiedział. - Ty zaś chyba wyzdrowiałeś. Lilly byłaby szczęśliwa.

Na wzmiankę o Lilly Thornton zmarszczył czoło. Czekał, co teraz nastąpi, starał się nie zwracać uwagi na ból rozsadzający mu czaszkę.

- Ostatnio wpadła mi w ręce notatka napisana do Lillyanny na dzień przed jej śmiercią. Była niepodpisana - oznajmił François i wyciągnął z kieszeni surduta kopertę. - Zechciej rzucić na nią okiem, może coś ci przyjdzie na myśl.

Thornton niechętnie wziął papier do ręki. Znał ten charakter pisma. Był zaszokowany.

- To ręka Adele Halstead. Poznaję jej pismo.

- Żona Wroxhama?

- Była jednym z naszych agentów w czasie kampanii na Półwyspie Iberyjskim. Wiele razy widywałem jej korespondencję.

- Jej mąż wiedział o tym?

- Nie jestem pewny. Poznałem jej tożsamość przez pomyłkę, kiedy kurier wygadał się, że przybywa od „kochanki Wroxhama”.

Thornton przeczytał treść notatki. Osobliwe ostrzeżenie, uznał. Dlaczego Lilly nie wzięła go sobie do serca i nie trzymała się z dala od niewielkiej osady w pobliżu Orthez? Dlaczego przynajmniej jego nie ostrzegła? A przede wszystkim jak to było możliwe, że Adele Halstead nie wiedziała o ruchach armii francuskiej? Pachniało mu to zdradą.

- Myślę, że należałoby złożyć wizytę Adele.

Złożył papier i oddał go gościowi. Uderzyło go, że François przyjął jego słowa z uczuciem ulgi.

Rozdział piąty

Księżyc skrył się za chmurami, niebo było niemal czarne, gdy wiązali konie przed domem Wroxhamów.

Dochodziła dziesiąta. Thornton miał nadzieję, że Adele czeka na niego, choć nie dostał odpowiedzi na list z prośbą o spotkanie przesłany w ciągu dnia.

François spojrzął na chmurne niebo.

- Pogoda się zmienia. Myślisz, że są sami?
- Nie jestem pewny.

Thornton wyciągnął nóż z za pasa i umieścił go w rękawie. François zrobiło się nieswojo.

- To kobieta. Nie zabijesz jej...
- Jest rok 1816, mamy pokój.
- Nareszcie.

Thornton się roześmiał. Zapukał do drzwi i ku jego zaskoczeniu otwarły się niemal natychmiast. W progu stał zaspany lokaj.

- Czym mogę panu służyć? Panom - poprawił się, widząc François.

Thornton wręczył mu bilet wizytowy.

- Chcielibyśmy się widzieć z lady Adele.
- Przykro mi, wasza wysokość, ale jaśnie pani pojechała z mężem do siostry mieszkającej w Kencie i wróci dopiero jutro. Po jej powrocie natychmiast przekażę pańską wizytówkę.

- Rozumiem.

Thorntona ogarnęły złe przeczucia. Nasilający się wiatr smagał drzewa. Nawiedziły go wspomnienia innych wietrznych wieczorów. Czuł, że coś jest nie w porządku. Coś wisiało w powietrzu. Rozejrzał się niespokojnie po najbliższym

sąsiedztwie. Nagle w krótkiej chwili, gdy zza chmur wyrzął księżyc, dostrzegł cień ludzkiej postaci, dającej z dachu sygnały komuś stojącemu na ulicy.

Thornton kazał François zostać na miejscu, a sam znowu zaczął się dobijać do drzwi. Otworzył ten sam służący. Thornton wepchnął go do środka i wkroczył do domu.

- Macie nieproszonych gości. Co to za pokoje wychodzą na drugim piętrze na ulicę?

- Pokoje jaśnie pani.

Służący oprzytomniał. Nie protestował, gdy Thornton kazał mu czuwać przy schodach na dole.

W pokoju na drugim piętrze dogasał ogień na palenisku kominka. Thornton odczekał, aż oczy przywykną do ciemności. Na fotelu leżał bury kot, jego źrenice błyszczały w mroku.

Gdzieś w głębi domu zegar wybił dziesiątą. Machinalnie sprawdził własny czasomierz. Dopiero dziesięć po dziesiątej. W tym pokoju miało się wrażenie, że czas się zatrzymał.

Sprawdził sąsiednie pokoje. Były puste. Zaalarmował go hałas dobiegający zza jednego z okien. Coś jakby szuranie butów o pokryty łupkiem dach, za chwilę głośne uderzenie, po którym zapadła cisza. Ale nie na długo!

Zza futryny okiennej wyrząła czyjaś głowa, na parapecie stanęła czyjaś stopa, po czym ukazała się chłopięca postać, której twarz osłaniał kapelusz.

Thornton trwał z bezruchu, czekając, aż intruz wejdzie do środka.

- Do diabła! - zaklął ten, potykając się w ciemnościach o róg grubego dywanu.

Włamywacz zapalił świeczkę. W jej słabym świetle mignęła jego twarz.

Wyglądała bardzo po kobiecemu. Zabrał się do przeglądania szuflad komody.

Wysypał zawartość pierwszej na narzutę przykrywającą łóżko, potem to samo zrobił z drugą i trzecią. Wreszcie musiał znaleźć to, czego szukał, bo aż gwizdnął głośno z zadowolenia.

Z pewnością miał współnika, bo podszedł do okna i trzykrotnie machnął świecą, po czym ją zgasił. Najwyraźniej dawał komuś znaki.

Thornton wysunął się z cienia na środek pokoju i w tym momencie nieznajomy się obejrzał.

- Nie krzycz, bo cię zabiję. Zrozumiałeś?

Chłopak kiwnął głową. Nie ruszał się.

Jego twarz była ciągle niewidoczna. Całe jego zachowanie świadczyło o tym, że nie był doświadczonym złodziejem. Musiał stawiać pierwsze kroki w tej profesji.

- Ręce do góry i się nie ruszaj - rozkazał Thornton.

- Nie chciałem nikogo skrzywdzić, panie. Potrzebuję pieniędzy dla mamy i rodzeństwa.

Głos miał młody, niepewny i jakby znajomy. Mówił gwarą londyńską, ale jego akcent brzmiał sztucznie. Lekkie zawieszenie głosu na końcu każdego zdania i intonacja brzmiały bardzo nie po angielsku. Thornton długo przebywał na kontynencie i miał doświadczenie z ludźmi, którzy udawali obcą wymowę, bo pragnęli uchodzić za kogoś, kim nie byli. Jak ten wyrostek.

- Ile masz lat?

- Trzynaście. Za miesiąc skończę czternaście.

- Dostatecznie dużo, żeby trafić do więzienia.

- Proszę, panie, nikogo nigdy nie skrzywdziłem. Mama czeka głodna, ojciec nas porzucił...

- Dosyć tego.

- Ma tylko mnie, nikogo więcej.

Uwagę Thorntona zwrócił uwagę zapach dochodzący od młodocianego złodziejaszka. Zapach olejku różanego, co do tego nie było wątpliwości. Niezwykły jak na tego rodzaju osobę. Tak samo pachniała Caroline Anstretton ostatniej nocy, gdy zdejmował z niej suknię. Zwariował? Ciągle myśli o jej gładkiej skórze i czuje jej ciało pod sobą. Nawet w tych okolicznościach, w sypialni wroga i w obecności

włamywacza? Z większą siłą, niż zamierzał, pchnął małego złodziejaska na łóżko i chwycił za świecę. Płomień oświetlił umorusaną twarz, w której uwagę zwracały mocno zaciśnięte usta.

- Po co tu przyszedłeś?

Nie mogąc doczekać się odpowiedzi, Thornton przeszukał kieszenie spodni intruza. Z jednej z nich wyciągnął medalion na łańcuszku, drobiazg wart zaledwie ułamek tego, co inne przedmioty w tym pokoju.

Ten wyrostek nie był złodziejem, to pewne. Włamał się do domu Adele nie po to, aby coś ukraść. W takim razie dlaczego? Thornton otworzył medalion i oto przed oczami miał odpowiedź na to pytanie.

Twarz Thomasa Anstrettona wyglądała młodziej, ale nie było wątpliwości, że miniatura przedstawiała właśnie tego młodzieńca. Thornton nie musiał odwracać miniatury na drugą stronę, żeby odgadnąć, że znajdzie tam podobiznę jego siostry.

- Kim jesteś, do diabła?

Thornton nie wierzył w zbiegi okoliczności.

Chłopak uniósł się z łóżka i usiłował wyrwać mu z rąk medalion. Na jego przegubie błysnęła znajoma złota bransoletka.

O Boże!

Thornton już wiedział, z kim ma do czynienia. Z całą pewnością nie z chłopakiem i młodocianym przestępcą. Zdarł kapelusz z głowy Caroline. Kolejna niespodzianka. Zamiast rudych, sięgających do pasa loków, kędzierzawa główka w kolorze pszenicy. Kolor ten podkreślał intensywną głębię niebieskich oczu.

- To ty.

Gdzie tu sens? Piętrzące się sekrety, za którymi musiało się kryć coś bardzo mrocznego.

Adele Halstead, Lillyanna i rodzeństwo Anstrettonów splecione tajemniczą, pokrętną intrygą. Tu nie wchodziło w grę żadne przypadkowe włamanie, lecz starannie przygotowana wyprawa po określony przedmiot.

- Wszystko wyjaśnię, tylko proszę o chwilę cierpliwości.

- Pilnie słucham.

Ton jego głosu zdawał się mówić: żadnych wykrętów.

- Ten medalion należy do nas. Lady Wroxham skradła go naszej matce. Proszę ją o to zapytać. Nie popełniłam kradzieży. - Caroline tłumaczyła się nieskładnie.

Była przerażona.

- Dlaczego miałoby na nim zależeć właśnie lady Wroxham?

- Ona nas nienawidzi za to, kim jesteśmy.

Nagle zrozumiał.

- Aha, jesteś kochanką jej męża?

Zauważył jej zakłopotanie.

- Myśli pan, że z nim spałam?

- To hrabia. Sądziłem, że polujesz na para Anglii. On jest bogaty.

- Przecież ma żonę.

Argument był logiczny, Thornton nie zdążył jednak zadać kolejnego pytania, bo zaalarmował go hałas za plecami. Ledwo się odwrócił, otrzymał silny cios w głowę. Próbował pochwycić atakującego, ale utracił zdolność widzenia. Dosłyszał jeszcze głośne przekleństwo i poczuł dotyk miękkich palców Caroline na twarzy, po czym pochłonęła go ciemność.

Caroline widziała, jak Thomas chował pistolet za pasek spodni. Schyliła się, żeby sprawdzić puls na szyi Thorntona Lindsaya.

- Za mocno go uderzyłeś - odezwała się do brata.

Na szczęście puls bił miarowo. Delikatnie odgarnęła kosmyk z czoła leżącego bez przytomności księcia. Co o nich wiedział? Wyciągnęła medalion z palców Thorntona. Te palce gładziły jej nagie ciało, ich dotyk przyprawiał ją o ekstazę. Co za cudowne uczucie, była zaskoczona, że stać ją na takie uniesienia.

Skąd się wziął u Adele Halstead ze sztyletem w rękawie i tym upiornym wyrazem w oczach? Czy miało to jakiś związek z jego pracą w wywiadzie? Odpowiedź nasuwała się sama.

Kluczem do zagadki była Lillyanna de Gennes. Kobieta, którą spotkała śmierć w kościółku na przedmieściach Orthez. Ta scena stała jej przed oczyma jak żywa: Lillyanna biegnie ku Thorntonowi Lindsayowi i grupce jego żołnierzy.

Caroline ogarnęło przerażenie. Perspektywa zdemaskowania była całkiem realna. To na pewno on. Te blizny. Związek z wywiadem.

Dużo później, gdy już byli w Hiszpanii, słyszała opowieści o brytyjskim żołnierzu, który wygrzebał się z ruin kościółka i chodził jak w obłądnie, wołając swoją kochankę. Jej imię brzmiało Lillyanna.

Do rzeczywistości przywrócił ją szept brata. Był zaniepokojony.

- Musimy iść, Caro, zanim on się ocknie. Mamy niecałych dziesięć godzin do odjazdu porannego dyliżansu do Bristolu.

- Wiem.

Wolałaby zostać z księciem. Nie chciała go tak zostawiać. Był nieprzytomny, mogło mu grozić niebezpieczeństwo. Jednak nie mogła inaczej postąpić, nie miała wyjścia.

Przeniosła palcem pocałunek ze swoich ust na jego wargi.

- *J'espère vous revoir bientôt* - szepnęła, podążając za bratem. - Mam nadzieję, że wkrótce cię znowu zobaczę.

Zniknęli w ciemnościach nocy.

- Lepiej nie pij.

Thornton uśmiechnął się do François i znowu pociągnął łyk brandy prosto z butelki. W głowie mu huczało z bólu, a świadomość, że dał się wywieść w pole Caroline Anstretton, nie poprawiała samopoczucia.

On, as wywiadu Wellingtona podczas kampanii na Półwyspie Iberyjskim, został wystrychnięty na dudka przez dziewczynę, która za każdym razem, gdy miał z nią do czynienia, sprawiała wrażenie kogoś zupełnie innego.

Kim jest naprawdę i gdzie teraz przebywa?

- Kto cię tak urządził?

François ostrożnie wymacał rozcięcia z tyłu głowy Thorntona. Niechcący uraził przyjaciela. Wokół nich stał wianuszek służby Wroxhamów w niemym zdumieniu obserwujących niezwykle widowisko.

- Nie wiem.

Thornton przyłożył zimną butelkę do bolącej głowy. Dlaczego kłamie? Dlaczego w ogóle myśli o tym, żeby ją osłaniać? Nic o niej nie wie, lecz wie, kim Caroline Anstretton nie jest. Nie jest złodziejką, rudowłosą Angielką. Jeśli będzie motała się głębiej w te swoje kłamstwa, natrafi w końcu na kogoś, kto ją skrzywdzi, i to boleśnie.

Jak ją odnaleźć? Od czego zacząć? Nie miał tutaj swoich oczu i uszu, którymi posługiwał się kiedyś w wywiadzie. Wsadził rękę do kieszeni surduta i nie zdziwił się, że medalion z niej wyparował.

Próbował odtworzyć z pamięci skomplikowany ornament wygrawerowany na zewnętrznej kopercie. Było ciemno i miał ten przedmiot w dłoniach zaledwie przez kilka sekund. Skoncentrował uwagę na tamtej chwili. Przypomniawszy sobie inne wrażenia: zapachy, dźwięki. Zawsze miał bardzo wyostrzone zmysły, co okazało się bardzo przydatne w ciągu sześciu długich lat działalności we Francji.

Pozornie nieistotne szczegóły. Zaledwie wrażenia. Wspomnienie dotyku jej skóry i zapach róż.

„Mamy niecałych dziesięć godzin do odjazdu porannego dyliżansu do Bristolu”.

Wrażenia słuchowe były zawsze ostatnimi, które docierały do jego świadomości. Wyciągnął zegarek. Dochodziła jedenasta.

- Dawaj konie, François.

Nie zwracał uwagi na ból głowy i protesty przyjaciela. Zerwał się na nogi i w pierwszej chwili go zamroczyło. Musi się dowiedzieć, kim jest Caroline Anstretton i dlaczego dziwnym zbiegiem okoliczności nieustannie wkracza w jego życie. Doświadczenie podpowiadało, że nic nie jest dziełem przypadku, a obecność Adele Halstead w tej sprawie mogła tylko martwić.

Odpowiedź dawał medalion, był tego pewien. Nie chodziło o jego wartość, nikłą w jego ocenie, ani o umieszczone w środku miniatury rodzeństwa Anstrettonów, ale o to, dlaczego był ukrywany. To wymagało wyjaśnienia w pierwszej kolejności.

Caroline zauważyła go już z daleka. Siedział na koniu, jego towarzysz również. Obserwowali podróżnych wsiadających do dylizansu jadącego do Bristolu. Skryła się w cieniu bocznej uliczki i gestem nakazała Thomasowi, aby się zatrzymał. Wkrótce zrozumiał dlaczego.

- Do diabła, myślałem, że przyłożyłem mu dostatecznie mocno i że będziemy mieć spokój przynajmniej przez tydzień. Skąd wiedział, że tu będziemy?

Thomas nie potrafił skryć pewnej dozy podziwu dla Thorntona.

- Chyba rozmawialiśmy o swoich planach, gdy leżał nieprzytomny.

- Mógł coś słyszeć? Może to, co o nim opowiadają, jest prawdą.

Poranna mgła się podnosiła. Thornton Lindsay wysoko postawił kołnierz ochraniający od chłodu, oko zasłonił opaską, a na głowie umieścił wojskowy kapelusz. Budził respekt. Ludzie usuwali mu się z drogi. Caroline było przykro, że oszpecona bliznami twarz Thorntona budzi zaciekawienie gawiedzi. Miała nadzieję, że on tego nie dostrzega. Była w doskonałym nastroju. Wkrótce opuszczą wraz z bratem Londyn. Odzyskała medalion, w kieszeni spoczywało pięćdziesiąt złotych gwinei. Czowała się lekko bez ciężkiej, rudej peruki Caroline Anstretton.

Nowy początek. Nowy kierunek.

Miała nadzieję, że Thorntona Lindsaya głowa nie boli zbyt mocno i że towarzyszący mu człowiek to przyjaciel. Udawała, że nie widzi, jak co rusz pocierał palcami lewej dłoni skroń, jakby chciał rozmasować bolące miejsce. Jest księciem krwi, poradzi sobie. W domu zaopiekuje się nim legion służby. Wykąpie się, zje dobry posiłek, a w przyszłości żona ogrzeje mu łóżko. Jaka ona będzie, ta żona? Na pewno panna z dobrej rodziny, dorównująca mu pozycją. Ważne, żeby była obdarzona szlachetnym sercem, bo na taką zasłużył podczas długich lat służby.

Oczy zaszły jej łzami, bo właśnie zatrzaskiwano drzwi za ostatnimi pasażerami dyliżansu. Odjeżdżał bez nich. Woźnica zaciął konie batem. Teraz księżę powinien się oddalić. Widzi go po raz ostatni.

Rzeczywiście odjechał wraz z towarzyszącym mu mężczyzną. Wyciągała za nimi szyję dopóty, dopóki nie zniknęli w ponownie gęstniejącej mgle.

- Następny dyliżans odjeżdża o pierwszej - poinformował Thomas, gdy ze swoim jedynym kuferkiem wchodzili do najbliższej gospody.

Zapach jedzenia sprawił, że poczuła się głodna. Szorstka wełna zakonnego habitu drażniła twarz. Dobre przebranie. Bratu też pasowała księża sutanna. Grupa siedząca w kącie gospody usunęła się, żeby zrobić im miejsce. Pan Bóg nie daje zginąć pobożnym ludziom, żartowała w duchu, gdy karczmarz nie przyjął od nich zapłaty za chleb i wodę.

Dotykała ukrytego w kieszeni medalionu. Uśmiechała się do siebie. Odblask płonącego na kominku ognia rozświetlał złoty krzyżyk na jej szyi, rzucający jasne refleksy na twarz brata. Thomas, jej zbawca, najbliższa osoba na świecie. Zrodzony z tej samej krwi, co ona.

Łzy nabiegły jej do oczu. Otarła je rękawem habitu. Razem dadzą radę światu. Na pewno. Pograżyła się w żarliwej modlitwie.

- Zmieniłeś się, Fox, od czasu, gdy widziałam cię po raz ostatni.

Fox. Tak brzmiało jego nazwisko w mrocznym świecie gdzie lepiej nikomu nie zwierzać się ze swoich zamierzeń.

- Trudno orzec, czy na lepsze, czy na gorsze. Zawsze miałam słabość do mężczyzn doświadczonych przez los - ciągnęła.

Podążając za Adele Halstead do salonu, Thornton stwierdził, że nie utraciła nic ze swojej dawnej urody i gibkości, tylko jej włosy, niegdyś czarne, były teraz lekko posrebrzone.

- Powiedziano mi, że zawdzięczam ci przegnanie z mojego domu jakichś złodziejasków. Służba była pełna podziwu dla twojej brawury, choć wydaje się, że sama raczej się nie popisała.

- Nie jestem już taki jak kiedyś. - Thornton starał się, żeby nie było w tym oświadczeniu zbyt czytelnej ironii.

- Nie jestem przekonana. Wieść niesie, że przyjechałeś do Londynu, żeby udzielić odprawy kochance, kobiecie o podejrzonej reputacji. Cały Londyn tym żyje - dodała ze śmiechem Adele.

Thornton zignorował te żarty. Wyciągnął z kieszeni list otrzymany od François i wręczył go Adele.

- Wpadło mi to w ręce dwa dni temu. Rozpoznałem twoje pismo.

W miarę czytania na twarzy Adele ujawniało się zrozumienie.

- Lillyanna de Gennes?

- Dlaczego nie wzięła pod uwagę twojego ostrzeżenia?

- Sama sobie wówczas zadawałam to pytanie. Wydawało mi się, że ją znam, bo była moją kuzynką. Spodziewałam się po niej większej dozy instynktu samozachowawczego.

- Ale mnie nie ostrzegłaś.

- Nigdy byś mi nie uwierzył. Słyszałam, że coś się kroilo, ale nie znałam szczegółów, a kierowanie się przeczuciami w tak ważnych momentach może być interpretowane jako słabość. Potrafiłeś być bezwzględny, gdy ktoś popełniał błędy, a ty przecież cieszyłeś się pełnym zaufaniem Wellingtona. Jestem zaskoczona, że Lilly nie powiedziała ci o moich obawach.

- Dosyć - przerwał jej. - Nie przyszedłem wysłuchiwać twoich usprawiedliwień.

- W takim razie po co przyszedłeś? Odebrał jej list.

- To ty zastawiłaś pułapkę?

Adele przecząco pokręciła głową. Thornton czuł, że go dusi w gardle ze zdenerwowania. Blizny na lewym policzku pulsowały na wspomnienie dnia, w którym zaufanie starła w puch nawałnica ognia artyleryjskiego.

Życie Lillyanny. Życie piętnastu jego żołnierzy było stawką w tej grze.

Zdrada i lojalność to dwie strony tej samej monety, lecz ta zdrada była zupełnie nieoczekiwana.

- Myślę, że kłamiesz.

- Doprawdy? - Okazała zadziwiające opanowanie. - Zawsze byłeś taki... szlachetny. Jeśli chcesz znać prawdę, to ci powiem: to żadna zaleta w ostatecznym rozrachunku, bo nikt nie potrafił sprostać standardom, których spodziewasz się po ludziach, nawet Lilly. Na marginesie, straciła oboje rodziców w czasie bitwy pod Maidą. Zabili ich Brytyjczycy. Czasami stare lojalności biorą górę nad nowymi.

Starał się nie okazywać złości, w którą Adele udało się go wpędzić tymi słowami.

- Lillyanna nie wiedziała o francuskich działach rozłokowanych na wzgórzach nad miasteczkiem.

- Jesteś tego pewien?

Wyraźnie starała się zamazać swoją odpowiedzialność, ale zbił go z tropu jej uśmiezek, w którym doczytał się pewnej dozy politowania.

- A może Lilly cię nie ostrzegła, ponieważ wówczas wiedziałbyś, że grała na dwa fronty?

- Tak jak ty?

- Jestem żoną angielskiego hrabiego, ze starej arystokracji i z majątkiem gromadzonym od wieków. Dlaczego miałabym robić coś, co podważyłoby moją

pozycję? A poza tym stawiałam pierwsze kroki w szpiegowskiej profesji i po tym incydencie wróciłam do Anglii, wyleczona z wszelkich ambicji zrobienia kariery.

Nalała sobie kolejną filiżankę herbaty. Zmieniła temat.

- Słyszałam, że ta piękna wdówka, która przysięga, że byłeś jej kochankiem, przyjechała z Paryża. Prawda to? Ma brata bliźniaka? Chętnie bym się z nią zobaczyła.

Instyktownie poczuł, że nie powinien ufać Adele.

- Dwa dni temu wyjechali z Londynu do Edynburga, gdzie zamierzają spędzić jakiś czas u krewnych. Wątpię, czy kiedykolwiek ich jeszcze spotkam.

- Dużo wiesz o ich ruchach.

- To moje powołanie. Lubię wiedzieć o ludziach tak dużo, jak to tylko możliwe.

Jakiś czas oboje siedzieli w milczeniu. Pierwsza odezwała się Adele:

- Pozwól, że cię przetestuję. Czy zauważyłeś twarze włamywaczy tamtej nocy?

- Nie. Otrzymałem cios w tył głowy, jak tylko wszedłem do pokoju. Co ci zginęło?

- Sakiewka ze złotem, perły i zegarek na łańcuszku.

- Masz szczęście, że tylko tyle. W ciemnościach naliczyłem co najmniej trzech mężczyzn.

Thornton dostrzegł cień niepewności w aroganckim spojrzeniu Adele.

- Twój mąż wrócił razem z tobą z Kentu?

- Tak, ale leży chory. Zaszkodziło mu coś, co zjadł.

- Chciałbym z nim porozmawiać, oczywiście jak poczuje się lepiej.

- Myślę, że korzystniej będzie dla nas wszystkich, jeśli zerwiemy naszą znajomość. Mój mąż nie życzyłby sobie, żebyś go dręczył opowieściami o mało pochlebnych epizodach z mojego życia.

- Ponieważ nie ma pojęcia, że jego żona okazała się zdrajczynią?

Zamiast odpowiedzieć, Adele wzięła do ręki mały dzwonek leżący na stoliku.

Do pokoju wszedł lokaj.

- Słucham, jaśnie pani?

- Proszę wyprowadzić księcia Penborne'a. Właśnie wychodzi.

Thornton wstał z fotela.

- Rozmowa z panią to prawdziwa przyjemność, lady Adele. Proszę przekazać pozdrowienia rodzinie.

Chciało mu się śmiać na widok jej zaciętych ze złości ust. Odszukał laskę i wyszedł.

W powozie myślał o rozmowie z Adele. Kłamała. Nie przyznała się do utraty medalionu. Osłaniała męża czy siebie? Wyraźnie czuła się nieswojo, gdy zagadnął o Wroxhama, i nie chciała, żeby się dowiedziano, co naprawdę zginęło podczas włamania. Dlaczego?

Ogarnęło go zniechęcenie. Droga donikąd. Pozory więzi międzyludzkich. Zignorowane ostrzeżenie. Skradziony medalion przechodzący z rąk do rąk. Wojna, której macki sięgają aż do dzisiaj. Echo zdrady. Słowa, mające ukryć prawdziwy sens innych słów. Dojmujący ból po stracie.

Kurczowo zacisnął palce na rzeźbionej gałce hebanowej laski. Samotność jest nie do zniesienia. On nie ma nikogo. W gwarnym Londynie było to odczuwalne znacznie boleśniej niż w Kornwalii.

Zapragnął wrócić do domu.

Najpierw jednak wypyta woźniców i służbę w gospodzie, może dowie się czegoś o nowym przebraniu, w jakie przyoblekli się Caroline i Thomas Anstrettonowie.

Rozdział szósty

Sierpień 1817 roku

Caroline ustawiła się tyłem do sali balowej i poprawiła maskę na twarzy. Złoty jedwab sukni połyskiwał delikatnie w świetle świec. Była podekscytowana. Od wyjazdu w Londynu upłynęło długich szesnaście miesięcy. Opuszczali miasto z duszą na ramieniu i pięćdziesięcioma gwineami w sakiewce. Jej życie zmieniło się diametralnie. Stała się mądrzejsza, ostrożniejsza, zwłaszcza w stosunkach z mężczyznami.

Poprawiła płowe włosy, które wymknęły się z węzła na szyi podczas tańca z jednym ze starszych kuzynów Hilvertonów.

Po wyjeździe z Londynu nie wyobrażała sobie, że kiedykolwiek znowu postawi stopę na sali balowej, że będzie jej dane bawić się, czuć się młodo i radośnie i uczestniczyć w życiu towarzyskim ziemiaństwa. Tak się stało głównie dzięki Gwenneth Hilverton, synowej hrabiego Kilvertona, żonie dziedzica jego włości i tytułu. Spotkała Gwenneth przypadkiem na wieczorku towarzyskim w Bristolu i ta zaproponowała jej zamieszkanie w niewielkim domku na terenie posiadłości Hilvertonów w zamian za wykonanie portretów jej dzieci.

Caroline wróciła do sali balowej i stanęła obok swojej protektorki. Uściskały się serdecznie.

- Pięknie dziś wyglądasz, Caroline. Do twarzy ci w tej sukni, tak jak przypuszczałam.

- Naprawdę nosiłaś ją? Wygląda na nową.

- Miałam ją na sobie raz, gdy byłam taka szczupła jak ty, ale to było dawno temu. Malcolm wciąż powtarza, że bym przestała tyle jeść. Staram się, ale trudno mi się pohamować.

Wzmianka o mężu Gwenneth przyćmiła dobre samopoczucie Caroline. Zaczęła się niespokojnie rozglądać, czy młodego lorda Hilvertona nie ma w pobliżu. Jak nikt nie widział, pozwalał sobie na poklepywanie jej w pośladek. Caroline jednak się nie skarżyła, ponieważ wiedziała, że to zaboli Gwenneth.

Rola przykładnej wdowy, którą odgrywała, odstręczała od niej większość mężczyzn. Nosila okulary i doskonaliła mało zachęcające miny, ale Malcolmowi Hilvertonowi, zresztą jako jedynemu, wcale to nie przeszkadzało.

Zastanawiała się nieraz, dlaczego Gwenneth za niego wyszła. Była bogata z domu i nie musiała oddawać ręki mężczyźnie, który ją nieustannie łajał i traktował jak kogoś, kto ma niewiele do powiedzenia.

Dzisiaj nie będzie się niczym przejmowała. Postanowiła się dobrze bawić. W masce zakrywającej twarz Caroline czuła się bezpiecznie. Przed północą wymknie się do swojego domku, który znajdował się po drugiej stronie leśnej polany.

Znowu wcieli się w rolę szacownej i godnej wdowy Weatherby. Kobiety prowadzącej spokojny tryb życia, zarabiającej na utrzymanie malowaniem portretów dla możnych sąsiadów.

Najlepszym wzorem jej kunsztu malarskiego była podobizna męża, wisząca na ścianie w jadalni. Młodego męża, który zginął w katastrofie morskiej koło Plymouth, gdy sztorm zatopił jego statek.

Nieraz, gdy siedziała przed domem z Alexandrem w ramionach, a od Kanału Bristolskiego wiała lekka bryza, sama prawie wierzyła w ten wymysł. Wtedy też wspomnienia o Thorntonie Lindsayu były najżywsze.

Przed oczami Caroline stawała okropna scena. Pamiętała, jak twarz księcia skrzywiła się z bólu, gdy Thomas powalił go uderzeniem w głowę w ciemnym pokoju w domu Adele Halstead. W świetle księżycy widoczne były pobielające szramy na jego policzku. Odpędzała od siebie te wizje. Anonimowość jest najważniejsza. I dystans. Zaprzedała duszę w zamian za bezpieczeństwo brata.

Dość tych czarnych myśli. Jeszcze tylko kilka godzin do północy. Będzie się bawić. Pociągnęła Gwenneth do jadalni, gdzie zgłodniaли goście tłoczyli się przy bufetach.

- Wiesz, Caroline, chyba nie pójdę jeszcze na kolację. Mamy gości z Londynu. Malcolm spodziewa się, że z nimi porozmawiam, ale wyglądają raczej niezachęcająco, więc do tej pory się od tego wymigiwałam. Zwłaszcza ten wyższy...

- Wskazała na grupkę po drugiej stronie sali.

Caroline spojrzała w tamtą stronę i zamarła.

Wspaniale się prezentował. Ciemnowłosey, cały w czerni, pokiereszowaną połowę twarzy osłaniała półmaska. U jego ramienia wisiała uczepiona piękna kobieta. Gdyby nie Gwenneth, Caroline chyba by upadła. Zakręciło się jej w głowie, puls łomotał w skroniach. Wydawało się jej, że ma wypisane na twarzy, że nie więcej niż dziesięć kroków od niej stoi mężczyzna, z którym kiedyś połączyła ją intymna znajomość. Mężczyzna, któremu sprzedała swoje wdzięki.

Ogarnęło ją przerażenie, ale on patrzył na nią spokojnie takim wzrokiem, jaki zapamiętała: badawczym i przenikliwym. Zmusiła się do uśmiechu, stała prosto i oddychała równomiernie, gdy zbliżał się w ich stronę, lekko marszcząc czoło, jakby ze zdziwienia.

- Lady Hilverton, witam panią. - Wyciągnął okrytą rękawiczką dłoń do Gwenneth.

Czy ją rozpozna? Czy będzie pamiętał? Caroline nie śmiała podnieść na niego wzroku i była szczęśliwa, że między nią a nim ustawił się Malcolm Hilverton z poczerwieniałą z podniecenia twarzą i wzrokiem pełnym poczucia ważności własnej osoby.

- Wielki to dla nas zaszczyt z pana strony, wasza wysokość. Mam nadzieję, że pozostanie pan u nas przynajmniej kilka dni. Zechce pan wziąć udział w jutrzejszej przejażdżce konnej i pikniku na skałach nad zatoką Morte? - tokował.

- Być może.

Odpowiedź nie brzmiała zachęcająco i Malcolm, pragnąc ukryć zmieszanie, wypchnął do przodu Caroline, zbyt długo jak na jej gust, przytrzymując ją za łokieć.

- Chciałbym poznać pana z panią Weatherby, która od ponad roku mieszka w naszej posiadłości z bratem i małym synkiem.

Alex! Bursztynowe oczy i czarne jak niebo o północy włosy chłopca były lustrzanym odbiciem wizerunku ojca, którego nigdy nie pozna, z którym nigdy nie będzie miał kontaktu. Ponieważ jest synem takiej kobiety jak ona. Dla niej nie ma miejsca w towarzystwie ani w rodzinie sięgającej korzeniami wiele pokoleń wstecz.

Bastardem.

Odważyła się unieść wzrok. Thornton przyglądał się jej badawczo, niepewnie. Pod dolną krawędzią maski odnalazła znajomą nierówność skóry. Był groźny, budził respekt. Miał oblicze człowieka doświadczonego przez życie, a krążące wokół jego osoby plotki trzymały ludzi na dystans.

- Domyślam się, że wasza wysokość przyjechał obejrzeć swoje tutejsze włości - nie milkł Malcolm.

Odzyskał już pewność siebie i nawet jedna uniesiona pytająco w górę czarna brew nie potrafiła zbić go z tropu.

- Mógłbym pomóc panu rozejrzeć się w lokalnych stosunkach...

- Mam już kogoś, kto się tym zajmie.

Thornton Lindsay nie zadawał sobie trudu, by osłodzić odmowę. Młoda kobieta uwieszona jego ramienia gestem posiadaczki przycisnęła do niego głowę. Wyglądała tak młodo, że można by się zastanawiać, czy to dla niej nie za późna pora, bo osoby w jej wieku powinny być już od dawna w łóżku.

Caroline poczuła się nagle staro, niemal jak stuletnia matrona. W wieku lat dwudziestu dwóch znajdowała się już niejako po drugiej stronie życia, w sytuacji, w której wszelkie szanse na prawdziwy i trwały związek niweczyła przeszłość, ciążyąca na jej opinii w każdym szanującym się towarzystwie.

Napotkała wzrok księcia Penborne'a. Uważny, sondujący. Rozpoznał ją mimo maski? Wie? Pamięta? Och, żeby już sobie poszli. Niech wracają, skąd przyszli. Jak najdalej stąd i jak najdalej od niej, od wspomnień i nurtującego ją żalu.

Żalu, że nie może uchwycić jego dłoni i na zawsze zatrzymać go przy sobie. Że nigdy nie położy się obok niego na grubym dywanie w jego domu i nie przeżyje tego wszystkiego, czego nie przeżywała nigdy przedtem ani potem. Nie może sobie na to pozwolić. Tym razem konsekwencje byłyby poważniejsze.

Alexander! Tylko on się liczy!

Malcolm nie zamierzał łatwo się poddać. Starał się wyciągnąć dla siebie z obecności szacownego gościa wszelkie możliwe korzyści.

- Słyszałem, że przywiózł pan stado wspaniałych koni. Podobno araby czystej krwi, specjalnie sprowadzone do Anglii.

Caroline wyczytała we wzroku Lindsaya zaskoczenie. Jego odpowiedź zawierała pozory uprzejmości.

- Jeśli jest pan zainteresowany, zapraszam do obejrzenia. Zabawimy w Millington do końca tygodnia.

Jeszcze sześć dni? Naciągnęła szczelnie na twarz maskę. Zaalarmowało ją, że księżę z niepokojącym zainteresowaniem śledził ruchy jej dłoni.

Konie, domy. Dziedzictwo przechodzące z jednej generacji na drugą. Ona i Thomas wypadli z tej ciągłości, a teraz wypadnie Alexander, i to z jej winy. Odwróciła się i ignorując zdziwienie Gwenneth, ruszyła szybkim krokiem do drzwi. Nie zdołała pohamować łez.

Musi wrócić do domu, znaleźć się z dala od światła, muzyki i obezwładniających myśli o tym, co mogło być, a nie było. Musi usunąć się z zasięgu niebezpiecznego księcia Penborne'a.

Wzięła się w garść w ogródku otaczającym ich domek. niesprawiedliwość losu jakby mniej doskwierała pod pokrytym błyszczącymi gwiazdami niebem. Piękna noc - aksamitne letnie powiewy i przytłumione dźwięki Mozarta w oddali.

Thomas czytał książkę, siedząc na kanapie. Alexander spał na jego kolanach. Wyglądał jak cherubinek z zarumienionymi policzkami. Kilka dni temu złapał kaszel. Czowała się szczęśliwa, widząc brata i syna. To jej kotwice, dwa punkty oparcia we wzburzonym żywiole świata.

- Coś taka zmartwiona? - zapytał Thomas, ostrożnie zsuwając z kolan śpiące dziecko. Wstał na jej widok

- Na balu był Thornton Lindsay.

- Coś podobnego! Poznał cię?

- Prawie nie rozmawialiśmy.

- Długo tu jest?

- Nie jestem pewna. Prawdę mówiąc, ma w tej okolicy majątek.

- Znajdziemy inne miejsce.

Po raz pierwszy od długiego czasu myślała, że mają szansę na zakorzenienie się. Tymczasem jej brat był gotów w jednej chwili wszystko rzucić i wyruszyć w drogę. Potrząsnęła przecząco głową. Pochwycił jej dłonie. Był jej taki bliski. Taki swój.

- Mianował nowego rządcę w majątku i nie zabawi długo. Gwenneth przedstawiła mnie jako panią Weatherby.

- Miałaś maskę na twarzy?

- Tak. Jestem pewna, że pióra dobrze zakrywały oczy. Spójrz.

Przytknęła maskę do twarzy. Spojrzał i uspokoił ją skinieniem głowy.

- Nawet ja miałbym trudności z rozpoznaniem ciebie - przyznał Thomas.

Przestała się denerwować, zbliżyła się do kanapy, na której spał Alexander.

- W takim razie jestem bezpieczna.

Odsunęła pasemko włosów z buzi dziecka, które poruszyło się przez sen. Jego ciepły oddech czowała na kciuku.

- Dla pewności oboje nie powinniśmy jutro wychodzić z domu. Malcolm wspominał o konnej przejażdżce i pikniku nad zatoką. Gdyby Lindsay zobaczył nas razem...

- Wyjeżdżam na kilka dni do Exeter. Mam pomagać Johnathonowi Wellsowi podczas aukcji bydła. Może pojedziesz ze mną.

- Nie. Czeka mnie dużo pracy, muszę wykończyć portret i Alexander jest przeziębiony. Poza tym księżę wyglądał na zakochanego w swojej towarzysze podróży.

Thomas popatrzył na nią bacznie. Dała mu znak ręką, żeby nic nie mówił. Domyślała się, jakie chciałby zadać jej pytania, ale nie czuła się na siłach odpowiadać na żadne z nich.

Pochyliła się nad chłopcem i delikatnie wzięła go w ramiona. Jego miękkie ciało momentalnie przywarło do jej piersi.

Alexander Thornton Weatherby. W chwili radości po jego urodzeniu nadała mu drugie imię po ojcu. Na pamiątkę.

Już trzy tygodnie po wyjeździe z Londynu wiedziała, że jest w ciąży. Aż do urodzenia syna czuła się zmęczona i bezbrzeżnie smutna. Dopiero gdy poczuła go w ramionach, gdy przyssał się do jej piersi, nadszedł kres smutków, niewytłumaczalne kaprysy jej losu straciły na znaczeniu, a tułacze życie dobiegło kresu.

Zastanawiała się, czy poinformować Thorntona Lindsaya o przyjściu na świat dziecka. Ile razy nawiedzała ją taka pokusa, rozpraszał ją list, który otrzymała od niego po wspólnie spędzonej nocy. Niedwuznacznie informował ją o swoich wobec niej zamiarach. Nie chciał jej za żonę.

Lepiej niech wszystko zostanie tak, jak jest. To było przypadkowe spotkanie bez dalszego ciągu. Niech się toczy zapoczątkowane nowe życie. Starła wierzchem dłoni spływające z oczu łzy i poszła ułożyć dziecko w łóżeczku. Jej świat nagle znowu znalazł się o krok od pograżenia się w chaosie, od negacji wszystkiego, co z takim trudem wokół siebie zbudowała przez ostatnie miesiące.

Nie dopuści do tego. Zrobi wszystko, żeby jej nie rozpoznał. Przycupnie, by niebacznie nie wejść mu w drogę. Musi unikać wychodzenia z domu, gdy jego towarzystwo będzie udawało się na przejażdżkę i piknik.

Śpiewała synkowi kołysankę, choć po policzkach płynęły jej łzy, a serce ściskał smutek.

Thornton Lindsay. Tutaj. Bliżej niż pół mili od miejsca, w którym siedziała. Patrzył na ten sam księżyc. Oddychał tym samym powietrzem.

Zgromiła się za głupotę i starannie otuliła koczykiem śpiącego w kołysce synka.

Thornton stał przy oknie zapatrzony w spowity ciemnością krajobraz tej części Anglii. Cywilizowany, łagodny, wypielegnowany. Jakże inny od dzikiej Kornwalii z jej rozległymi plażami, smaganymi wiatrem zatokami, gdzie rozbijające się o klif fale wyrzeźbiły w piaskowcu poszarpaną linię brzegową.

Czuł, że jest w przełomowym momencie życia, i zastanawiał się, dlaczego jego los przybrał taki właśnie obrót. Wydawało mu się, że utracił coś niewytłumaczalnego. Miał dwadzieścia osiem lat i w pełni świadoma, wykalkulowana decyzja znalezienia sobie żony nie dała spodziewanego rezultatu.

Nawiedziło go wspomnienie innej nocy w Londynie. Owych pięćdziesiąt gwinei to zaiste niewielka cena za godziny, które sobie za nie kupił.

Wdowa Weatherby przypominała mu Caroline Anstretton. Silna, niezwykła. Było coś znajomego w ruchach jej głowy, w wyrazie ust. Szkoda, że nie mógł zerwać z jej twarzy maski i zajrzeć w oczy.

Dopił brandy, której pełny kieliszek trzymał w dłoniach.

Niezawodna pamięć podsunęła mu pewien szczegół. Gdy poprawiała maskę, zwrócił uwagę na jej dłoń. U nasady kciuka zauważył półksiężycowatą bliznę. Ale włosy były inne. Płowe, prawie białe i kędzierzawe.

Miała dziecko. Syna!

Zaczął liczyć miesiące, które upłynęły od tamtej nocy w Londynie, i doliczył się rezultatu, który przyprawił go o uderzenie krwi do głowy.

To musiała być Caroline Anstretton - i była matką. W tej krótkiej chwili olśnienia był szczęśliwy, że nie stała przed nim ta próżna, na zimno kalkulująca oszustka, albowiem nie był pewny, czy mógłby się powstrzymać od uduszenia jej własnymi rękami.



Rozdział siódmy

Caroline ubierała się starannie. Zakupione jeszcze w Londynie grube okulary ciążyły na nosie. Chętnie by się ich pozbyła, bo przyprawiały ją już od pierwszej chwili po włożeniu o ból głowy. Zbyt ciasno związane w węzeł włosy też robiły swoje.

Musiała się wybrać po chleb i mięso. Liczyła na to, że o tak wczesnej porze przemknie się niezauważona. Aleksem przyszła zaopiekować się Anna, dziewczyna z pobliskiej wsi. Bez synka u boku, Caroline miała nadzieję szybko uwinąć się z zakupami.

Thomas rankiem wyjechał na aukcję bydła w Exeter, zanim jeszcze się obudziła i nie spodziewała się jego powrotu wcześniej niż za dwa dni. Ugotuje zupę, a czas przymusowego siedzenia w domu wykorzysta na wykończenie portretu najmłodszego dziecka Gwenneth.

Obmyślając te plany, schodziła w dół ścieżką wiodącą do Campton. Czowała się bezpiecznie i była pewna, że nie wydarzy się nic, co zakłóci ten stan.

Dzień był pogodny. Niebieskie niebo i przygrzewające słońce zapowiadały upalne popołudnie. To już jej drugie lato w Campton. Będzie trzecie? A może czwarte? Z całego serca tego pragnęła. Chciała, żeby Alex właśnie tu dorastał.

Pragnęła życia ograniczonego nie tym, co można dostać, lecz tym, co można ofiarować. Jakże odmienne od jej własnego dzieciństwa w wypełnionym drogocennymi drobiazgami pałacyku Malmaison na przedmieściach Paryża. Dzieciństwa spędzonego pod okiem Guy de Lerina obecnego dosłownie w każdym kącie. Nie, nie powinna sobie zawracać nim głowy w takim dniu jak ten. Związane z de Lerinem poczucie winy potrafi przesłonić każdą radość.

Campton kipiało życiem. Dzień był targowy i od rana trwała ożywiona krzątania na rynku. Caroline rozejrzała się, by sprawdzić, czy żaden wysoki,

ciemnowłosy obcy nie czyha na nią w tłumie. Uspokoila się, wszystko wyglądało tak jak powinno. Niestety, gdy przechodziła obok płotu przy sklepie Selmana, ktoś nagle wyrósł na jej drodze.

Thornton Lindsay.

Czekał na nią! Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Wyczytała to w spojrzeniu, jakim ją zmierzył. Zamarła z przerażenia. Dotknął jej ramienia. Żołądek podszedł jej do gardła, zrobiło się jej słabo, ogarnęła ją ciemność.

Ocknęła się w alkwie za sklepem. Leżała na łóżku bez ruchu. Nie otwierając oczu, przysłuchiwała się rozmowie toczony nad jej głową. Zorientowała się, że mówią o niej.

- Zawsze wyglądała tak zdrowo. To omdlenie zupełnie do niej niepodobne.

To głos Kathleen Selman, żony sklepikarza.

- Może pošlemy po brata? - zapytał Kelvin Selman, mąż.

- Nie ma go, jest w Exeter, ale ktoś pobiegł po akuszerkę. Ta najlepiej się zorientuje, co dolega tej biedaczce.

- Może jest znowu przy nadziei?

Odpowiedzią było głośne westchnienie pani Selman.

Przy nadziei? Wdowa? Caroline zawrzała wewnętrznym oburzeniem. Przez ostatnich szesnaście miesięcy prowadziła się tak wzorowo, że bardziej nie można, a mimo to mogą o niej mówić takie rzeczy?

Gdzie się podział Thornton Lindsay? Starala się wyczuć, czy jest w pobliżu. Dojrzała go przez szparkę w powiekach. Patrzył wprost na nią z wściekłą miną. W rękę trzymał jej okulary.

Zaczerwieniła się jak piwonia, w jej oczach stanęły łzy. To koniec. Jest zrujnowana. Zdemaskowana. Czekala, żeby odezwał się pierwszy, by ujawnił, że ją zna. Zdziwiła się, że tego nie uczynił, lecz oddał jej okulary i nadal trwał w milczeniu, wyniosły, zagniewany.

Nie zważając na prośby pani Selman, żeby się nie ruszała, Caroline usiadła i włożyła okulary. Cała drżała. Jedno słowo księcia i będzie po niej. Czowała się jak ćma w pobliżu ognia, od którego nie ma ucieczki.

Kathleen Selman przyłożyła jej do czoła wilgotny zimny kompres.

- Zaraz poczujesz się lepiej, tylko nie jestem pewna, czy nie powinnaś raczej leżeć.

Caroline ucieszyła się z kompresu. Mogła się pod nim schować choćby na krótko.

- To dziwne, że taka młoda i zdrowa osoba jak ty nagle mdleje. Może zawiniły nieprzespane noce z powodu Alexandra...

- Byłam na balu. Musiałam zjeść coś nieodpowiedniego.

Nie powinna wchodzić w słowo zatroskanej i gotowej nieść pomoc kobiecie. Caroline wiedziała, że to niegrzeczne, ale chciała przerwać wszelkie dywagacje na temat syna.

- Odprowadzę panią do domu.

Głos księcia zabrzmiał stanowczo. Nie brał pod uwagę sprzeciwu.

- Wasza wysokość, nie trzeba. Już mi prawie dobrze...

- Sprowadźcie mój powóz - rozkazał stojącemu przy drzwiach służącemu.

Uniósł ją za łokieć. Nie chciała robić scen przy ludziach, ustąpiła, nie miała wyjścia. Gdyby mogła porozmawiać z nim w cztery oczy, może przekonałaby go, żeby po prostu zniknął. Nie musiałby udowadniać, że jest rycerski wobec kobiet.

Jednak gdy w powozie otworzył usta, zrozumiała, że nie będzie łatwo.

- Chcę zobaczyć moje dziecko.

- Pańskie dziecko?

- Nasze - poprawił się.

Zaciskał dłonie z taką siłą, że aż pobielaly.

- Alexander Thornton Weatherby, tak?

Caroline paraliżował strach.

- Skąd pan wie?
- Moja sakiewka jest ciężka, a każda informacja ma swoją cenę.
- Jestem tutaj wdową Weatherby. Szacowną, przyzwoitą, dobrze prowadzącą

się. O tym też panu powiedziano?

Skrzywił pogardliwie usta.

- Co się przydarzyło pani mężowi?
- Umarł.
- Jak?
- Utonął.
- Przynajmniej nie było kłopotu z pogrzebem.

Caroline milczała.

- Chcę zobaczyć Alexandra.
- Po co?
- To mój syn.
- Nie. Alex jest synem mężczyzny, który utonął w morzu.
- I miał na imię Thornton? Daj spokój, Caroline. Bądź ze mną szczerą.

Alexander został poczęty w nocy piętnastego kwietnia tysiąc osiemset szesnastego roku, za co jego matka otrzymała pięćdziesiąt gwinei. Owa kobieta, uchodząca powszechnie za kurtyzanę, okazała się wyjątkowo mało biegła w sztuce miłości.

Powiedziawszy to, Thornton roześmiał się w głos.

- On jest mój - oznajmił.

Zamarła z przerażenia, sytuacja stawała się nie do zniesienia, bo bliskość księcia działała na jej zmysły. Dotknął jej piersi, której kształt tak wyraźnie rysował się poprzez materiał sukni w świetle słonecznym, zagładającym z ukosa przez okno powozu.

- Stangret...
- Nie zatrzyma się, dopóki mu nie każę.

- Pan myśli, że jestem taka łatwa? - rozzłościła się Caroline. - Uważa pan, że po szesnastu miesiącach może bez ceremonii wkroczyć w moje życie i spodziewać się... spodziewać się... że znowu? Ot tak? Tutaj? Nie. Nie zrobię tego. Wykluczone!

- Myślę, że zrobisz. To twój dom?

Puknął dwa razy laską w dach. Powóz stanął.

Wpadła w panikę. Stali przed jej niewielkim domem, dosłownie obsypanym kwiatami pnących róż. Znikąd żadnej pomocy.

- Tak.

- Nasz syn jest w środku?

Ze strachu odjęło jej mowę.

- Zostanę w tej okolicy jeszcze tydzień i liczę na to, że zanim mój pobyt dobiegnie końca, odzyskasz rozum i podasz mi przynajmniej swoje prawdziwe nazwisko. Rozumiesz, co mówię?

Otworzył drzwi powozu. Wyskoczyła na ziemię, a on, nie czekając na jej odpowiedź, wcisnął kapelusz na głowę i kazał ruszać. Łomot jej serca zlewał się ze stukotem ciężkich kopyt końskich.

Ruszyła biegiem do domu. Minęła Annę zajęłą przy kuchni i wpadła do pokoju, gdzie synek spokojnie spał, wydmuchując noskiem ciepłe powietrze.

- Alex!

Umarłaby, gdyby go straciła. Otworzył swoje śliczne, bursztynowe oczy.

- Moje kochanie - szeptała mu do ucha czułości, drżącymi ramionami przytrzymując przy piersi.

Wiercił się, był senny.

- Kocham cię, jesteś mój.

Uspokoił się i w jednej chwili znowu pogrążył się we śnie.

Przez okno odjeżdżającego powozu Thornton widział, jak Caroline biegła w stronę domu. Sztyta przez domoroślą krawcową sukienka owijała się wokół

zmysłowo kołyszających się bioder. Zaciśnął dłonie na udach, najwyższym wysiłkiem woli powstrzymywał się, żeby nie wysiąść z powozu i nie ruszyć za Caroline.

Zdumiała go jej reakcja, wolałby, żeby potrafiła zachować rozsądek i zdolność logicznego myślenia. W jej obecnym stanie rozmowa nie miałaby sensu, bała się go i mu nie ufała. Lepiej odczekać, aż nieco ochłonie, i wówczas uzyskać dostęp do syna.

To jego syn? Czy zawsze będzie igraszką kobiet? Najpierw Adele Halstead fałszywie oskarżająca Lilly o zdradę, czego nie potrafił odeprzeć, a teraz ta rzekoma wdowa Weatherby zaprzeczająca, że jest ojcem jej synka.

Mógł wyjechać. Mógł choćby w tej chwili wrócić do Penleven. Po prostu jechać przed siebie i nie oglądać się wstecz. A co potem? Dziecko wyrośnie i pójdzie w świat bez ojca. Chłopiec noszący jego imię, którego nigdy nie zobaczy, nie dotknie, nie pozna.

W bezsilnej złości uderzył dłońmi o drzwi powozu. Musi się nad tym wszystkim poważnie zastanowić.

Ujrzała go ponownie nazajutrz, podczas lunchu urządzonym przez Gwenneth w pięknych ogrodach Hilverton. Thomas ciągle jeszcze przebywał w Exeter. Alexander został pod opieką Anny w domu.

Tym razem Caroline była przygotowana, a nawet szczęśliwa, że zobaczy księcia. Zmobilizowała się wewnętrznie i była gotowa stawić mu czoło, ale on w otoczeniu gości Gwenneth nie czuł się tak swobodnie jak zazwyczaj.

Ukryty za wysoko postawionym kołnierzem surduta, mroził wyniosłą postawą. Czuło się siłę jego bogactwa i otaczającej go legendy, a jego posepna, pokancerowana twarz była zadziwiająco pociągająca.

Wokół tłoczyły się nadskakujące mu, krygujące się, rozflirtowane kobiety. Wyglądało na to, że nawet Gwenneth ulega jego czarowi. Caroline nadrabiała miną. Była pewna, że szesnaście miesięcy temu Thornton Lindsay nie wziąłby udziału w

takim spotkaniu towarzyskim, i zastanawiała się, co się zmieniło, że tym razem się na to zdecydował.

- Witam, wasza wysokość.

Odpowiedział skłonieniem głowy. Wbił w nią spojrzenie jednego nieosłoniętego oka, w którym wyczytała doskonale powściągnięte rozdrażnienie.

- Mam nadzieję, że dzisiaj lepiej się pani czuje, pani Weatherby.

Przynajmniej zapamiętał jej obecne nazwisko.

- Znacznie lepiej. Dziękuję, wasza wysokość.

Przyjęła z jego rąk szklaneczkę ponczu i starała się zachowywać tak swobodnie, jak tylko zdołała.

- Dowiedziałem się, że pani brat przebywa w Exeter.

- Tak, wasza wysokość, to prawda, ale kiedy go nie ma, śpi u mnie dziewczyna ze wsi.

Chciała, żeby było jasne, że nie bywa nocami w domu sama.

- Mówisz o Annie? - zapytała zdziwiona Gwenneth, przyłączając się do rozmowy. - Wspominałaś kiedyś, że lubisz, gdy nikogo nie ma...

Gwenneth urwała, bo dotarło do niej, jaki cel może mieć kłamstwo Caroline. Z niezwykłą zręcznością zmieniła temat rozmowy.

- Jak ci idzie portret Megan? Któregoś dnia rozmawialiśmy z Malcolmem o tym, jak bardzo udała ci się podobizna Jacka.

- Jest pani malarką?

Po raz pierwszy od czasu, gdy go poznała, Caroline usłyszała zdziwienie w głosie księcia Penborne'a.

- Param się pędzlem i węglem, żeby zarobić na czynsz za mieszkanie.

Gwenneth jest hojną mecenaszką.

- Namalowała wcale udane portrety moich dwóch synów i teściowej. Wiszą w głównym holu, gdyby pan zechciał im się przyjrzeć.

Uznanie ze strony Gwenneth było szczere i zanim Thornton zdążył ponownie otworzyć usta, Caroline doskonale wiedziała, co zaproponuje.

- Rozważyłaby pani przyjęcie zamówienia ode mnie? Dobrze zapłacę.

Rozległy się chichoty wśród tych, do których dotarły te słowa. Kobiety zazdrościły jej, a mężczyźni wydawali się zakłopotani. W pełnym świetle słonecznym szramy na lewym policzku i deformacja kości policzkowej księcia były aż nadto widoczne.

Gdyby chodziło mu o własny portret, była pewna, że nigdy nie zawisłby on w żadnej z jego rezydencji. On kupował jej czas, długie godziny przeznaczone na pozowanie. Serce zabiło jej gwałtownie, bo wiedziała, że otwarta odmowa sprowokuje niepotrzebne pytania.

Gwenneth zmarszczyła brwi, dziwiąc się, że Caroline zwleka z odpowiedzią.

- Naturalnie, będę zaszczycona. Próbowała zabarwić entuzjazmem swój głos.

- Odpowiadałoby pani, gdybyśmy zaczęli jutro? Mógłbym wysłać po panią powóz po lunchu.

Nie mogąc spodziewać się znikąd ratunku, skinęła głową na znak zgody i szybko skoncentrowała zainteresowanie na bogato zastawionym stole. Gdy wypełni usta jedzeniem, nikt nie będzie mógł oczekiwać od niej, że poprowadzi rozmowę.

Była wdową Weatherby, bogobojną i rozważną. Potrafiącą okazywać wdzięczność. Najmniejsze odstępstwo od tego wizerunku wzbudziłoby podejrzenia, na które ona nie mogła sobie pozwolić.

Upychając płowe włosy pod bezkształtnym czepeczkiem, napominała samą siebie, żeby nawet nie próbować wdawać się w rozgrywkę z księciem Penborne'em. To żołnierz i do tego szpieg. Tacy jak on pojawiają się w najbardziej zapalnych zakątkach świata i potrafią wydobyć od miejscowych ludzi najskrzętniej skrywane tajemnice. Oczekiwał od niej wyjaśnień, bo cnotliwa wdowa, z jaką miał teraz do czynienia, nie przystawała do obrazu kobiety, z którą spędził noc w Londynie, i

jeszcze mniej do obrazu złodziejki przyłapanej na gorącym uczynku w londyńskiej rezydencji Wroxhamów.

Na pewno miał wiele pytań.

Kim jesteś?

Jestem morderczynią, oszustką. I wciąż żyję. Wyznanie winy do głębi szczere i rozpaczliwe.

Otrząsnęła się ze zgrozy. Przyłączyła się do damskiego towarzystwa zajętego paplaniem o fataląszkach, choć między piersiami spływała jej strużka zimnego potu.

Thornton obserwował Caroline, gdy plotkowała z innymi młodymi kobietami. Wyglądała na zmęczoną. Fioletowe cienie pod oczami nadawały jej twarzy wyraz cierpienia.

Nie poczuwał się do winy. W końcu to ona ukrywała przed nim ich dziecko i jak dotychczas nie chciała się przyznać, że on jest ojcem.

Nieźle to sobie wymyśliła. Wdowa Weatherby. Zmieniła nazwisko i wylądowała koło Bristolu jako malarka portretów arystokracji. Chciało mu się śmiać. Caroline Anstretton nie przestanie wodzić go za nos.

Do czego to ich oboje zaprowadzi? Nic prawie o niej nie wiedział i to go martwiło. Jutro, jeśli uda mu się spędzić z nią trochę czasu pod pozorem pozowania do portretu, dowie się, kim jest, skąd pochodzi czy ma jakąś rodzinę i co zamierza.

Zmęczyła go obecność na przyjęciu. Nienawidził towarzystwa kobiet, które myślały tylko o jednym: jak złapać bogatego męża. Nie miał jednak wyjścia wobec bierności Caroline i presji czasu; w tej części Anglii spędzi jeszcze tylko kilka dni. Dałby wszystko, żeby móc z nią wyjść choćby w tej chwili, ale ona trzymała się od niego z daleka, choć nieustannie czuł na sobie jej wzrok. Gdy się ku niej obracał, udawała, że jest zajęta rozmową z tym lub z owym spośród gości.

W lewym oku pojawił się nerwowy tik, który prześladował go zawsze, gdy czuł się znużony. Pragnął tylko jednego: sam na sam z Caroline. Chciał poczuć jej

aksamitną skórę przy swojej i upajać się emanującym z niej delikatnym aromatem róż.

Ona ma dziecko. Jego dziecko. Ich wspólne dziecko.

Ukośny promień słońca ozłocił płowe włosy. Poczul, że świat wrócił na swoje miejsce.

Jakie to proste. Zamknął na moment oczy. Usiłował sprawiać wrażenie zainteresowanego wykładem miejscowej historii, którym raczył go Bogu ducha winny pastor z wioski.

Gdy je na powrót otworzył i rozejrzał się dookoła, Caroline nie było.



Rozdział ósmy

- Czy jest jakaś szczególna poza, w której życzy pan sobie, żebym go uchwyciła?

- Myślę, że oboje dobrze wiemy, że nie przyjechała pani po to, żeby malować mój portret, pani Weatherby.

Caroline ogarnął lęk. Była w Millington zaledwie od dwóch minut, a spotkanie już przybierało nieprzyjemny obrót. Postawiła torbę z przyborami malarskimi i wzięła głęboki wdech.

- Mam nadzieję, że nie sprowadził mnie tu pan... - Urwała, dodając w duchu: żebym się z panem przespała tak jak w Londynie.

Oczywiście nie mogła tak powiedzieć, zaczęła więc z innej beczki:

- Jestem więcej niż pewna, że pan nie nalegałby na zbliżenie z kobietą, gdyby ta powiedziała „nie”. Tak jest w moim przypadku, wasza wysokość. Mówię „nie”.

- Rozumiem.

Wyraz jego bursztynowych oczu nie był wcale taki groźny, jak można było się spodziewać po oświadczeniu Caroline. Przeciwnie, wyglądało na to, że go rozbawiło.

- Po co zatem pan mnie tu sprowadził?

Nagle zaczęła mieć dość tej zabawy w kotka i myszkę. Koniec z wszelkimi uprzejmościami.

Odpowiedział nie od razu, ale sens jego słów nie był wykrętny.

- Chcę się dowiedzieć, kim jest matka mojego jedyne dziecko, i chcę je zobaczyć. Chcę zobaczyć Alexandra Thorntona Weatherby'ego.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

- Doprawdy? Dlaczego nie?

- Myślę, że byłoby lepiej, gdyby pan po prostu uwierzył w moją historię i wyjechał.

- Którą historię? Żadna z wersji, którymi mnie pani uraczyła, nie jest prawdopodobna i spójna.

- W Londynie potrzebowałam pieniędzy, a pan je zaproponował.

- O ile wiem, byli tacy, którzy proponowali dużo więcej.

- Nie chciałam wyjść za mąż.

- Aha.

Książę wstał i podszedł do Caroline. Jego twarz znalazła się tuż przy jej twarzy.

- Oto, co budzi moje wątpliwości, panno Anstretton. Piękna kobieta, która, cokolwiek by na jej temat mówić, nie ma przeszłości.

Strach kazał jej milczeć. Czego mógł się o niej dowiedzieć? Upłynęło kilka lat od opuszczenia Paryża. Od tamtej pory przebywała w wielu miastach i wielu krajach. A jednak intuicja nakazywała jej nie lekceważyć księcia Penborne'a, gdyż był człowiekiem, który potrafił rozwikłać niejednego sekret. A ponieważ łączył ich Alexander, powinna zachować ostrożność i zademonstrować ugodowość.

- Wasza wysokość podejrzewa, że moja przeszłość jest bardziej tajemnicza niż w rzeczywistości. Jestem kobietą, której nie zawsze układało się w życiu, mimo to staram się utrzymać na powierzchni. Ta głupia i próżna dziewczyna, którą spotkał pan przed kilkunastoma miesiącami, nie istnieje. Gdybym dzisiaj napotkała te same problemy, co wtedy, z całą pewnością inaczej zabrałabym się do ich rozwiązywania.

- Ach tak. A ile to lat pani sobie liczy... ze dwadzieścia dwa?

- Niedługo skończę dwadzieścia trzy. Wolą nie rozwodzić się więcej na ten temat.

Po jego twarzy przemknął grymas. Był nieszczęśliwy i daleki. Pokryły szramami policzek opalizował biało w rozproszonym świetle pokoju. Nagle zapragnęła go dotknąć, żeby się przekonać, iż to, co wydarzyło się przedtem, może wydarzyć się ponownie. Jednak nie zrobi tego, bo gdyby się uchylił, spaliłaby się ze wstydu.

- Wyjechałam z Londynu, bo wiedziałam, że gdyby Thomas pana spotkał, wyzwiałby pana na pojedynek, a on nie jest nawet w połowie takim dobrym strzelcem jak pan. Tak przynajmniej o panu mówiono.

- Myśli pani, że bym go zabił?

Wzruszyła ramionami. Starła się powiedzieć to jak najciszej.

- Myślę, że mógłby pan go śmiertelnie zranić którejs nocy, gdy obaj wypilibyście o jeden kieliszek brandy za dużo. Nie mogłam ryzykować.

- I uciekła pani?

- Tak.

- A dlaczego tutaj?

- Zamknęliśmy oczy i postawiliśmy palec na mapie.

Roześmiał się. Żłociste źrenice rzucały złowrogie błyski.

- Ile zażądałaby pani za autoportret namalowany tu, w Millington, w ciągu tyłu popołudni, ile to będzie konieczne?

- Mój portret? Co też panu przychodzi do głowy...

- Chciałbym także mieć portret mojego syna - wszedł jej w słowo. -

Namalowany tak, jak pani się podoba.

- Nie jestem pewna...

- Portret albo spotkanie, Caroline. Pani wybierze.

Thornton powiedział to tak zdecydowanie, że odechciało się jej walki. Z punktu widzenia księcia kompromis nie wchodził w grę.

- Jak pan sobie życzy.

- Kazałem przygotować stół i lustro.

Wskazał wzrokiem torbę z przyborami malarskimi.

Alkowa, do której zaprowadził Caroline, była jasno oświetlona światłem dziennym. Dwa fotele tworzyły kąt prosty, między nimi stały puste sztalugi.

Zostanie i będzie patrzył? Myśl ta deprymowała Caroline, ale nie stać jej było na utratę zamówienia. Starannie rozłożyła farby i węgiel do szkicowania. Podłożyła pod palce szmatkę, żeby nie poplamić płótna.

Przed nią pusta, biała płaszczyzna. Gipsowa rama czekała na wypełnienie kolorem i kształtem. Jej kształtem. Nigdy nie próbowała malować autoportretu i zawahała się, widząc w lustrze jego utkwione w nią oczy.

- Jak mam się ustawić?

- Na wprost.

Uchwycił ją pod łokieć. Wciągnęła głęboko powietrze i trwała bez ruchu.

Pocałuj mnie, przemawiała doń w duchu. Weź mnie. Tutaj, w świetle dnia, w twoim domu i bez zapłaty. Nie powiedziała nic. Nie mogła. Czy uwierzyłby, że oddaje mu się szczerze, skoro zrobiła to wcześniej dla pieniędzy? Ma dwadzieścia dwa lata i jest matką. Przywołała się do porządku. Wzięła w palce węgiel i naszkicowała pierwsze linie. Cała nadzieja w tym, że nie zauważył, jak drży jej ręka.

Thornton nie spuszczał z niej wzroku. Miała palce poplamione starą farbą i krótko przycięte paznokcie. Nigdy nie widział takich krótkich paznokci u kobiety. Włosy ściągnęła w węzeł nad karkiem, ale wymykały się z niego nieposłuszne krótkie kosmyki. Na przegubie nosiła złotą bransoletkę ze sztucznymi szmaragdami, zmatowiałymi ze starości.

- Gdybym miał przed sobą drzewo genealogiczne Anstrettonów, gdzie mógłbym znaleźć pani imię?

- Nigdzie.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nazwisko Anstretton jest równie fałszywe jak Weatherby?

- Tak.

Nie rozwijała tematu.

- Czy przyczyna pani lakoniczności nie tkwi przypadkiem w napisie wygrawerowanym na pani bransoletce?

Pobladła tak nagle, że zląkł się, że zemdleje.

A więc miał odpowiedź. „Paryż 1807 - TStC”.

Postanowił, że popracuje nad tym wątkiem później i przekona się, dokąd go zaprowadzi.

- Byłbym niezmiernie rad, gdyby przed wykończeniem autoportretu zdażyła pani nabrać do mnie przynajmniej tyle zaufania, że ujawniłaby mi prawdziwe nazwisko.

Skinęła głową, ale jej nieprzenikniony wyraz twarzy upewnił go, że godzi się tylko dla świętego spokoju, a w rzeczywistości nie ma najmniejszego zamiaru dopuścić go do żadnej swojej tajemnicy.

- Może zainteresuje panią fakt, że Adele Halstead twierdzi, iż owej nocy, kiedy ukradła jej pani medalion, zginęły jej jedynie sznur pereł, zegarek na łańcuszku i sakiewka ze złotem.

- Widział się pan z nią? - zapytała wyraźnie przestraszona Caroline.

- Kilka dni po tym, jak przyłapałem panią w jej domu. Uznałem, że lepiej nie wspominać o pani wizycie, ale przyznam, że nie potrafię zrozumieć, dlaczego kłamała na temat tego, co skradziono.

Zauważył, że błękitne oczy Caroline pociemniały.

- Gdyby mi pani zaufała, może mógłbym pani pomóc... Nieoczekiwanie się roześmiała.

- Nie ma potrzeby nadużywania pańskiej pomocy, wasza wysokość.

Thornton rozpoznał w niej ten sam upór, który często widywał u siebie, i też się uśmiechnął.

- Czy pani rodzice byli równie dobrymi aktorami?

- Za długo parał się pan szpiegowaniem, wasza wysokość - odpowiedziała żartobliwym tonem.

- A pani za długo już ucieka, pani... Weatherby. Chodzi mi po głowie myśl, że Adele Halstead musiała mieć powód, żeby trzymać medalion schowany w sypialni.

Widział, jak drżała jej broda. Próbowała dłonią powstrzymać drżenie. Miał teraz przed sobą kobietę, którą znał z Londynu. Olśniewająco piękną i przerażoną. Postanowił przestać ją dręczyć.

- Spodziewam się pani jutro o tej samej porze. Dokończymy naszą rozmowę.

Skłonił się i wyszedł. Caroline została sama w zalanym słońcem pokoju. Łzy napłynęły jej do oczu.

To był człowiek zasług, wielkiej inteligencji i bystrości.

Szybko podmieniła płótno na sztalugach i zaczęła szkicować. Z pamięci. Śmiałe linie twarzy w pełnym świetle. Takim go widziała. Piękno. Godność. Chwała wojenna, a nie okropieństwa wojny. Blizny świadczące o odwadze i waleczności i nieugiętym przekonaniu o słuszności postępowania.

Znała krążące plotki, ale widziała człowieka skomplikowanego, wielowarstwowego, doświadczonego przez życie.

„Jeśli mi pani zaufa, może będę mógł pani pomóc”.

Gdyby ich zbrodnia nie była tak potworna, pomógłby, była tego prawie pewna. Nikt jednak nie odwróci tego, co się wydarzyło. Nawet on.

Godzinę później zarys portretu był gotowy. Ukryła podobiznę Thorntona Lindsaya pod własnym portretem, uporządkowała farby i przybory malarskie i nie oglądając się za siebie, opuściła dom.

Tej nocy leżała w łóżku i zalewała się łzami nad swoim zmarnowanym życiem. Gdyby teraz wyjechał, nie ujrzałyby go już więcej. Nigdy. Wspomnienie ostatniego popołudnia znalazło odbicie w wyrazie jej twarzy, w światełkach w oczach zapatrzonych w niego. Już ten wstępny węglowy szkic przedstawiał kobietę zakochaną.

Czy on też to zauważy? Była pewna, że tak.

Dlaczego zapragnął jej portretu? Dlaczego miałby płacić za portret, który nic dla niego nie znaczy? Którego nigdy nie powiesi na ścianie? Na krótko błysnęła iskierka nadziei, ale Caroline szybko ją zdusiła.

Dzisiejsze popołudnie było zaskakujące.

Zamiast sporu - rozejm, konfidencja, odprężenie. Stan tak radosny jak tłąca się w niej potrzeba zbliżenia. Zaledwie jej dotknął, a potem stał za nią, patrząc w milczeniu, jak nanosiła na płótno pierwsze linie zarysu twarzy. Tymczasem ona każdym porem skóry czuła tę bliskość, w której mieszało się wydychane przez nich oboje powietrze.

Przypomniała sobie opowieści swojej matki o życiu na dworze Józefiny de Beauharnais, gdy korzystając z przyjaźni możnej protektorki, matka błyszczała na salonach pałacyku Malmaison.

„Bóg w swojej mądrości ma dla każdego mężczyzny i dla każdej kobiety ich drugą połowę” - powiedziała córce przed śmiercią. W obliczu wieczności przygasła nagle jej zwykła lekkomyślność i trzpiotowatość. „Józefina znalazła swoją w osobie Napoleona, człowieka, którego boi się cały świat. Uważaj, Caroline, nie przegap lekkomyślnie takiej szansy, jak ja to zrobiłam”.

Cień w pokoju gęstniał. Caroline wycofała się na korytarz, którego okna wychodziły na ogród. Rząd platanów przesłaniał żywą zieleń trawnika, na którym z przemarzniętej ziemi wyłaniały się pierwsze kępy krokusów.

Zimne ręce przytrzymują ją za piersi wygiętą na wyścielonym dywanem parkiecie. Thomas, oszalały z wściekłości, z ciężkim marmurowym popiersiem w dłoni. Zdziwiony wyraz twarzy Guy de Lerina.

Po prostu kolejna schadzka z młodą dziewczyną, która któregoś dnia okaże się bardziej chętna. Łatwy podbój. Pozbawiony znaczenia flirt dla urozmaicenia długich, zimowych dni i nieznośnej pogody.

Zbyt późno zrozumiał, że opór Caroline należało potraktować serio, nie docenił też więzi łączącej bliźniacze rodzeństwo.

Wciągnęli go do szafy we wnęce na drugiej kondygnacji schodów. Zakryli kapeluszem ranę na głowie. Surdut nasiąkał krwią, a twarz była trupio blada.

Wyglądał upiornie, ale uroda w piekle nie ma znaczenia, a jego wygląd zewnętrzny odzwierciedlał zalety jego duszy.

Nie oglądając się za siebie, zbiegli na południe. Na przedmieściach Orthez natknęli się na Adele Halstead. Prawdopodobnie miała wtedy w swoich bagażach medalion ich matki, ukradziony w ostatnich chwilach jej życia, gdy Adele udawała troskę o umierającą.

Dlaczego? Po co to wszystko?

Potem nastąpiła szaleńcza przeprawa do Hiszpanii przez Pireneje w męskim przebraniu. Jej pierwsze przebranie. Ile ich było od tamtej pory? Trudno zliczyć, szkoda fatygi. Cały czas w ukryciu.

Z oka potoczyła się na dłoń łza, otarła ją palcem. Ślubna obrączka na palcu drwiła z niej, przypominała, że jest oszustką i że nigdy nie dany jej będzie luksus zaznania intymności i szczerości.

Życie w fałszu i nieprawdzie jest udziałem tych, którzy łamią kardynalne nakazy ludzkości. Piąte przykazanie mówi: nie zabijaj.

Upiorna twarz Guy de Lerina wyłania się z podziemnego świata jak memento, że zbrodnia wymaga kary. Ten widok nigdy nie zblednie: czerwona struga krwi na jego czole i wyraz niedowierzania w intensywnie zielonych oczach.

Cios spadł później.

- Pani Weatherby, jest pani w domu?

To Johnathon Wells. Przyjaciół Thomasa.

Spojrzała z ukosa na śpiącego w kołysce synka, na chwilę zastygła w bezruchu z rękami opuszczonymi wzdłuż spódnicy. Popędziła do drzwi, otworzyła rygle, przepaszając za zwłokę. Zakłopotana mina gościa wróżyła kłopoty.

Gdzie Thomas? Bijące szybko serce podeszło jej do gardła.

- Nie spotkaliśmy się dzisiaj z pani bratem w umówionym miejscu, nie wróciliśmy też razem do domu. Ostatni raz widziałem go wczoraj wieczorem w gospodzie „Pod Psim Zaprzęgiem” na Dilworth Street.

- O Boże!

A więc najgorsze ich dosięgło. Strach przed takim właśnie obrotem sprawy nie opuszczał ich od momentu ucieczki z Malmaison, uzmysłowiła sobie Caroline. Starła się zachować zimną krew i słuchać, co mówił Johnathon. Odpędzała natrętną wizję Thomasa leżącego gdzieś z poderżniętym gardłem.

- Nie wrócił na noc na kwaterę. Jego bagaż wciąż jest u gospodyni.

Zostawiłem u niej wiadomość, że wracam do Campton i że pani zapewne będzie się o niego martwiła.

- Dziękuję.

Nie mogła zdobyć się na nic więcej. Gorączkowo próbowała zebrać myśli i zdecydować, co robić.

- Czy mam zawołać kogoś do pani? Wygląda pani bardzo źle.

- Nie. Mam nadzieję, że wszystko się wyjaśni.

Caroline próbowała pokryć zdenerwowanie wymuszonym uśmiechem.

Wyraz twarzy świadczył o tym, że jej nie wierzy, ale pożegnał się i odszedł.

Trzęsącymi się dłońmi zasunęła z powrotem wszystkie zasuwki na drzwiach.

Wzięła trzy głębokie oddechy. Zatkaną usta, żeby głośno nie krzyczeć z rozpacz.

Alexander spał spokojnie w sąsiednim pokoju, a i Thomas potrzebował kogoś, kto nie byłby w takiej rozsypce jak ona. Kogoś zdolnego do myślenia, planowania, a potem działania. Brat wpadł w ręce de Lerinów. Była tego pewna. Wyśledzili ich i dopadli Thomasa, żeby się zemścić.

Gospoda „Pod Psim Zaprzęgiem”. Przynajmniej wiadomo, od czego zacząć.

Nie mogła się tam pojawić we własnej postaci, to jasne. Musi też zabrać ze sobą pistolet, który Thomas trzymał na spodzie szuflady. Był to piękny okaz broni pojedynkowej, oprawny w orzechowe drewno inkrustowane złotem. Pamiątka upojnego życia w Paryżu.

Uśmiechała się do siebie, zawijając pistolet w zamszową ściereczkę. Umiała strzelać, brat ją nauczył, pokazywał też, jak ładować magazynek. Jeśli ktoś skrzywdził Thomasa, ona się nie zawaha. Zastrzeli tego kogoś.

Thornton uwiązał konia u płotu przed domkiem Caroline. Powóz wysłany po nią po południu wrócił pusty. Pukał do drzwi, ale nikt nie otwierał. Już miał odejść, gdy na ścieżce pojawiła się młoda kobieta.

- Pani Weatherby wyjechała, wasza wysokość.

Była nieśmiała, zaczerwieniła się.

- Dokąd?

- Do Exeter. Alexander jest we dworze u lady Hilverton.

- A brat pani Weatherby?

- To jest bardzo dziwne, proszę pana. Nie wrócił do domu z Johnathonem Wellsem. Myślę, że pani Weatherby bardzo się tym zmartwiła.

- Jak długo może jej nie być?

- Myślę, że dobrych parę dni. Wzięła ze sobą spory bagaż, a przed wyjazdem wypytywała lady Hilverton o Dilworth Street. To jest w dole, przy rzece, i nie jest to, według mnie, miejsce, które się jej spodoba. Ale zapewne tanie. Prosiła mnie, żebym podlewała ogródek, jak będzie sucho. Dlatego tu przyszedłam.

Thornton rozejrzył się dookoła. Okno na tyłach domu nie było zaryglowane. Domyślił się, że Caroline wyjeżdżała w pośpiechu. Zdążyła tylko umieścić Alexandra w Hilverton Hall i zawołać dziewczynę do podlewania ogródka.

Dilworth Street. Dobry Boże, tam są same spelunki. Za młodu bywał w Exeter wielokrotnie i znał to miejsce. Caroline najwyraźniej nie znała. W tym momencie zastanawiał się tylko nad jednym: jak szybko tam dotrze.

Rozdział dziewiąty

Dochodziła dziesiąta trzydzieści, gdy Thornton dotarł do gospody „Pod Psim Zaprzęgiem”. Było to ostatnie miejsce gdzie można się było napić o tak późnej porze. Odgłosy tęgiej pijatyki dało się słyszeć już z daleka w nocnej ciszy spowijającej miasto. Kazał swoim ludziom czekać w powozie ustawionym dokładnie naprzeciwko gospody, a sam wszedł do środka. Wysoko postawił kołnierz surduta, rękę włożył do kieszeni i położył na nabitym i gotowym do strzału pistolecie.

Po prawej stronie od wejścia zgromadziła się duża grupa mężczyzn. Po przysłuchaniu się ich rozmowie Thornton doszedł do przekonania, że z ich strony nic mu nie zagrazi.

W głębi sali zwracały na siebie uwagę jaskrawymi strojami prostytutki, które rozsiadły się wśród pijących na umór gości. Jedna z dziewcząt podawała pijącym kufle piwa z wielkiej tacy i oganiała się od klienta, usiłującego pomacać jej obfite piersi, a jednocześnie flirtowała z jego towarzyszami.

W jej sposobie poruszania się było coś znajomego i kiedy ustawiła się profilem do światła, Thornton ledwo pohamował okrzyk niedowierzania.

Caroline Anstretton-Weatherby!

Miała nienaturalny, przesadny makijaż, w uszach olbrzymie kółka. Co, u diabła, robiła w tej speluncie tak ubrana i umalowana? Gdzie podziała się jej filigranowa sylwetka? Mocno wywatowana suknia nadawała jej wygląd hożej, wiejskiej dziewczyny. I ten przedziwny portowy akcent.

- Zapewne szanowny pan liczy na gorącą noc w przytulnym łóżeczku, co nie? Ilu was jest?

Jeden z gości niemal wsadził głowę w jej dekolt, ale kiedy usiłował dobrać się do niej rękami, odsunęła się, i to szybko.

- Zapłata z góry, szanowny panie.

Pasma włosów z długiej, czarnej peruki przyklejały się do jej wysmarowanej grubym makijażem twarzy, wodziła zmysłowo językiem po wargach.

Thornton poczuł przypływ namiętności. Rozejrzył się na boki.

Co się z nim dzieje? Musiał wyglądać podobnie jak ci wszyscy mężczyźni, którzy gapili się na nią z jawnym pożądaniem. Jeden z nich już majstrował dłonią przy spodniach, drugą sięgał do kieszeni po pieniądze.

- Ile za noc, złotko?

Thornton dostrzegł, że Caroline się zawahała.

- Najpierw postaw mi drinka. Mam chęć na koniak.

Kiedy usiadła, zauważył zarys niewielkiego pistoletu ukrytego w lewym rękawie sukni. Była uzbrojona, ale czy potrafi posługiwać się bronią?

Thornton przyglądał się, jak napełniała sobie po brzegi nie całkiem jeszcze opróżniony kieliszek.

Nie miał wątpliwości, że chodziło jej o informacje. Próbowwała dowiedzieć się czegoś o bracie i przyczynie jego zaginięcia. Zastanawiał się tylko, dlaczego obstawiła tę właśnie grupkę mężczyzn, choć pełno tu było innych, którzy wyglądali na takich, co to byli na bakier z prawem. Może chodziło jej o to, że stół, przy którym siedzieli, znajdował się nieco wyżej niż pozostałe i ustawiony był dokładnie naprzeciwko drzwi.

Był szczęśliwy, że Caroline go nie zauważyła. Już miał się wycofać, gdy zaczepiła go starsza kobieta, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Podoba się panu któraś z dziewcząt? Pokoje mamy na górze.

Spojrzał na zegarek. Przyszła mu do głowy pewna myśl.

- Ta z czarnymi włosami. Ile za nią?

Caroline zaczęło ogarniać zniechęcenie. Było już po północy, a ona nie natrafiła na nikogo mówiącego z francuskim akcentem, nikt nie był choćby w najmniejszym stopniu podobny do rodziny de Lerinów, nie padła żadna wzmianka o

Thomasie. Straciła tylko pieniądze, którymi przepłaciła starą, żeby pozwoliła jej rozmawiać z gośćmi w gospodzie.

Właściciel gospody przystąpił do wieczornych porządków, wycierał stoły, zamiatał podłogę. Nie było nadziei na pojawienie się żadnego nowego klienta, prawie nikt już nie popijał w lokalu, ani w środku, ani na zewnątrz.

Co robić? Iść na policję? Ogarnął ją strach; bała się o brata. Thomasie, gdzie jesteś?

Zamknęła oczy, usiłując sobie wyobrazić, gdzie brat się podziewa. Ludzie powiadali, że więź łącząca bliźnięta bywa tak silna, że jedno potrafi w myślach zlokalizować drugie. Co prawda, jej się to nigdy nie zdarzyło, ale musi spróbować.

Szarpięcie za ramię postawiło ją na nogi. Uspokoila się, widząc, że to tylko stara karczmarka.

- Pewien dżentelmen pragnie z tobą porozmawiać na górze.

- Dżentelmen?

Stara pokazała Caroline dwie złote monety.

- To dla ciebie, ale nie chcemy tu żadnych kłopotów, rozumiesz? Żadnych awantur.

Caroline nie wiedziała, co począć. Czyżby została rozpoznana mimo przebrania? Poczula się niepewnie. Przypadkowa propozycja seksualna czy część dobrze obmyślanego planu? W odosobnionym pokoju na piętrze będzie bezbronna. Jednak jeśli to ktoś z de Lerinów, a ona nie skorzysta z okazji, by z nim się spotkać, jaki los czeka Thomasa? Zabiją go?

Nie ma wyjścia, musi zaryzykować. Wstała powoli i wzięła pieniądze od starej.

- Możecie mi powiedzieć, jak on wygląda?

- Jest bogaty, złotko. Co jeszcze taka dziewczyna jak ty musi wiedzieć?

- Zastanawiam się, czy to bezpieczne...

- Będziemy mieć na ciebie oko, nie martw się. W razie czego krzycz, a Harry się wszystkim zajmie.

Z ciemności wyłoniła się wielka postać w welwetowej pelerynie na ramionach i wojskowej czapce na łysiej głowie. Rzeczywiście wyglądał jak ktoś, kto poradzi sobie z każdym zagrożeniem, i Caroline po raz pierwszy tego wieczoru poczuła się pewniej.

Postanowiła, że gdy stwierdzi, iż czeka tam ktoś z de Lerinów, zacznie od razu krzyczeć, a po interwencji Harry'ego ona weźmie tego kogoś na spytki. Gdyby zaś to był tylko gość, który chce spędzić noc z prostytutką, od razu rzuci się do ucieczki. Ma przecież w rękawie pistolet i wie, jak go użyć.

- Dobrze.

Wcisnęła mocniej perukę na głowę i podążyła za starą na górę. Przed wejściem do pokoju wzięła głęboki wdech.

W środku było ciemniej, niż się spodziewała. Pokój oświetlał jedynie dopalający się na kominku ogień. Zanim jej oczy nawykły do ciemności, jakaś ręka złapała ją za gardło, niemal pozbawiając możliwości oddychania, druga zamykała jej usta i przyciągała ją do ciała napastnika. Pistolet wypadł z rękawa Caroline. Była bezbronna.

- Aaaaa...

Próbowała wydobyć głos z krtani. Z całej siły nadepnęła napastnikowi na nogę, ale to nic nie dało.

- Trzymaj buzię na kłódkę - usłyszała ściszony głos tuż przy swoim policzku.

Serce podeszło jej do gardła. Co ją czeka? Jaką krzywdę wyrządzi jej ten człowiek?

Dusiła się. Jego palce pachniały mydłem, jak gdyby tuż przed jej wejściem do pokoju umył ręce. Przynajmniej jest domyty! Dziwaczna myśl w jej sytuacji. On tymczasem przestał ją trzymać za gardło i zaczął obmacywać jej piersi. Wsunął dłoń pod cienką koronkę osłaniającą dekolt. Bez trudu odnalazł sutki, stwardniałe pod

wpływem dotyku. Caroline zeszywniała z przerażenia, próbowała się bronić. Wtedy przemówił po raz drugi.

- Wzięłaś złote monety i przyszałaś w środku nocy. Jak serio mam traktować twój opór, kwiatuszku? W takim prowokacyjnym stroju na dodatek?

Ten człowiek jest Szkotem, sądząc po akcencie. Z nową energią zaczęła uderzać łokciem w ścianę. Wypadło nawet dość głośno. Harry powinien się pojawić. Ktoś przecież musi to usłyszeć.

Upłynęło z pięć sekund, potem dziesięć i nic. Żadnego pukania do drzwi, żadnych kroków na korytarzu. Martwa cisza w głęboko uszpionym domu. Caroline była coraz bardziej pewna, że nie wyjdzie cała z tej opresji.

Nie powinna tu w ogóle przychodzić, lekceważąc zagrożenie. Plan, który sobie przygotowała w drodze do Exeter, wydawał się jej teraz beznadziejnie głupi. Ten człowiek zgwałci ją i to będzie katastrofa.

Próbowała odsunąć jego dłoń kneblującą usta. Może da się z nim popertraktować, może połasi się na pieniądze... Nieoczekiwanie poczuła dotyk jego języka na szyi. Ożyły wspomnienia innego wieczoru!

Oniemiała z wrażenia, czekała, co będzie dalej. Tymczasem ręka mężczyzny wędrowała po jej ciele, a jej zdawało się, że jest coś znajomego w tym dotyku. Rzeczywiście jest dziwką. Udało się jej wreszcie uwolnić usta, kilka chwil łapała głośno powietrze. Prześladowało ją tylko jedno: oto, kim się stała, kobietą upadłą, ladacznicą.

- Ła... łapy przy sobie - wyjąkała.

Nie potrafiła znaleźć w sobie dość siły, żeby krzyknąć. Mężczyzna wydał z siebie cichy okrzyk, który zinterpretowała jako przejaw zniecierpliwienia.

- Dość już tego, Caroline.

Powiedział to bez akcentu. W tym momencie zrozumiała, kim jest jej prześladowca.

- To ty!

Wymacała dłonią nierówną skórę na jego lewym policzku.

- Tak, to ja. Uważam, pani Weatherby, że kobieta ryzykująca życie, jak pani to zrobiła, zasługuje przynajmniej na to, żeby jej napędzić porządnego stracha.

Ze wstydu nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Wszystko widział. Poznał prawdę o niej. Udawana bogobożność nie miała nic wspólnego z jej prawdziwą naturą. Była na siebie wściekła, że do tego doszło.

Nienawidziła go z całego serca za to, że jednym dotknięciem obudził do życia jej zmysły tak, że zapragnęła stopić się z nim w jedno.

Ponownie. Jak kiedyś.

Czuła pot perlący się między piersiami, gdy Thornton prowokacyjnie przesunął dłoń po jej talii, rozsyłając dreszcze rozkoszy w najodleglejsze zakątki jej ciała.

- Pan to wszystko zaplanował - odezwała się z pretensją w głosie.

Wstydziała się łez spływających po twarzy w reakcji na paraliżujący ją jeszcze przed chwilą strach o własne życie. Rozchełstana koszula nie osłaniała przed jego wzrokiem. W nagłych rozbłyskach ognia na palenisku, rozświetlających na moment wnętrze pokoju musiał widzieć jej obnażone piersi.

- Niezupełnie, droga pani - zaprzeczył chropawym głosem. - Gdyby mnie tutaj nie było...

Nie dała mu dokończyć.

- Byłabym w swoim pokoju w przydrożnej gospodzie.

- Z jednym z tych pijanych gości, którzy okazywali żywe zainteresowanie pani bujnymi wdziękami.

Wyciągnął spod jej spódnicy wkładki mające uwydatniać biodra i pośladki. Bez tej izolacji doskonale czuła teraz ciepło jego ciała. Nasycona erotyzmem atmosfera stała się jeszcze gorętsza.

- Wolę kobiety szczuplejsze, z długimi smukłymi nogami i piersiami, które nie wymagają wypchanych staników. Jest pani płatną dziwką, Caroline.

Przywarł ściśle biodrami do jej bioder. Sprawdzał jej reakcję. Przyciągnął jej twarz do swojej, zmuszając, by popatrzyła mu w oczy. To ją pogrążyło do reszty. W jego spojrzeniu uderzała zmysłowość, namiętność niezwykła u mężczyzny, który zazwyczaj panował nad każdym odcieniem swojej mimiki.

- Pragnę cię - wyszeptał.

Szept ten wyrażał i prośbę, i żądanie. Uniósł jej spódnicę. Zadrżała. Poprzez cienką batystową halkę owiało ją zimne powietrze. Jednym szarpnięciem zerwał z niej i tę osłonę. Spłynęła na ziemię do jej stóp.

Poddała się, czując upojną radość, że oto za chwilę się z nim połączy, a także gniew na samą siebie, że tak skwapliwie mu ustępuje. Nie żąda żadnych dowodów uczuć, żadnych wyjaśnień. Wystarczą tylko fizyczne doznania. Tylko on.

Nie wahał się. Wypełnił ją swym ciepłem. Z niezachwianą pewnością zlekceważył wszystko, co mogło ich dzielić. Wziął ją całkowicie i bezapelacyjnie. Tu i teraz.

Krzyczała, ale nie z bólu. On się śmiał. Pot perlił się na ich czołach, otaczał ich cierpki zapach ich wilgotnych ciał. Tak wygląda niebo. Oddychali płytkim, urywanym oddechem i dawali się unosić przetaczającym się przez nich falom cudownego zatracenia. Aż do wyzwolenia i spełnienia.

Wygięta w łuk, oparta o chropowatą ścianę, Caroline pojękiwała w rytm jego głośnych jęków. Nagle zarejestrowała inne dźwięki, głośne i natarczywe: czyjeś krzyki, walenie w drzwi.

Thornton odepchnął ją od siebie. Była wciąż oszołomiona, nieobecna. Opuścił spódnicę jej sukni, chwycił swój surdut z oparcia krzesła, narzucił go na jej nagie ramiona. W tym momencie drzwi się otworzyły. Do pokoju wpadli Malcolm Hilverton, Gwenneth, a za nimi Thomas.

Przez chwilę panowała cisza, zaraz jednak wypełnił ją lament przyjaciółki.

- Caroline! Coś ty narobiła? Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że jesteś skompromitowana.

Thornton postąpił kilka kroków do przodu, żeby wytłumaczyć. Ale co?

Z przekrzywioną na bok czarną peruką, rozmazaną czerwoną szminką na policzku, ubranie w nieładzie, naprawdę wyglądała na skompromitowaną.

- Jest inaczej, niż pani myśli - zaczął tłumaczyć książkę.

Brat Caroline rzucił się na niego i zwałił go z nóg, sam też upadł na podłogę. Thornton, padając, skaleczył się w ramię o rozbite na podłodze szkło. Ledwo zdążył się podnieść, musiał stawić czoło atakowi ze strony Malcolma Hilvertona, który ruszył na pomoc Thomasowi Anstrettonowi. Rozprawa z nim nie była trudna, gdyż z powodu otyłości nie był pełnosprawnym przeciwnikiem. Udało się go unieszkodliwić jednym prawym prostym, ale przez ten czas Anstretton pozbiierał się po upadku i znowu zaatakował.

Młody człowiek był teraz znacznie sprawniejszy niż w Londynie. Świeże wiejskie powietrze i praca fizyczna zrobiły swoje i były momenty, w których całkiem nieźle sobie radził w bijatyce, tym bardziej że okrzyki Caroline pod adresem Thorntona, żeby nie robił krzywdy jej bratu, tylko podbechtywały jego poczucie honoru.

Skaleczone ramię Thorntona mocno krwawiło, czego Caroline zdawała się w ogóle nie dostrzegać. Gdy brat ruszył ponownie na Thorntona, ubiegła go i z całej siły uderzyła grubym kijem od szczotki, która nawinęła się jej w ręce. Thomas zachwiał się i potknął o ostatnie całe jeszcze krzesło w pokoju.

Krwawiąc obficie z nosa, osunął się wzdłuż ściany na podłogę. Wkrótce podłoga i spódnica Caroline, która zaczęła tulić Thomasa do siebie, zabarwiły się na czerwono.

Szeptala mu coś do ucha gorączkowo. Drżała ze zdenerwowania.

Reszta obecnych w pokoju zdawała się dla niej nie istnieć. Tymczasem Thomas próbował zatamować krwawienie z nosa dłonią, a kiedy to się nie udawało, ścisnął nos zgiętym w łokciu ramieniem. Usiłował ogarnąć myślami sytuację. Miotaly nim sprzeczne uczucia.

W drzwiach pojawił się karczmarz Harry. Czekał na rozkazy, co robić.

- Lepiej, żebyś stąd wyszła - odezwała się Gwenneth Hilverton, która w głębi pokoju cuciła omdlałego męża.

Caroline się nie odezwała.

Na schodach dały się słyszeć czyjeś pospieszne kroki. Tego tylko brakowało, lokalna policja, pomyślał Thornton i zaklął na głos. Gdyby go tu zastał policjant, skandal byłby murowany. Jego nazwisko gwarantowało zainteresowanie incydem ze strony gazet. Caroline byłaby skończona.

- Jest tylne wyjście, wasza wysokość.

Harry wskazał drzwi na końcu korytarza. Thornton, choć szumiało mu w głowie, podążył za karczmarzem. Wkrótce znaleźli się w bocznej uliczce. Thornton odnalazł swój powóz. Otulony grubym wełnianym kocem, bo nagle poczuł przenikliwie zimno, odjechał sprzed gospody.

- Niech pan stara się nie zasnąć - rzucił na odjeźdźnym Harry.

Wkrótce książę zapadł w odretwienie. Czerwone światło latarni powozu tańczyło na nasilającym się wietrze.

Rozdział dziesiąty

- Nie możesz zostać w Hilverton.

Gwenneth zbierało się na płacz.

- Malcolm nie należy do ludzi, którzy będą tolerowali taką... taką rozwiązłość.

A to jego ziemie.

- Naturalnie.

Caroline włożyła w drżące dłonie przyjaciółki chusteczkę, żeby otarła oczy.

Próbowała ją pocieszać.

- Powiedziałam mu, że gotowa jestem przymknąć oczy na to, co się wydarzyło w Exeter, jeśli on uzna za stosowne nie wspominać o tym nikomu, ale odpowiedział mi fragmentem psalmu... „Kto wstąpi na górę Pana, kto stanie w Jego świętym miejscu? Człowiek o rękach nieskalanych i o czystym sercu”. - Wzniosła załzawione oczy go góry. - Co miałam na to rzec, pytam cię? Jest taki pobożny...

Znowu zaczęła szlochać, nawet nie próbowała się opanować.

- Przyrzekł, że spełni moją prośbę i nie będzie o tym nikomu opowiadał pod warunkiem, że wyjedziesz do końca tygodnia.

Caroline zadrżała. Trzy dni. Nie miała pojęcia, gdzie się udać, w dodatku z obciążeniem, jakim było małe dziecko. A i pogoda była paskudna: zimna i wietrzna.

- Malcolm powiedział, że jeśli twój brat zechce zostać, wciąż jest tu dla niego miejsce. W końcu to nie jego wina, że ty... że ty...

Była szczerze oburzona niemoralnym zachowaniem przyjaciółki.

- Chyba wiesz, że Thornton Lindsay nigdy się z tobą nie ożeni. W końcu to księżę i znacie się zaledwie od tygodnia.

Teraz mówiła już znacznie pewniejszym siebie głosem.

- Nie potrafię zrozumieć, co ci przyszło do głowy, żeby się zachować w taki... w taki niepodobny do ciebie sposób, Caroline.

- Wiem, że nie potrafisz.

Gwenneth rzuciła jej nieprzyjazne spojrzenie, schowała chusteczkę do kieszeni i wstała.

- To rozstanie. Obawiam się, że na zawsze. W tych okolicznościach nie będę wymagała dokończenia portretu Megan. Chciałabym jednak dać ci coś na pożegnanie. To moje oszczędności. Mąż nie ma pojęcia o tych pieniądzach. Moim życzeniem jest, byś przeznaczyła je na edukację Alexandra.

Położyła na stoliku ciężką sakiewkę.

Przyjaźń. W przyjaźni rzadko wszystko jest albo czarne, albo białe. Szarości, niestety, mogą złamać serce, pomyślała Caroline.

- Nigdy cię nie zapomnę - powiedziała.

Po raz pierwszy blady uśmiech pojawił się na twarzy Gwenneth.

- Jestem pewna, że ja też.

Gdy zamknęły się za nią drzwi, z sąsiedniego pokoju wyszedł Thomas. Przysłuchiwał się rozmowie z ukrycia.

- To dobra kobieta.

- I bardzo hojna.

Caroline czuła pod palcami złote monety w sakiewce.

- Wielka szkoda, że nie mogłaś jej powiedzieć prawdy.

- Jakiej prawdy?

- Przecież kochasz Thorntona Lindsaya, księcia Penborne'a, i to od waszego pierwszego spotkania w Londynie. To on jest ojcem twojego dziecka.

- Dosyć monogamiczna ze mnie dziwka. Nie słyszałaś, jak cytowała wersety z Biblii?

- Staralem się nie słuchać.

Po raz pierwszy w ciągu ostatnich dni Caroline się roześmiała. Była załamana od czasu, gdy Thornton Lindsay opuścił ją w Exeter. Dokąd się udał? Podejrzewała, że wrócił do Penleven lizać rany i dumać nad kobietą pozbawioną zarówno zasad

moralnych, jak i rozsądku. Nawet teraz rumieniła się na wspomnienie swojego bezwstydnego zachowania.

Miała dwadzieścia dwa lata, a dopiero dwa razy doświadczyła rozkoszy cielesnych. Gdyby rzeczywistość nie okazała się taka tragiczna, mogłoby to nawet być śmieszne. Przynajmniej egzystencja Thomasa nie była zagrożona. Włożyła dłoń w jego rękę.

Nie miał najmniejszego pojęcia, kto go porwał. Szczęśliwie udało mu się uciec z domu, w którym przez dwa dni był przetrzymywany w izolacji. Jego prześladowcy się nie pojawili.

Spędził pół dnia ukryty w zaroślach, czekając na ich powrót, po czym wyruszył do Campton. Tam dowiedział się, że lord Hilverton z żoną wybierają się do Exeter.

- Szkoda, że nie przyjechałeś po mnie sam - powiedziała z lekkim wyrzutem Caroline. - Udałoby się zachować wszystko w tajemnicy.

- Myślę, że i tak musielibyśmy wyjechać. De Lerinowie depczą nam po piętach. Najwidoczniej dowiedzieli się, gdzie mieszkamy.

- Dlaczego cię nie zabili albo przynajmniej nie doprowadzili do sądu? Czemu cię tam zostawili? Dlaczego dali ci szansę ucieczki i nie ujawnili, o co im chodzi?

- Może ktoś ich wystraszył.

- Ale kto?

- Nie wiem.

Thomas dotknął obolałego nosa. Miał opuchnięte oczy i żółtozielone siniaki na policzkach.

- Boli?

- Już nie.

- Zrobię ci kompres.

- Nie trzeba.

Nie nalegała. Nie chciała go irytować. Zabrała się do rozwieszania upranej mokrej bielizny przy kominku.

Po raz pierwszy w swym młodym życiu nie czuła radości z egzystencji, za to była zmęczona ciągłym udawaniem kogoś, kim nie jest. Myśl o konieczności opuszczenia Campton z jego łagodnymi, zielonymi pagórkami i porośniętymi ostrężnicą drózkami była bardzo przykra. Zdążyła zapuścić korzenie w tej urzekającej okolicy. Nigdy wcześniej nie doświadczyła poczucia przynależności do jakiegoś miejsca. Tutaj tak.

Dom, w którym Alex mógł dorastać nie wśród obcych, lecz wśród przyjaciół. W którym mógł doświadczyć dzieciństwa, jakiego ona sama nigdy nie miała. To jej wina.

Trzeba było sprzeciwić się Thorntonowi Lindsayowi. Z pewnością nie wzięłyby jej siłą. Jednak zabrakło jej stanowczości. Okazała się słaba, uległa namiętności. Nie pomyślała o szczęściu Alexandra, widoku na przyszłość Thomasa, o przyjaźni z Gwenneth. Poświęciła to wszystko dla grzesznej przyjemności. Naprawdę było jej wstyd. Kłopotliwe położenie, w jakim się znaleźli, mają jej do zawdzięczenia. Samopoczucie Caroline nie poprawiał fakt, że brat wspaniałomyślnie oszczędził jej wyrzutów.

- Może tym razem pojedziemy na wschód. Mogłoby tam być bezpieczniej.

Thomas rozkładał już mapę i palcem wyznaczał ewentualną trasę podróży.

- Zawsze sądziłem, że warto byłoby odwiedzić Norwich. Leży na uboczu, nie ma regularnej komunikacji z Londynem i daleko stamtąd do każdego innego dużego miasta.

Do oczu Caroline napłynęły łzy.

- Nie wiem, czy zdołam zrobić to jeszcze raz... Znowu będziemy zaczynać wszystko od nowa.

- A mamy inne wyjście? - zapytał zniecierpliwiony Thomas.

Pomyślała o Alexandrze i pokręciła przecząco głową.

- Żadnego.

- W takim razie bierzmy się do pakowania. Byłoby najlepiej, gdybyśmy byli gotowi do wyjazdu jutro. Nie zniosę widoku Hilvertona węszącego w pobliżu i patrzącego na ciebie łakomym wzrokiem, jak to robił w drodze powrotnej z Exeter. Jak go spotkam, rozwalę mu łeb. Pobożniś się znalazł, niech go szlag trafi!

Caroline się uśmiechnęła. Brat znalazł ujście dla frustracji.

- Większe rzeczy oddamy Annie. Wychodzi za mąż, przydadzą się jej meble.

- Johnathon na pewno weźmie książki. Lubi czytać, choć nie ukończył szkoły.

Doceni je.

Po raz kolejny rozdawali skromny dobytek.

Wyszła do sypialni, usłyszała bowiem, że Alexander się zbudził. Ze smutkiem patrzyła na synka. Z dnia na dzień coraz bardziej przypominał swojego ojca.

Thornton coraz mocniej marszczył brwi, czytając list, który nadszedł w porannej poczcie.

Pieczęć hrabiego Rossa była mu raczej nieznaną, nie miał pojęcia, co może zawierać korespondencja. Towarzyszący zakończeniu lektury okrzyk zdziwienia sprowadził do pokoju jego sekretarza.

- Jakiś problem, wasza wysokość?

- Wiesz coś o hrabim Rossie i jego córce?

James poczerwieniał na twarzy.

- Kiedy wasza wysokość był chory, hrabia napisał, domagając się natychmiastowej odpowiedzi. Pytałem pana, co mam mu odpisać. Odniosłem wrażenie, że przyjazd rodziny hrabiego wraz córką do Penleven potraktował pan jako dobry pomysł.

- Na jakiej podstawie?

- Co na jakiej podstawie?

- Na jakiej podstawie wyciągnąłeś taki wniosek?

- Nie dał mi pan żadnych podstaw do myślenia, że wizyta kobiety znanej z cnót i pobożności nie leży w pańskim interesie.

- Przecież byłem nieprzytomny.

- Proszę wybaczyć, wasza wysokość. Na krótki moment odzyskał pan świadomość i to właśnie w chwili, gdy poruszyłem ten temat.

- Ach tak.

- Wiele słyszałem o tej damie. Wśród jej wielu zalet godna uwagi jest zwłaszcza szczególna zdolność uszczęśliwiania ludzi. Ma łagodną naturę i rzadko bywa z kimś skonfliktowana.

- Rzeczywiście prawdziwy skarb.

Thornton powiedział to bez ironii.

- Jej rodzina będzie przejazdem w naszej okolicy na początku przyszłego tygodnia. Wygląda na to, że nasz dom został przez nich wybrany jako... dogodny popas.

- Poinformuję gospodynię o terminie ich przyjazdu, jeśli wasza wysokość pozwoli.

- Zrób to.

Thornton oddał list sekretarzowi.

- Jeszcze coś, James.

- Słucham pana?

- W przyszłości wolałbym sam wysyłać tego rodzaju zaproszenia.

Thornton starał się wygłosić naganę możliwie najłagodniejszym tonem. Wiedział, co go czeka podczas tej wizyty. Będzie musiał robić dobrą minę do złej gry, a ojciec tej panny zapewne będzie spodziewał się uzyskać więcej, niż on zamierzał mu oferować.

- Tak jest, wasza wysokość.

Gdyby nie był tak zżyty z Jamesem, bez skrupułów zwolniłby go z miejsca ze służby, ale jego rodzina pracowała u Lindsayów od niepamiętnych czasów i ta nieudolna próba wyswatania go na pewno była podjęta w najlepszej wierze.

Bolało go ramię, piekły oczy, pamięć podsuwała widok Caroline osłaniającej brata w gospodzie w Exeter. Wszystko to wprawiało go w furję.

Pięć dni temu nawet by mu do głowy nie przyszło, że będzie chciał ją znowu zobaczyć. Teraz nie mógł tak po prostu zostawić spraw swojemu biegowi. Chciał zrozumieć, dlaczego nie może przestać o niej myśleć, czemu wciąż czuje jej delikatne, gibkie ciało przy swoim, dlaczego widzi jej ciemnoniebieskie oczy utkwione w swojej twarzy.

Drugi list wyjęty ze stosu korespondencji bardzo go poruszył. Gwenneth Hilverton donosiła w szczegółach o sytuacji, w jakiej znalazła się obecnie Caroline Weatherby. Pisała o krążących o niej plotkach, o napiętnowaniu w kazaniu pastora, o bojkotujących ją sklepikarzach i o zbliżającym się terminie opuszczenia domu, w którym spędziła ponad rok. Potępiała go w zawołany sposób, jak przystało dobrze wychowanej damie.

Thornton się zdenerwował. Do tej pory nie zamierzał nic robić, nawet jeśli dziecko Caroline było naprawdę i jego dzieckiem. Czy rzeczywiście może pozostawić Caroline na pastwę losu, skoro on także zawinił? A może jego wina jest większa? Przecież to on zaplanował ich spotkanie. A jeśli Alexander faktycznie jest jego synem? Zresztą czy w to wątpił?

- James!

Sekretarz wrócił. Miał niepewną minę, nie wiedział, co go czeka.

- Każ zaprzęgać do powozu. Pojedziesz do Campton i przywieziesz panią Weatherby, jej syna i brata do Penleven.

Zapewni im schronienie, przynajmniej na jakiś czas. W przeszłości doświadczył na własnej skórze, jak to jest, gdy człowiek znajdzie się na marginesie. Caroline jest osaczona, każdy to wie, będzie łatwym łupem...

- Słuchaj no, James...
- Tak, proszę pana?
- Postaraj się nie zaakceptować odmowy.

Caroline zapakowała kilka ostatnich rzeczy do starego kufra. Na wierzchu położyła złożone koce i pościel Aleksa. W ostatnim czasie obrośli rzeczami, mieli ich chyba dziesięć razy więcej niż dawniej, i była lekko zagubiona, nie mogąc się zdecydować, czego się pozbyć, a co ze sobą wziąć.

Zabawki i książki подарowane Alexandrowi pojedą z nimi, nie pozbawi go możliwości wzrastania wśród takich pięknych przedmiotów. Nowe narzędzia ogrodnicze też mogą okazać się przydatne w kolejnym domu. Farby i przybory malarskie były zbyt wartościowe, żeby je oddawać. Miała nadzieję, że nadal będzie mogła zarabiać malowaniem portretów.

Otarła dłonią czoło i poprawiła przekrzywiony czepek. Uśmiechnęła się do synka, który obok niej bawił się szmacianym żołnierzykiem w czerwonym uniformie. Podarowała mu go Gwenneth nie dalej niż dwa tygodnie temu.

Ciekawe, w jakim mundurze krążył po Europie Thornton Lindsay z rozkazami króla. Słyszała, że oficerów wywiadu wróg rozstrzeliwał bez sądu, jeśli zostali złapani bez munduru, incognito. Niebezpieczna służba. Ciągłe jeszcze jego osobę otacza nimb tajemnicy. Próbowwała wyobrazić sobie, jak trudno musi mu być wrócić do normalnego życia i czuć się na miejscu.

Zaalarmowały ją okrzyki Thomasa. Przez okno zobaczyła powóz zawracający przed ich domem i ustawiający się dokładnie naprzeciwko wejścia. Na drzwiach pojazdu wymalowany był herb.

Herb Lindsayów! Serce zabiło jej mocno ze strachu, ale i nadziei. Nie wyjdzie przed dom! Nie pokaże się księciu Penborne'owi w takim ubraniu, tak zaniedbana.

Poprawiała bezradnie włosy, wygładzała spódnice, zła na siebie, że tak reaguje. Tymczasem Thomas rozmawiał z niewysokim, ciemnowłosym służącym, który wysiadł z powozu.

Może Lindsay w ogóle nie przyjechał. Firanki z grubego aksamitu, zasłaniające okna, się nie poruszyły.

Thomas wszedł do domu. Próbowwała odczytać z jego twarzy, o co chodzi.

- Nie zgadniesz, Caro, co się stało - powiedział. - Księżę zaprasza nas do Penleven. Jego służący mówi, że będzie miał wielki kłopot, jeśli nie przekona nas, żebyśmy przyjęli zaproszenie.

- Nie wiem... Czy on jest w środku?

- Lindsay? Nie, nie widziałem go.

Thomas wyrztał przez okno. Potrząsnął głową.

- Wątpię, żeby ukrywał się w powozie.

- Idź i zobacz.

Thomas nie ruszał się z miejsca. Miał poważną minę.

- Jesteśmy prawie bez pieniędzy, Caroline. Mamy małe dziecko i duży bagaż. Pod domem stoi środek transportu, dwaj stangreci do pomocy w przeniesieniu rzeczy i szansa dostania się na południowe wybrzeże bez wydania choćby jednego pensa.

- Uważasz, że powinniśmy skorzystać z okazji, żeby stąd wyjechać, a potem, zanim staniemy na ziemiach księcia, zrezygnować z jego powozu i podróżować dalej na własną rękę?

- Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć, Caroline. W Exeter byłem gotowy zabić Lindsaya za to, co z tobą zrobił. Jednak to wszystko nie takie proste, jak na pozór wygląda.

- On jest ojcem Alexandra.

- Nigdy cię nie poślubi.

- Nie mogę wyjechać, nie przekonawszy się o tym. Muszę spróbować...

- Niezbadane są wyroki boskie. „Ku Tobie, Panie, wznoszę moją duszę, Tobie ufam: niech nie doznam zawodu! Niech moi wrogowie nie triumfują nade mną!" Malcolm cytował Psalm Dwudziesty Czwarty, a ja ci odpowiadam słowami Psalmu

Dwudziestego Piątego. Może zawierają wskazówkę dla nas. Myślę, że powinniśmy zobaczyć, co z tego zaproszenia wyniknie - oznajmił Thomas.

Penleven. Wyobrażała sobie zamczysko przez stulecia niezdołyte przez wrogów. W takim miejscu można nie obawiać się nikogo, z wyjątkiem jego właściciela, przemierzającego w samotności niekończące się korytarze.

Dlaczego on chce, żeby tam przyjechała? - zadała sobie w duchu pytanie. Żeby oni tam przyjechali? Nie powinna wiązać niczym nieuzasadnionych nadziei z takim mężczyzną jak Thornton Lindsay. Jednak musi przetrwać.



Rozdział jedenasty

Upłynęła kolejna godzina w drodze do Penleven. Burza, która smagała wichrem i deszczem konie oraz powóz, ani trochę nie słabła.

Caroline czuła się uwięziona w wyściełanym aksamitem pudle powozu wiozącego ją ku mężczyźnie, który zrujnował jej życie. Aż podskoczyła, gdy w pobliżu uderzył piorun. Spojrzała na brata, który od samego początku podróży spał smacznie na przeciwległym siedzeniu. Siniaki na twarzy były już lekko cytrynowe i wyglądały upiornie na tle blond czupryny. Chciało się jej płakać. Nad nim, nad sobą, nad śpiącym w koszyku u jej stóp Alekssem. Nad ich rodziną bez domu, bez przeszłości, pędzącą o zmroku ku niejasnej przyszłości.

Hałas za oknem ściągnął jej wzrok na przesuwany się na zewnątrz krajobraz. Starła z szyby osadzoną na niej parę. Przez pole cwałował samotny jeździec. Wiatr rozwiewał jego rozpuszczone włosy.

Thornton Lindsay. Wiedziała, że to on, zanim błyskawica oświetliła jego twarz. Strugi deszczu spływały po wyrazistych liniach pokrytego bliznami policzka. Nie zwolnił, nie zatrzymał się ani nie zбочzył z drogi. Po chwili pochłonęła go ciemność, zniknął w nawałnicy.

Może to był tylko wytwór jej wyobraźni? Może rozum płata jej figle i widzi to, co chciałyby zobaczyć?

Położyła dłoń na dekolcie, w rowku między piersiami spływała strużka potu, po plecach przebiegł dreszcz. Zamknęła oczy, usiłując zasnąć.

Przyjechali do zamku późnym wieczorem. Lodowaty wiatr z północy przewiewał na wylot okrycie Caroline, gdy wysiadała z powozu. Była zziębnięta. Przytuliła do siebie opatulonego w kocyk Alexandra, starając się ogrzać go resztką ciepła jakie zachowało jeszcze jej ciało. Rozglądała się dookoła z zaciekawieniem.

Kontur zamku odcinał się od pokrytego chmurami nieba. Istna forteca nad samym morzem. Słysząc było wyraźnie łomot fal rozbijających się o skałę, na której stała budowla.

Penleven. Utracone dziedzictwo Alexandra. Ponownie zadała sobie pytanie, po co zostali tu sprowadzeni, i nie znajdowała odpowiedzi.

- Witamy w Kornwalii.

Obok niej stał człowiek, którego widziała przez okno w Campton, przemoczony do suchej nitki mimo obszernego płaszcza przeciwdeszczowego i wielkiego kapelusza. Zaciekawiał ją znajdujący się za nim stangret. Na pewno byli bliźniakami. Serce Caroline zabiło radośnie, uznała, że to dobry znak. Wsparała dłoń na jego ramieniu.

- Dziękuję. Mam nadzieję, że obaj szybko się wysuszyacie.

Był zdziwiony tą bezpośredniością.

- Tak, proszę pani. Gospodyni zaprowadzi panią do jej pokojów, niech pani nie stoi na tym wietrze.

Ustawieni w szeregu służący trzymali w rękach wielkie parasole, chociaż deszcz nie był ulewny. Caroline osłoniła kocykiem głowę Alexandra. Thomas zajął się jego koszykiem.

Zastanawiała się, gdzie się podziewa Thornton Lindsay. Starannie utrzymany podjazd był pusty, nie widać było żadnego samotnego jeźdźca, jedynie zacinający deszcz i zrywane przez wiatr liście z drzew, sterczących na tle oświetlonego księżycem nieba.

Caroline przywołała na usta uprzejmy uśmiech i podążyła za gospodynią i pokojówkami do środka. Najprawdopodobniej on się nie pokaże. Najpewniej w ogóle o nią nie dba. W Exeter nauczyła się czegoś. Kilka chwil po tym, jak się kochali, zniknął i nie dał o sobie znać przez długich osiem dni. Prawie dziewięć. Była na siebie zła, że tak to wszystko dokładnie rozpamiętuje, choć rozum

podpowiada, że powinna starać się zapomnieć o księciu. Miała też sobie za złe, że dopuszcza smutne myśli, które zabijają wszelką radość w jej młodym sercu.

W wejściu do domu stała bardzo stara dama ubrana na czarno, z ciasno związanymi nad karkiem siwymi włosami. Na jej twarzy nie było radości.

- Jesteś tą kobietą, o której opowiadał mi wnuk? A to jego dziecko?

Miała silny szkocki akcent.

Zanim Caroline się spostrzegła, kobieta odwinęła róg kocyka i kościstym palcem pogłaskała puciołowaty policzek Aleksa.

- Niebrzydki brzdąc. Lindsay? - W zapytaniu dźwięczała nuta wyzwania i jakby zniecierpliwienia. - Jestem księżna Penborne. Thornton prosił mnie, żebym odgrywała rolę przyzwoitki podczas twojego pobytu w Penleven.

Babka Thorntona! Caroline dygnęła i przedstawiła brata.

- Jesteśmy zaszczyceni, że mamy okazję panią poznać, wasza wysokość.

Dziękujemy za gościnność.

- Doprawdy, pani Weatherby? Zamek Penborne zupełnie nie przypomina pani domu w Campton.

Caroline nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czy stara kobieta chciała dać jej do zrozumienia, że Penborne to za wysokie progi dla kogoś takiego jak ona, czy że uważa ją za naciągaczkę? Na wszelki wypadek nic nie powiedziała, tylko się uśmiechnęła.

Thomas, nieświadomy tych subtelności, skorzystał z chwili milczenia, żeby wtrącić się do rozmowy.

- Zawsze marzyłem o podróży do Szkocji, wasza wysokość. O zobaczeniu miejsc opisywanych w poezji Robbiego Burnsa.

- Robbiego Burnsa? - zdziwiła się stara księżna. Zainteresowanie zdawało się brać w niej górę nad wyniosłością.

- Uczyłeś się o nim w dzieciństwie?

- Nie. Dowiedziałem się o nim przy stoliku karcianym w Antwerpii. Grałem z pewnym Szkotem, który w chwilach koncentracji recytował fragmenty poezji. Co najdziwniejsze, potem sam to robiłem, gdy go ogrywałem.

- Jesteś graczem?

- I to niezłym.

Nieoczekiwanie babka Thorntona Lindsaya się roześmiała.

Caroline uświadomiła sobie, że starsza dama musiała kiedyś być niezwykle urodziwą kobietą. Opadły ją wyrzuty sumienia; może na pierwszy rzut oka zbyt surowo osądziła kostywną damę. Nie było jednak czasu na dalsze zastanawianie się, gdyż gospodyni właśnie doprowadziła ich do przeznaczonych dla gości pokoiów na pierwszym piętrze. Mieli się w nich napędzić rozgościć po wniesieniu bagaży, zanim zostanie im przyniesiony gorący posiłek.

Pokój Caroline był utrzymany w biało-kremowej tonacji. Tak wielkiego łóżka jeszcze nigdy nie widziała. Nawet cesarskie sypialnie w Malmaison nie były tak imponujących rozmiarów i tak wygodnie urządzone. Na olbrzymim, zajmującym prawie całą ścianę, kominku płonął trzaskający ogień. Pod oknem, bokiem do kominka, stała sofa i dwa fotele rozdzielone sporym dębowym stołem.

Caroline położyła Alexandra na łóżku, okładając go ze wszystkich stron poduszkami, żeby nie spadł. Zaczęła rozpakowywać podręczną torbę. Pukanie do drzwi oznajmiło wejście gospodyni, która wciągnęła do środka dziecinne łóżeczko na kółkach.

- Pomyśleliśmy, że to może się pani przydać. To łóżeczko księcia, gdy był małym dzieckiem, a przedtem jego ojca. Są dodatkowe kocyki, gdyby pani potrzebowała.

- Och, jestem pewna, że te, które mam, wystarczą. Pogładziła palcami wełnianą kołderkę i batystowe haftowane obszycie boków łóżeczka. Tu spał Thornton Lindsay, będąc niemowlęciem. Była poruszona. Zamykając drzwi za gospodynią, zastanawiała się, kim byli owi „my”, o których mówiła gospodyni.

Księżna, a może sam książę? Zdjęła z Alexandra wierzchnie ubranko i położyła go w łóżeczku.

Z zachwytem patrzyła, jak wyciągał rączki do kolorowych wzorów haftu na obszyciu.

- Podoba ci się, kochanie?

Schyliła się i pocałowała synka w policzek. Wszedł Thomas.

- Wygląda na to, że byli przygotowani na przyjęcie małego dziecka - stwierdził, siadając w fotelu przy kominku.

- To łóżeczko Thorntona Lindsaya.

- Coś podobnego!

Okrzyk zdumienia był szczery. Caroline z uwagą spojrzała na brata.

- Mam nadzieję, że książę rozumie, że teraz nie jesteś już taką łatwą zdobyczą jak wtedy w Londynie. Jeśli się do ciebie zbliży...

- Rozmawialiśmy już o tym.

- Nie zaszkodzi porozmawiać jeszcze raz.

- Thornton Lindsay jest ojcem Alexandra. Obiecałeś, że nie będziesz wracał do tego, co wydarzyło się w przeszłości, i że pozwolisz mi zachowywać się tak, jak będzie tego wymagała sytuacja.

- Mam nadzieję, że nie zgodziłem się na to zbyt pochopnie.

Ujmujący uśmiech brata rozładował napięcie. Rozsiadł się wygodnie w fotelu i zapytał:

- Ciekawe, gdzie jest Lindsay? Może go nie ma w Penleven?

Caroline przypomniała sobie sylwetkę jeźdźca ścigającego się z deszczem, wiatrem i powozem. Pokręciła głową.

- Jest tutaj.

Zatrwożyła się, poczuła bowiem, że Thornton Lindsay zagościł już na dobre w najskrytszych zakamarkach jej serca.

Caroline obudził odgłos kroków, jakby ktoś ostrożnie stąpał po posadzce. Nie ruszała się i nie odezwała, żeby odkryć, co się dzieje. Ujrzała Thorntona Lindsaya opartego o drewnianą drabinkę łóżeczka i pochylającego się nad śpiącym Alexandrem.

Światło księżycy padające z nieosłoniętego okna wydobywało z mroku jego postać. Nie dotykał dziecka. W jego nieruchomej sylwetce było coś naprawdę przejmującego. Rozumiała, co czuł, bo sama przeżywała to samo, gdy pierwszy raz podano jej Alexandra po jego przyjściu na świat.

Na miękką poduszkę Caroline spadła łza. Książę się odwrócił.

- Nie śpisz?

Odsunął się od łóżeczka dziecka. Założył ręce do tyłu. Jego twarz przyoblekła maskę obojętności.

Caroline nie wiedziała, jak z nim rozmawiać. Miała na sobie tylko cienką koszulę nocną i to ją krępowało.

- Czy to pan jechał konno?

Niemądre pytanie, uznała, ale w końcu cała ta sytuacja była absurdalna.

Zbył pytanie milczeniem, natomiast powiedział:

- Jest do mnie podobny. Jakiego koloru ma oczy?

- Takie jak pan, tylko trochę jaśniejsze.

- Aha.

Książę pokiwał głową i przeczesał palcami włosy. Był poruszony, skonfundowany. Chyba dotarło do niego, jaka odpowiedzialność na nim spoczywa. Caroline doskonale знаła to uczucie.

- Nigdy nie dowiedziałam się, kto był moim ojcem... - odważyła się wyjawić, ale urwała, nie chcąc okazywać, jak wciąż bardzo ją to boli. - Cieszę się, że w przypadku Alexandra będzie inaczej - dodała.

- Jesteś pewna, że on jest mój?

Pytanie dotknęło ją do żywego, ale starała się tego nie okazywać.

- Sam pan powiedział, że jest do pana podobny...

Argument ten nie przekonał księcia.

- Gdybym go uznał za swoje dziecko, ilu jeszcze mężczyzn miałoby prawo zrobić to samo?

Caroline mocno zraniła ta niewiara. Nie ściągnął jej do Penleven dla niej samej. Nie po to, żeby została jego kochanką, i nie dlatego, by zaproponować jej przyjaźń. Chodziło mu wyłącznie o to, żeby się upewnić, czy Alex jest jego synem.

Jeśli Thornton dojdzie do przekonania, że to rzeczywiście jego potomek, jak daleko się posunie, żeby go zatrzymać w Kornwalii? Była przekonana, że wykorzysta wszystkie możliwości. Po raz pierwszy poczuła się zagrożona w obecności Thorntona Lindsaya. Bała się nawet odezwać.

Był rozdrażniony, ale jednocześnie czymś zatroskany.

- Rozumiem.

Chciał wyjść, ale zawrócił.

- Pytałem cię kiedyś, Caroline, jak brzmi twoje prawdziwe nazwisko. Może teraz mi powiesz? Pomyśl o dziecku...

- Jaki to ma związek?

- Życie pod przybranym nazwiskiem odziera człowieka z poczucia przynależności i bezpieczeństwa, jakie daje posiadanie rodziny. Jeśli to mój syn, a ty nie pozwolisz mu korzystać z mojej ochrony, jak sama zamierzasz go chronić? Wyobrażasz sobie jego przyszłość? Kim będzie? Anstrettonem? Weatherbym? Lindsayem? Synem wdowy, kurtyzany czy księcia?

Zatrzymał wzrok na bransoletce leżącej na stoliku nocnym.

- A może Francuzki, której imię i nazwisko kryją inicjały StC?

Zamarła. Miał w rękach jej bransoletkę, zapamiętał wygrawerowane na niej inicjały. Tym razem nie mogła sobie pozwolić na niedomówienia. Co ważniejsze: bezpieczeństwo Thomasa czy Alexandra?

Zapewni synowi dom, to brat umrze.

Caroline usiadła w pościeli. Przykrycie osunęło się poniżej pasa. Ogień na kominku nie dogasł jeszcze zupełnie, rozpraszał ciemności na tyle, że doskonale widoczny był zarys piersi pod cienką koszulą. Musi odwrócić jego uwagę, uznała. Każdy sposób dobry.

- To nie jest pana dziecko.

- Kłamiesz.

- Rano wyjedziemy z Penleven.

- Nie wyjedziecie.

- Nie zatrzyma pan nas.

- Sądzę, że tak. Czy ktoś zdrowy na umyśle mógłby zaprzeczyć, że temu dziecku nigdzie nie będzie lepiej niż w Penleven? Tu będzie rosło w spokoju i dobrobycie. Jak wyjedziecie, czeka je wieczna tułaczka. Mam kontynuować?

- Nie.

- No właśnie.

Wydawało mu się, że ją przekonał.

- Wszyscy naokoło zrozumieją ojca, który stara się zapewnić przyszłość jednemu dziecku. Co za mężczyzna byłby ze mnie, gdybym pozwolił swojemu potomkowi prowadzić cygańskie życie?

- A ja? Co będzie ze mną?

Zbliżył się do łóżka. Obwiódł palcem ciemną aureolę jej sutka, przeświecającą przez koszulę.

- Natura szczerze cię obdarzyła, Caroline. Gotów jestem potargować się o twoje wdzięki. Romans ze mną zapewni ci bliski dostęp do Alexandra.

- A Thomas?

- Znajdzie się praca dla dodatkowego rządcy.

- Rozumiem.

Wszystko jasne. Zręcznie skłonił ją, żeby zaakceptowała rozwiązanie, na które wcześniej nie chciała przystać. Skruszył jej opory moralne. Wystarczyło, że stawką było dobro jej syna i brata. Pomyślała, że księżę nie ma skrupułów.

- Na jak długo?
- Gdy się ożenię, znajdziemy ci dom na wsi.
- I będę tam żyła w zapomnieniu.

Roześmiał się.

- Coś mi się wydaje, że trudno będzie o tobie zapomnieć.

Otoczył dłońmi jej piersi. Obrzuciła go zachwyconym spojrzeniem; był taki pociągający. Promieniała zeń męska siła. Zaczerwieniła się, ponieważ zapragnęła znaleźć się w jego ramionach. Na jego twarzy także odbiło się pożądanie.

- Caroline, nie chcę z tobą walczyć.
- W takim razie proszę pozwolić mi odjechać.
- Nie mogę...

Głos mu się załamał. Odciągnął osłaniające ją prześcieradła i uważnie się jej przyglądał. Czowała zimne powietrze owiewające jej ciało i dotyk jego gorących palców. Nisko, coraz niżej. Uniósł się, żeby zdjąć ubranie. Czekwała z rozwartymi ramionami.

Gdy się obudziła, Thorntona już nie było. Po pokoju słały się gęste cienie. Zatem została jego kochanką i od teraz będzie na każde skinienie. Jest kobietą upadłą, zupełnie jak jej nieszczęsna matka. Kobieta, której egzystencja zależy od tego, co spadnie z pańskiego stołu. W tym momencie uświadomiła sobie, że pozwalając na to, by namiętność wzięła górę nad rozsądkiem, nie zabezpieczyła się przed ciążą! Kolejne dziecko?

„Gdy się ożenię, znajdziemy ci dom na wsi” - przypomniała sobie słowa księcia. Rozplakała się. Otrzeźwił ją płacz Alexandra.

Penleven stało się dla niej pułapką, ale sama jest temu winna. A co będzie, gdy Thornton odrzuci ją dla innej? Jak sobie wówczas poradzi?

Jak daleko jest od żądz do miłości? Thornton zachowywał się bardzo powściągliwie. Nie został do rana w jej łóżku i nawet w kulminacyjnych momentach miłosego uniesienia nie uzewnętrzniał całkowicie emocji. To, co najistotniejsze, zachowywał dla siebie, choć ona desperacko tego potrzebowała.

Jak sprawić, żeby znalazł się w punkcie, skąd nie będzie odwrotu?

Wstała i podeszła do okna. Nad terenem otaczającym zamek świecił księżyc. Z sąsiedniego pokoju dobiegało pochrapywanie brata. W ślicznym łóżeczku obrócił się z boku na bok jej syn.

Pogodzona z losem, Caroline doszła do wniosku, że przynajmniej będą bezpieczni za murami Penleven. Nakarmieni, ogrzani, w domu, którego właściciel zapewni im schronienie, jeśli ona będzie robiła to, co do niej należy.

Thornton zbliżył się do skraju klifu. Tuż przed nim ląd opadał gwałtownie w dół ku spienionej, białej kipieli morskiej.

„To nie jest pana dziecko. Rano wyjedziemy z Penleven”.

Nie jego! Przecież dostrzegł podobieństwo, widział wyraźnie te charakterystyczne cechy, przenoszone z pokolenia na pokolenie przez setki lat historii rodziny Lindsayów.

Caroline Anstretton sprawiła, że przestał nad sobą panować, stracił to, z czego był dumny: samokontrolę. Postępował nieostrożnie, pozwolił, by rządziła nim namiętność, dopuścił do tego, że powodował nim gniew.

Jak to mogło się stać, że tak go zmanipulowała, że na widok jej obnażonych piersi zachował się jak żółtodziób, niczym pozbawiony rozumu rozpustnik?

Pochylił się, podniósł kamień i cisnął nim w bezkresne, czarne niebo. Groził jej i jednocześnie domagał się, by go zaakceptowała jako kochanka. Caroline nie ufała mu, był tego pewny. I, szczerze mówiąc, jej też trudno byłoby zaufać.

Powinien pozwolić im odjechać. Caroline, jej bratu, a także dziecku o oczach podobno o ton jaśniejszych od jego oczu. Powinien się ożenić i założyć rodzinę;

dążyć do stabilizacji bez chaosu, który tak bardzo lubi Caroline Anstretton. Należałoby wyprawić ją z Penleven z nabitą sakiewką i natychmiast o niej zapomnieć.

Tymczasem co robi? Szantażuje ją, żeby została, W deszczową i wietrzną noc gna konno za powozem wiozącym ją z północnego wybrzeża na południowe po to, by mieć pewność, że nie wysiadła gdzieś po drodze i nie uciekła.

Życie bez ustanku zatacza kręgi, gdy dobrze się nad tym zastanowić. Od smutku do radości. Od szczęścia do samotności. Teraz kielkowała w nim nadzieja.

Nie może stracić Caroline, swojej doskonałej kochanki.

Tylko tyle. Przynajmniej na razie.



Rozdział dwunasty

Śniadanie czekało w saloniku na dole. Na kredensie piętrzyło się tyle jedzenia, ile w Campton zjadali przez tydzień. Co za rozrzutność! Thomas siedział obok Caroline nad pełnym talerzem.

- Nie jesz, siostrzyczko?

Popijała małymi łykami herbatę. Starła się nie okazywać zdenerwowania. Jak wypadnie spotkanie z księciem? - zadała sobie w duchu pytanie i właśnie wtedy się pojawił.

- Dzień dobry. Witam w moim zamku. Mam nadzieję, że wasze pokoje są wygodne.

Dzisiejszego poranka blizny na jego policzku wydawały się ciemniejsze. Oko zasłaniała opaska. W drugim, ile razu spojrzął na Caroline, dostrzegła coś na kształt poczucia winy.

- Gdybyście czegoś potrzebowali, wystarczy poprosić gospodynię. Ona się wszystkim zajmie.

Thomas podniósł się ze swojego miejsca, a Caroline wstrzymała oddech. Ostatnim razem, gdy tych dwóch się spotkało, doszło do bijatyki. Obecna sytuacja była niemal absurdalna.

Dobre wychowanie nakazało Thomasowi wyciągnąć rękę do gospodarza. Thornton przyjął ofiarowaną dłoń i w tym momencie Caroline spadł kamień z serca.

- Pański nos wygląda już prawie dobrze - zażartował Thornton.

- Mam nadzieję, że ramię waszej wysokości też wydobrzało - zrewanżował się Thomas.

W powietrzu wciąż wisiały niewypowiedziane oskarżenia, ale między mężczyznami zapanował wymuszony okolicznościami rozejm.

Caroline zebrała się na odwagę, wstała i oświadczyła:

- Byłabym niezmiernie wdzięczna waszej wysokości, gdyby zechciał zaproponować mojemu bratu pracę w jednym z folwarków.

Thomas spojrział ze zdumieniem na siostrę.

Uśmiechnęła się blado. Nie miał pojęcia o toczącej się między nią a księciem grze, której zasady nie ona ustaliła. Wywiązała się ze swojego zadania aż za dobrze ostatniego wieczoru. Patrzyła wprost na księcia. Po dłuższym milczeniu odprawił gestem dłoni służących.

- W jakich okolicznościach poznaliście Adele Halstead? Radziłbym nie rozminąć się z prawdą - zagadnął zniecierpliwionym, kładąc nacisk na ostatnie słowo. To było wyraźne ostrzeżenie. Księżę nie życzył sobie wykrętów.

- Spotkaliśmy ją w Paryżu. Mieszkała tam jakiś czas za życia naszej matki. Kłamstwo, ale nie do końca.

- Waszej matki?

- Tak. Nazywała się Eloise St Clair.

Zapadła cisza. Caroline niemal widziała, jak Thornton

Lindsay składa w całość rozproszone fakty. Zarejestrowała moment, w którym skojarzył nazwisko matki.

- To ta niesławnej pamięci córka pastora, która zbiegła do Europy? - spytał i nieoczekiwanie poweselał. - To wasza matka?

Czekał na potwierdzenie. Caroline skinęła głową.

- Aha.

- Nie była taka, jak o niej mówiono w Anglii - zapewniła Caroline, niezadowolona, że dała upust zniecierpliwieniu, i po raz drugi w czasie tej rozmowy ugryzła się w język, zastanawiając się, co takiego w nim jest, że ona mówi za dużo.

- Nie?

- Nie. Była kobietą, której podporządkowanie się rygorom panującym w społeczeństwie przychodziło z trudem.

- Ile mieliście lat, gdy zmarła?

- Siedemnaście.
- Zawsze mieszkaliście we Francji?

Caroline zerknęła na Thomasa i pokręciła przecząco głową.

- Mieszkaliśmy też gdzie indziej.
- Z nią?
- Nie zawsze.
- Ale we dwójkę?

- Tak.

- A wasz ojciec?

Cisza.

- Jesteś zainteresowany kierowaniem folwarkiem, Thomasie?

Caroline z ulgą przyjęła zmianę tematu.

Po tych kilku krótkich pytaniach książę Penborne wiedział więcej o ich życiu niż ktokolwiek inny. O ich samotności, o braku poczucia bezpieczeństwa i rodziny, o łączącej ich więzi. Najwyraźniej zamierzał dać Thomasowi pracę, która zapewni mu utrzymanie i szacunek ludzi.

- Tak, wasza wysokość.
- W takim razie dzisiaj pojedziemy obejrzeć Penleven i pogadamy o tym.
- Bardzo chętnie.
- Jeśli skończyłeś śniadanie, idź do biblioteki. Mój sekretarz pokaże ci na

mapie granice posiadłości.

Po wyjściu brata Caroline została z księciem sam na sam. Wróciło znajome uczucie. Przyciągał ją jak magnes, co sprawiło, że była zakłopotana i zdenerwowana.

- Dziękuję waszej wysokości za pomoc dla brata.
- Grzeczność za grzeczność, Caroline. Jakie nazwisko mam wpisać do kontraktu o pracę? Weatherby czy Anstretton?

- Powinno być St Clair. Wolałabym jednak pozostać tu znana jako pani Weatherby.

Zatrzymał wzrok na jej bransoletce.

- Za godzinę wybieram się na przejażdżkę po wzgórzach okalających Penleven. Czy ty i Alexander moglibyście dotrzymać mi towarzystwa?

Nie dotknął jej, nie zbliżył się nawet, nie zrobił żadnej aluzji do tego, co zaszło między nimi wczorajszego wieczoru, a jednak wyczuwała, że jego namiętność nie ostygła. Niemożliwa do opanowania, była i jest gorąca, rozprzestrzenia się jak pożar.

Skinęła głową na znak zgody. Thornton wyszedł, a ona spostrzegła, że nie tknął jedzenia.

Ubrała się starannie w ciemnobrązową suknię i takiego samego koloru płaszcz. Szyję owinęła koronkową chusteczką, do której wpięła starą kameę po matce.

Powóz właśnie wyjeżdżał z zamku. Alexander gaworzył radośnie, siedząc na jej kolanach. Ciemne rzęsy dziecka kontrastowały z jego różowymi policzkami. Malec z ciekawością wyciągał rączki do złożonej klamki u drzwi pojazdu.

Szczęśliwa rodzina na wycieczce do miasteczka? Tylko z pozoru. Kochanka, mężczyzna rozglądający się za odpowiednią kandydatką na żonę i jego nieślubny syn.

Caroline tłumiała narastające wewnętrzne rozdrażnienie, starała się zachować twarz, ale po źle przespanej nocy przychodziło jej to z trudem.

Natomiast Thornton był w bardzo dobrym nastroju. Próbował zainteresować Caroline okolicą, wskazując raz po raz a to rzeczkę, a to wzgórze, wreszcie grocie, w której kryli się z bratem, gdy byli mali.

- Miał pan brata?

Do tej pory spotkała jedynie jego babkę.

- Umarł w dzieciństwie na szkarlatynę. Moi rodzice zarazili się od niego i kilka dni po nim zmarli.

- Kto się panem opiekował?

- Byłem w szkole w Eton.

- A w czasie wakacji?

- Przebywałem tutaj.

Na twarzy Thorntona zagościł smutek. W dziennym świetle blizny na lewym policzku były doskonale widoczne. Skóra była lekko ściągnięta w okolicy oka, czego do tej pory Caroline nie zauważyła. Może dlatego tak chętnie przykrywał oko opaską. Zapragnęła zapytać go o eksplozję w kościele, ale nie śmiała, bo wówczas zapewne i on zadałby jej pewne pytania. Gdy powóz kołysał na wybojach, stykali się ramionami. Usuwała się gwałtownie na bok, chciała uniknąć nawet tak niewinnego kontaktu.

Głupia, po stokroć głupia, ganiła samą siebie w myślach. Powinna zachowywać się swobodnie. Niestety, nie potrafiła. Zaciskała zęby, napinała mięśnie policzków.

- Nie wysłałabym małego dziecka do szkoły poza domem, nawet gdyby była to najlepsza i najmodniejsza szkoła. - Powiedziawszy to, uzmysłowiła sobie, że niepotrzebnie akurat teraz wygłasza swoją opinię na temat wychowania.

- Ja też nie.

- Na początku powinna być zatrudniona niania, a potem guwerner. Nie za surowy i musiałabym go polubić.

- Nie wierzysz w dyscyplinę?

- Surowość to nic dobrego. Był pan karany w dzieciństwie?

Podciągnął skórzany pas, służący do otwierania okna. Wiatr wpadł do wnętrza powozu i zaczął rozwiewać mu włosy. Związał je rzemykiem, który miał owinięty wokół nadgarstka.

- W Eton panowała surowa dyscyplina i system kar był bardzo rozbudowany. Często im podlegałem, ponieważ nie miałem rodziców, którym mógłbym się poskarżyć i pokazać siniaki.

- Dlaczego nie zamieszkał pan z babką?

- Morag miała wówczas własne problemy, nie mogła mną się zająć. Dopiero niedawno przeniosła się z Edynburga do Plymouth.

Książę zrobił zniecierpliwioną minę, jakby chciał dać Caroline do zrozumienia, że nie zamierza dłużej rozmawiać na osobiste tematy. Zapukał laską w dach powozu.

- Przyjechaliśmy. Jest tu coś, co chciałbym ci pokazać.

Caroline ogarnęło współczucie. Jego dzieciństwo było jeszcze smutniejsze niż jej. Opuszczone, samotne dziecko wyrosło na nieufającego nikomu mężczyznę. W dorosłym życiu niełatwo pozbyć się urazów z wczesnych lat.

Powóz zwolnił. Thornton wyskoczył i zaofiarował Caroline pomoc przy wysiadaniu.

- Czy mógłby pan potrzymać Aleksa? Zawiesiła na ramieniu torebkę, zebrała spódnice. Zawahał się.

- Nigdy nie miałem na rękach małego dziecka...

Zamilkł, gdy Caroline podała mu malca. Uśmiechnęła się, bo Alex od razu złapał księcia za śnieżnobiały fular.

Mieli identyczne włosy. Kruczoczarne i lekko falujące. Teraz niemal się stykały, ponieważ Thornton pochylił głowę. Był zainteresowany Alexandrem. Iskra padła na łatwopalne podłoże. Płomień miłości wybuchnie, czy on tego chce, czy nie chce, pomyślała Caroline. Dziecko uważnie mu się przypatrywało. Książę podrapał się w głowę, malec zrobił to samo i zagulgotał coś po swojemu.

- Czy on mówi?

- Wydaje różne dźwięki, które ja rozpoznaję.

- Chodzi? Uśmiechnęła się.

- Ma zaledwie siedem miesięcy. Dopiero co zaczął siadać bez podparcia.

Thornton zarejestrował informację. Ojcowie stopniowo nabywają tego rodzaju wiedzę. Alex stawiał opór, gdy Caroline spróbowała go wziąć na ręce. Przyłgął do księcia i ten dał znak dłonią, żeby zrezygnowała.

- Miejsce, które chcę ci pokazać, znajduje się blisko stąd. Mój ojciec zbudował je dla mojej matki.

Urokliwy wiejski dom obrosło dzikie wino. Przez całą długość frontu biegł ganek, na który wychodziło kilka par przeszklonych drzwi balkonowych, dzięki czemu łatwo było dostać się do środka z każdej strony.

Taras znajdował się na tyłach domu. Caroline zrozumiała, dlaczego był właśnie tak usytuowany. U jej stóp rozciągała się panorama wzgórz i dolinek, widoczne też było morze. Za linią odległych drzew wyłaniała się sylwetka zamku Penleven, ostatniego bastionu ludzkiej egzystencji, za którym ląd znikał w morskiej toni.

- Rozumiem, dlaczego pańska matka mogła pokochać to domostwo. Często tu przebywała?

- Nie tak często, jak życzyłby sobie tego ojciec.

Szczególny sposób, w jaki zabrzmiało to zdanie, dał Caroline do myślenia. Z tym miejscem musiała się wiązać jakaś rodzinna historia. Gdy weszli do środka, od razu pojęła, czemu służył dom.

Wnętrze tworzyło jeden wielki pokój, na środku którego stało łóżko tak olbrzymich rozmiarów, jakiego Caroline jeszcze nigdy nie widziała. Z sufitu zwisały draperie z tkaniny, a powierzchnię łóżka zaścielały niezliczone poduszki. Teraz wiedziała, dlaczego Thornton ją tu przywiózł.

To było miłosne gniazdko. Kryjówka kochanki.

Nie wytrzymała.

- Czy mam prawo zapytać, jak często zamierza pan nawiedzać mnie w łóżku? Teraz? Dzisiaj po południu? Dzisiaj wieczorem?

- Będę to robił, kiedy zechcę, Caroline St Clair. Kiedy zechcę i gdzie zechcę. Nieoczekiwanie się rozpląkała.

- Dla pana to może zabawa...

- To ty się ze mną bawisz jak kot z myszą, najdroższa. Te różne nazwiska, przebrania, szarady. Raz jesteś taka, kiedy indziej inna. Za każdym razem gdy cię spotykam, jesteś kimś, kogo wcześniej nie znałem. I ty mi zarzucasz, że gram nieczysto?!

Powiedział do niej „najdroższa”. Nie wyglądał na człowieka, który zwykł używać takich słów, a jednak to mu się wymknęło. Zatem jest nadzieja. Nagle świat poweselał w oczach Caroline. Może wypadki rozwiną się w dobrym kierunku i znajdzie bezpieczne schronienie.

Odwróciła się tyłem do księcia, żeby nie zauważył radości, która nagle zagościła na jej twarzy.

- Dużo kobiet pan tu sprowadził?

Nie odpowiedział.

- Żona może mieć zastrzeżenia, że kochanka mieszka tak blisko.

Thornton nadal milczał.

- Myślę, że trzeba będzie brać pod uwagę pojawienie się kolejnych dzieci.

- Dostyc, Caroline.

Wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie. Syn i kochanek razem, tak blisko. Ich oddechy owiewały jej twarz. Była w tym obietnica czegoś dobrego. Słońce złociło ich głowy, od strony kontynentu wiatr pędził nad powierzchnią morza rozproszone obłoki.

Wpiła palce w ramię księcia. Odsunął się i powiedział oficjalnym tonem:

- Powinniśmy wracać.

Wyprowadził Caroline na zewnątrz i zamknął drzwi. Miało to w pewnym sensie symboliczne znaczenie. Jego serce było zabezpieczone przed najściem. Przed uczuciem, które je szturmowało.

Alexander rozplakał się i Caroline było to nawet na rękę, wiedziała bowiem, że księżę Penborne długo nie wytrzyma w ich towarzystwie.

Obarczona nieślubnym dzieckiem, mogła mimo wszystko uchodzić za wdowę. Ale co będzie, jeśli znowu zajdzie w ciążę? Jak długo potrwa taka sytuacja? Czy w obronie jej honoru Thomas nie wyzwie Thorntona na pojedynek? A jeśli to zrobi, niechybnie zginie.

Tym razem ukrywa prawdę przed bratem, ostatnią osobą na świecie, którą chciałaby oszukiwać. Jeśli któryś z nich zabije tego drugiego, jak ona to przeżyje?

Zrobi wszystko, żeby jej sekret nie wyszedł na jaw, obiecała sobie w duchu Caroline. Gdyby udało się przekonać Thorntona, by na jakiś czas zatrudnił brata w Millington, zyskałaby na czasie i znalazła sensowne wytłumaczenie swojej sytuacji. Na samą myśl o oddzieleniu od brata robiło się jej smutno, ale dla jego bezpieczeństwa gotowa była znieść niejedno.

Gotowa była nawet co noc oddawać się mężczyźnie w nadziei, że kiedyś połączy ich miłość, i z obojętną miną witać go o poranku, jak gdyby w jej sercu nie było nawet śladu uczucia.

Ostatnia świeca dogasała w kandelabrze. Thornton jak urzeczony wpatrywał się w jej chybotliwy płomień.

Trzecia nad ranem. Jego jedynym marzeniem było wziąć Caroline St Clair w ramiona.

Jakże ona nim manipuluje! Te uśmiechy, modulacje głosu. Ten perlisty śmiech, a zaraz po nim fontanny łez. Do tej pory w stosunkach z kobietami udawało mu się zachować pewien dystans. Nawet z Lilly. Stał z boku, obserwował, kalkulował, nie podążał za nią całym sercem. Teraz, przy Caroline, dostrzegął objawy zauroczenia.

Przebywała w Penleven dopiero kilka dni, a on nie mógł się doczekać nocy. Gdy tylko zapalano świece, budziło się w nim pragnienie wzięcia jej w posiadanie.

Chciał być z nią, napełniać ją swym nasieniem. Nieostrożnie, lekkomyślnie, w sposób tak do niego niepodobny. Wręcz straceńczy.

Rozewrzyj szyk obronny, a ogarnie cię chaos. Ile razy życie udzieliło mu tej nauki? Pokazał jej dom nad morzem, bo chciał jej zaproponować, by w nim zamieszkała. Nie zrobił tego. Dlaczego? Czemu nie wytyczył jasnych reguł ich związku, który przecież nie ma widoków na przyszłość?

Dlatego, że nie chciał jej zranić, odpowiedział sam sobie. W głębi jej ciemnoniebieskich oczu dopatrywał się bezbronności i zmienił zdanie.

Nagle zapragnął ją... wielbić, zdjąć z niej wszelkie troski i stworzyć jej bezpieczne miejsce na ziemi.

Sama myśl o takiej bezinteresowności wobec kochanki wywołała pełen politowania uśmiech. Nagle jego wzrok padł na list leżący na skraju biurka. Jutro przyjeżdża hrabia Ross z rodziną. Z córką. Jęknął i wrzucił list do ognia. Papier zajął się natychmiast i zniknął w czeluściach komina. Dlaczego pozwolił narzucić sobie niechcianych gości? Czemu nie odwołał ich wizyty, jak to pierwotnie zamierzał?

Nie potrzebuje żony. Nie chce żadnej panny z dobrego domu, a jedynie Caroline. Obleczonej w ciało, które znał, a jednak tajemniczej. Skomplikowanej, zmysłowej. Matki jego dziecka, a właściwie dzieci. Więcej niż jednego? Tak. Chciał patrzeć, jak jej brzuch pęcznieje od jego nasienia, jak wypełniają się dojrzałe, krągłe piersi. Już raz go to ominęło i się nie powtórzy.

Jego kobieta. Niewiarygodne, jaką władzę nad nim zdobyła. Dla własnego dobra musi wykonać krok do tyłu.

W błękitnym salonie musiało być sporo osób. Caroline słyszała ich śmiech, rozmowy i szczebiotanie dzieci. Weszła do środka. Rzeczywiście, pokój był pełen ludzi, na kanapie obok księcia Penborne zajmowała miejsce piękna dziewczyna.

Podeszła do siedzącego pod ścianą Thomasa. Nie wiedziała, że do Penleven przyjadą goście. Nie było żadnych przygotowań na ich przybycie. Skłoniła głowę,

przechodząc koło księcia, a on podniósł się na jej widok. Usiadła na krześle zwolnionym przez Thomasa, który ustawił się za jej plecami.

- Pani Weatherby, to jest hrabia Ross i jego córka, Jennifer. Zatrzymali się u nas na kilka dni.

Głowy obecnych zwróciły się w stronę Caroline. Poczwała się zakłopotana, nie wiedząc, jak wytłumaczyć swoją obecność w zamku. Książę zdjął z jej barków ten ciężar.

- Caroline i jej brat to nasi starzy znajomi. Na początku tygodnia przyjechali z Londynu z moją babką.

- To bardzo długa podróż, prawda, pani Weatherby?

Hrabia Ross był roslym mężczyzną o czerwonej twarzy i potężnym nosie. Natomiast jego córka była istną pięknoscią ze swoimi miodowymi włosami i nieskazitelną, porcelanową cerą.

- Czy była już pani wcześniej w Kornwalii?

Książę Penborne odpowiedział „tak”, a Caroline - niemal jednocześnie - „nie”. Zapadło kłopotliwe milczenie. Caroline uznała, że Thornton powinien sam sobie poradzić, wszak to on skłamał.

Oczy siedzącej obok niego młodej kobiety były utkwione w jego twarzy. Wpatrywała się w poraniony, pokryty bruzdami policzek, marszcząc lekko brwi, co świadczyło o tym, że nie była uprzedzona o wyglądzie księcia i raczej zaskoczona tym, co ujrziała.

Czy nie zdawała sobie sprawy z tego, jak nietaktownie się zachowuje? - zadała sobie w duchu pytanie Caroline.

- Lady Jennifer, czy przewiduje pani długi pobyt w tej części kraju?

Może tym pytaniem uda się odwrócić uwagę młodej damy od twarzy księcia. Spojrzenia Caroline i Jennifer się skrzyżowały.

- Spędzimy tu jakieś dwa tygodnie u kuzynostwa. Uwielbiam Kornwalię.

Hrabia Ross, zwracając się księcia Penborne'a, wyjaśnił:

- Zdziwiał nas zainteresowanie córki Kornwalia, wasza wysokość. Co roku ta sama historia. Musi być w tym palec losu, jak twierdzi jej ciotka, która ma opinię osoby jasnowidzącej.

- Doprawdy?

Głos Thorntona Lindsaya nie świadczył o zainteresowaniu tematem. Gestem dłoni przywołał lokaja, któremu wydał polecenie podania herbaty. Mimo to hrabia Ross, wcale niezrażony, kontynuował:

- Jennifer jest nadzwyczaj biegłą pianistką. Widzę, że wasza wysokość ma szczególnie piękny fortepian.

Uwaga zawisła w powietrzu i przez moment Caroline sądziła, że książę nie zareaguje. Tak się jednak nie stało.

- Proszę nam coś zagrać, lady Jennifer - odezwał się wreszcie.

Lady Ross klasnęła w dłonie.

- Tak, tak, Jenny. Zagraj nam coś, kochanie.

Młodsze rodzeństwo Jennifer nie wyglądało na uszczęśliwione, gdy ich siostra usiadła przy fortepianie, starannie rozkładając na taborecie spódnice. Paznokcie miała tak długie, że omal drapała nimi pokrywę klawiatury. Siedziała w wystudiowanej pozycji i wdzięcznymi ruchami białych dłoni biegała po klawiszach.

Caroline ukradkiem spojrzała na swoje dłonie. Trudno o większy kontrast. Krótkie paznokcie z osiadłymi za nimi resztkami pigmentu, które nie zniknęły, mimo że w poprzednim tygodniu prała ręcznie niemal we wrzątku ubranka Aleksa.

Ukryła dłonie w fałdach bawełnianej spódnicy. Nie należy przywiązywać znaczenia do takich rzeczy. Drobiazgi nie powinny zakłócić jej dobrego samopoczucia.

Muzyka w wykonaniu Jennifer nie przypominała niczego, co Caroline do tej pory słyszała, choć nie uważała się za znawczynię. Spojrzała na brata i z trudem powstrzymała wybuch śmiechu. Robił takie zabawne miny! Thornton słuchał nieporuszony, z kamienną twarzą. Nie sposób było wydedukować, co myśli o grze

panny Ross. Nie darmo był zawodowym szpiegiem. Ich oczy spotkały się. Caroline nie wyczytała w nich niczego poza uprzejmym zainteresowaniem.

Ostatnie akordy Mozarta zostały przyjęte głośniejszymi oklaskami matki i ojca pianistki i nieco mniej entuzjastycznym przyjęciem ze strony Thorntona, Thomasa i Caroline.

Hrabia Ross wstał z fotela.

- Ta młoda dama jest źródłem naszej nieustannej dumy i radości. Ten, kto ją poślubi, będzie szczęśliwcem.

Córka promieniała radością, wyglądała jak dokładna kopia swojej matki. Odeszła od fortepianu i usiadła jeszcze bliżej księcia Penborne'a niż przedtem. Sukces dodał jej pewności siebie. Wymierzyła mu żartobliwe uderzenie w ramię, gdy komplementował jej interpretację utworu. Oboje rodzice z niekłamanym zadowoleniem wpatrywali się w siedzącą na kanapie parę.

- Jeździ pani konno, lady Jennifer?

Thomas zapytał przez uprzejmość, wcale nie dlatego, że rzeczywiście chciał się dowiedzieć.

- Oczywiście, drogi panie. Ojciec nauczył mnie, jak byłam dzieckiem. Każdego lata udajemy się do naszej letniej rezydencji w Kencie.

- Jeździ konno tak samo dobrze jak gra na fortepianie - potwierdził hrabia Ross przy akompaniamencie śmiechu żony.

- Wyobrażam sobie.

W głosie Thorntona Lindsaya zabrzmiała nuta ironii. Skorzystał z pretekstu, jakim była wiadomość przekazana przez lokaja, przeprosił gości i wyszedł z salonu.

Panna Ross pozostała na kanapie. Była wyraźnie rozczarowana. Matka próbowała ją udobruchać, pochyliła się i pogłaskała jej dłoń, ale Jennifer odsunęła się od rodzicielki.

- Wracam do swojego pokoju. Jestem zmęczona - oświadczyła, wstając.

Salon opustoszał w ciągu zaledwie kilku sekund. Thomas i Caroline zostali sami. Patrzyli na siebie z niedowierzaniem.

- Nie życzyłbym jej najgorszemu wrogowi - odezwał się brat, gdy już odzyskał mowę.

Oboje wybuchnęli głośnym śmiechem.

Tego wieczoru Alexander marudził. Wyrzynały mu się dwa nowe zęby. Zaniepokojona Caroline nie wiedziała, jak pomóc synkowi. Nagle rozległo się pukanie i w drzwiach ukazała się księżna Penborne.

- Szłam do sypialni, gdy usłyszałam płacz dziecka. Co z nim?

- Wszystko w porządku.

Caroline dygnęła. Czekwała, aż starsza pani usadowi się na krześle.

- Czy mogę coś podać waszej wysokości?

- Nie, dziękuję. Sprowadził mnie płacz dziecka...

Krzyk Alexandra znowu zaalarmował Caroline. Stara księżna pochyliła się nad kołyską. Wzięła malca na kolana.

- On potrzebuje czegoś zimnego na dziąsła. Trzeba mu dać lodu lub zieloną gałązkę orzecha do gryzienia. To przyspiesza wyrżnięcie się zębów. -

Powiedziawszy to, wsadziła Aleksowi palec do ust. Chłopiec zacisnął na nim spuchnięte dziąsła. Uśmiechnęła się z rozrzewnieniem.

- Nie pamiętam już, kiedy trzymałam na kolanach dziecko. Dawno nie było słyhać głosu dziecka w tych murach. Nie wiedziałam, że tak bardzo mi tego brakowało.

- Thornton był grzecznym chłopcem?

- O ile pamiętam, zawsze chciał być pierwszy. Zaczął chodzić przed ukończeniem dziewiątego miesiąca życia, a potem, zanim poszedł do szkoły, biegał szybciej od swoich rówieśników.

Dlaczego stara księżna nie sprowadziła wnuka do domu i nie pozwoliła, żeby on i ona nawzajem ukoili swoje złamane serca? Czemu zostawiła go w dalekiej,

rygorystycznej szkole i się nim nie zajęła? Caroline bardzo chciała zadać te pytania. Nie zdążyła. Stara dama wstała i oddała jej synka.

- Porozmawiam jutro z gospodynią, żeby przyniosła ci coś na jego dżiąsła.

Ona ma swoje sposoby i można jej zaufać.

- Dziękuję pani.

Tuląc Alexandra do piersi, patrzyła śladem księżnej wychodzącej z pokoju. To była przyjemna rozmowa. Przynajmniej od tej pory ich stosunki będą przyjazne. Liczyła na to, że dużo się dowie o młodszym Thorntonie Lindsayu od jego babki, pod warunkiem, że zdobędzie jej zaufanie.

Księżę przyszedł, zanim zegar wydzwonił kwadrans po dziesiątej. Wcześniej niż zazwyczaj i nie sam.

- Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać. Pokojówka zaopiekuje się Alexandrem.

Dziewczyna dygnęła.

- Mam sześciu braci, proszę pani. Obiecuję, że małemu nic się nie stanie. Może pani być spokojna.

Miała miły głos i ładnie się uśmiechała.

Caroline nie dano wyboru, musiała podążać za księciem, który wyszedł z jej sypialni. Udał się piętro wyżej do pokoju na szczycie wieży. Znajdowała się tam biblioteka. Półki z książkami wypełniały ją pod sufit. Książki dotyczyły najróżnorodniejszych dziedzin, jak na pierwszy rzut oka zorientowała się Caroline.

- Po co mnie pan tu przyprowadził?

Ogarnął ją nagły niepokój. Może ma jej już dość?

- Musimy porozmawiać. Wolałbym, żebyś zwracała się do mnie po imieniu, Thornton albo Thorn, jeśli wolisz.

- Dobrze, wasza wys... dobrze, Thornton - poprawiła się.

- Potrzebuję twojej pomocy.

Tego zupełnie się nie spodziewała. Czekwała w milczeniu na dalszy ciąg.

- Panna Ross zaczyna być coraz bardziej natrętna. Chciałbym, z twoją pomocą, zniechęcić ją do siebie.

- Zniechęcić?

Nie mogła się nadziwić. Jednocześnie odczuła coś na kształt ulgi.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś mogła okazać pewne zainteresowanie moją osobą.

- Żeby zniechęcić pannę Ross?

- Właśnie.

- Myślałam, że wystarczająco potrafisz zniechęcić nawet najodważniejsze młode panny.

- Ta okazała się zadziwiająco odporna, a obecność jej rodziców dodaje jej pewności siebie. Zdecydowanie nie chciałbym się znaleźć w pułapce, z której jedyne wyjście wiedzie poprzez niepożądane małżeństwo.

Książę zdjął z półki butelkę brandy, odwrócił dwa kryształowe kieliszki, które stały na tacy do góry nogami, i napełnił je niemal po brzeg.

- Dzisiaj przed kolacją zastałem pannę Ross w swojej sypialni. Tłumaczyła się, że zabłądziła i znalazła się u mnie przez pomyłkę. Gdyby nie przyszedł kamerdyner...

- Musiałbyś się ożenić?

- Wiedziałem, że zrozumiesz.

Przyjrzała mu się uważnie. Rozbroił go poważny wyraz ślicznej twarzy Caroline. Podniosła się i chodziła w zamyśleniu tam i z powrotem po bibliotece. Miał ochotę zatrzymać ją i przytulić do piersi. Zatrzymała się wreszcie sama. Widać było, że podjęła decyzję.

- Gdybym zawsze była przy tobie, tak żebyś nigdy nie został z nią sam na sam, to by ci pomogło?

- Tak.

Starał się zachować powagę.

- Mój brat tego nie pochwali, to jasne.
- Nie dowie się. Po śniadaniu wyprawiam go do Holston, żeby dojrzał tam bydła.

Caroline skinęła głową. Thornton zauważył, że ma poogryzane paznokcie. Zaintrygowało go to.

- Jakie są plany na jutro? - zapytała.
- Obiecałem Rossom przejażdżkę po posiadłości.
- Całej rodzinie?
- Małym dzieciom nie.
- Skoro będą tam wszyscy, powinieneś być bezpieczny.

Zachował powagę, chociaż chciało mu się śmiać. Podobało mu się, że Caroline tak się przejęła swoją rolą. Zauważył, jak dzisiaj po południu w salonie starała się odwrócić uwagę Jennifer Ross, która z zainteresowaniem graniczącym z nietaktem przypatrywała się bliznom na jego policzku. Czyżby myślała, że takie zachowanie go zrani?

Spędził pięć lat wśród mężczyzn i kobiet, którzy bez skrupułów zamordowaliby go, gdyby dał im na to choćby cień szansy, a potem trzy kolejne, udając, że nie widzi spojrzeń dobrodusznym rodaków zadziwionych zmianami w jego fizjonomii.

Prawie dziesięć długich lat przebywał w istnym piekle. Dlaczego teraz zbija go z tropu zatroskana mina Caroline? Czyżby jej na nim zależało?

Panna Ross nie stanowiła dla niego żadnego zagrożenia. Jej obecność służyła mu za pretekst, aby zapewnić sobie bliskość Caroline, również w towarzystwie innych osób. Jakże jej potrzebował! Nie zamierał kwestionować logiki jej konkluzji, to nie leżało w jego interesie.

- Obiecujesz nie czynić żadnych aluzji do tego, że jestem twoją kochanką?
- Obiecuję.
- W takim razie się zgadzam.

Wyciągnęła do niego rękę. Ujął ją, ciepłą i drobną, w swoją dłoń. Światło świecy odbiło się od złotej bransoletki na przegubie Caroline. Porozumienie między nimi stało się faktem.

- Jest jednak pewna trudność. Jeśli Jennifer zapyta mnie o ciebie, nie będę wiedziała, co jej odpowiedzieć, tak mało wiemy o sobie.

- Ośmielam się zaprzeczyć, Caroline - odrzekł, sugestywnie wodząc wzrokiem po jej ciele.

Wyrwała mu rękę, więc spoważniał. Postanowił przestać z niej żartować. Rumieniec na jej twarzy był autentyczny. Przejechała Europę, oszukując na lewo i prawo, a teraz przed nim się zarumieniła? Niepojęte. Jak ona to robiła? Poczul się nagle niepewnie. Myślał, że ją przejrzał na wylot, tymczasem znowu okazało się, że jej nie zna.

Skapitulował.

- Co chcesz o mnie wiedzieć?

- Jak dostałeś się na służbę u Wellingtona?

- Po studiach w Oksfordzie nie wiedziałem, co z sobą począć. W Penleven gospodarował Leonard i radził sobie znakomicie, a mnie nudziło życie na wsi. Poszedłem do wojska. Najpierw służyłem w pułku Pageta w Hiszpanii, potem zostałem przeniesiony do sztabu Wellingtona, który przydzielił mi zadania wywiadowcze.

- Dlaczego odszedłeś z wojska? Pogładził poraniony policzek

- Szpieg nie powinien rzucać się w oczy. Z tymi bliznami byłoby to raczej trudne.

Cała jego dotychczasowa wesołość uleciała.

- Brak ci tego?

- Był czas, że przeklinałem swój los, ale Kornwalia okazała się balsamem na strapienia tamtych wszystkich lat.

- Balsamem - zawtórowała.

Znała dobrze to uczucie. Urok tych poprzecinanych jarami wzgórz przemawiał i do niej, choć była tu obca i nigdzie dotychczas nie potrafiła zagrześć miejsca. Jak on musiał czuć to piękno, będąc dziedzicem Penleven, potomkiem pokoleń wyrosłych na tej ziemi, mających od wieków tutaj swój dom?

- „Życie pozostawia ślad na każdym naszym dniu”. Usłyszałam to z ust pewnej kobiety w Paryżu, której mężowi niecały miesiąc wcześniej kula armatnia urwała głowę.

- Odważne stwierdzenie, ale niezbyt wielkie... pocieszenie.

- Myślisz o swoich bliźnich?

- O nie najmniej mi chodzi - powiedział z goryczą. Wycofał się w cień pod ścianą wypełnioną półkami z książkami. Caroline wstrzymała oddech.

- Słyszałam, jak wzywałś imienia kobiety. Brzmiało Lillyanna.

Po raz pierwszy Caroline ujrzała niczym niemaskowany ból na twarzy księcia.

- Mówić można wiele. Dobrze byłoby wiedzieć, czego warto słuchać.

- I czego nie warto?

Wiedziała, że nie życzył sobie przedłużania tej rozmowy, ale skoro już zaczęła...

- Nie chciałam być wścibska.

Zegar wybił jedenastą. Oboje aż podskoczyli. Księżę odstawił kieliszek na stolik.

- Zostań ze mną.

Przesunął palcem po policzku Caroline.

- Zostań ze mną na noc. Pokojówka posiedzi przy Aleksie.

- Gdyby Thomas zastał mnie z tobą i cię wyzwał, będziesz się z nim bił?

Martwię się o niego.

- Nic mu nie grozi.

- Obiecujesz?

Bardzo jej zależało na uzyskaniu zapewnienia.

- Obiecuję.

Odetchnęła z ulgą. Czowała, że się rumieni, i była na siebie zła z tego powodu.

- Jeśli ludzie się dowiedzą...

Zaszedł ją z tyłu, uchwycił jej dłoń i uniósł ją do ust. Czowała ciepło jego warg na delikatnej skórze wnętrza przegubu. Tam gdzie bił puls. Spoglądał jej w oczy wymownie, wyzywająco.

- Myślę, że twoja opinia na temat moich wyczynów w łóżku, lekkomyślnie wygłoszona w zatłoczonej sali balowej, bardziej zaszkodziła twojej reputacji niż to, że zostałam moją kochanką.

Skrzywiła się na samo wspomnienie tamtego zdarzenia.

- Nie ma dla mnie powrotu.

- Nie jestem o tym przekonany. Londyn łatwo zapomina o skandalach, a ten z twoim udziałem, jako kobiety zamężnej, nie należy do tej samej kategorii, co brutalna defloracja niewinnej dziewczyny.

Serce Caroline gwałtownie przyspieszyło na te słowa. Defloracja niewinnej dziewczyny. To o niej.

Dłoń przytrzymująca ją za nadgarstek przesunęła się wyżej i zamknęła na jej piersi osłoniętej tylko cienką koronką. Wsunął nogę między jej uda, nacierał na nią. Pragnął jej. Czowała to. Dreszcz przebiegł jej po plecach. Drażnił kciukiem brodawkę jej piersi i nie mogła już dłużej hamować instynktownego i niepodlegającego kontroli pożądania. Pierwotnego i elementarnego. Odchyliła do tyłu głowę i poddawała się pieszczotom, nie mogąc wyjść z podziwu, co mogą one zdziałać z jej ciałem, jak łatwo pokonują jej opór.

Nie zamierza go powstrzymywać, bez względu na to, jak mało może dostać w zamian. Nierówna to będzie wymiana, ale nie dba o to. Pragnie pieszczot, pocałunków, ostatecznego stopienia się z nim w jedną całość.

Kochaj mnie, Thorn. Po prostu kochaj. Proszę, błagała w duchu Caroline.

Pojedyncza łza spłynęła po jej policzku. Książę znieruchomiał, jakby się wahał.

- Nie skrzywdzę cię, obiecuję - powiedział.

Jak na mężczyznę, który nigdy się nie wahał, tego rodzaju uczucie było co najmniej dziwne. Odsunął się. Nie zatrzymywała go. Tak będzie lepiej dla niej i dla niego również. Za bardzo się przed nim odsłoniła.

- Krzywdzisz mnie jednak, Thorntonie, ponieważ mnie przetrzymujesz w charakterze kochanki.

Skrzywił się. Znaleźli się w punkcie, w którym słowa nie wystarczały, potrzebne były decyzje. Podejmie je, lecz nie dzisiejszego wieczoru. Znowu oddzielał go od niej dystans.

- Pójdę już. Alexander może się obudzić.

Stąpała po niepewnym gruncie, musi zachować ostrożność. Dla dobra ich wszystkich.

Pokiwał głową. Odwróciła się szybko, żeby nie dostrzegł jej rozczarowania. Dzisiaj wieczorem do niej nie przyjdzie. Wiedziała o tym.

Thornton Lindsay, najślynniejszy spośród oficerów wywiadu Wellingtona, musiał kontrolować rozwój sytuacji, musiał kierować swoim życiem tak, jak dyktowała mu jego wola. Dzisiejszego wieczoru tak się nie działo. Caroline udało się wywiercić maleńką dziurkę w zbroi, w której chronił się przed światem.

Czy to początek prawdziwej więzi?

Należy posuwać się krok po kroku. Brat już zabezpieczony, syn pod osłoną jego nazwiska. Ona sama się odrodzi. Ze starego pędu róży wyrasta nowy. Lepszy, silniejszy.

W swoim pokoju przystanąła przy kominku, bo zziębła w drodze z wieży. Po chwili zajrzała do łóżeczka. Alex spał smacznie. Dziewczyna, która miała go pilnować, również. Caroline pociągnęła ją delikatnie za ramię. Zerwała się na nogi i

zaczęła żywo tłumaczyć się z niedopełnienia obowiązku. Caroline odesłała ją na spoczynek.

Usiadła w fotelu przy kominku. Zapatrzyła się w ogień rozsiewający iskry osiadające na osmolonym ruszcie. Pomarańczowe płomienie dobywające się z na wpół spalonego drewnianego polana pochłaniają stopniowo całą resztę paleniska. Za oknem wyje południowo-zachodni wiatr, uderza w mury zamku, pędzi w głąb lądu wilgotne, przesycone morską solą powietrze. Gdyby lepiej nadstawić ucha, dałoby się usłyszeć łoskot fal nacierających na ląd z dalekich mórz, huk przyboju zalewającego długie, piaszczyste plaże.

Dom w oblanej morzem Kornwalii. W krainie, która długo żyje w pokoju. Jakże odmiennej od Paryża.

Caroline rozpostarła dłonie nad ogniem. Łzy napłynęły jej do oczu. Jakie to cudowne miejsce. Zamek, w którym kiedyś zapewne panowała miłość, w którym słychać było beztroski śmiech. Miejsce, w którym upłynęło życie wielu pokoleń. Poczucie trwałości. Dopóki tu nie przyjechała, nie wiedziała, jak desperacko tego pragnie. Jak pragnie domu, spokojnej przystani, azylu.

Rozdział trzynasty

Galop po otwartej przestrzeni wokół Penleven był bardzo przyjemny. Dosiadając konia, który wybrał dla niej Thornton, Caroline miała poczucie wolności, jakiej nigdy jeszcze nie zaznała.

Jechała tuż za wielkim, czarnym wierzchowcem księcia, tym samym, którego widziała z okna powozu w deszczową noc przyjazdu do Penleven. Uśmiechnęła się do siebie na to wspomnienie. To był bez wątpienia on. Zmagając się z porywistym wiatrem, czuwał nad ich bezpiecznym przejazdem do jego domu. Czy zadawałby sobie trud, gdyby mu na niej nie zależało?

Wjechali na szczyt wzgórza i Thornton zarządził odpoczynek. Czekali na resztę towarzystwa. Pierwsza zjawiała się Jennifer. Była wyraźnie zmęczona, czerwona na twarzy i spocona. Za kilka sekund dojechali jej rodzice. Mieli nadzieję, że to koniec przejażdżki.

- Ma pan piękne włości, książę.

Hrabina Ross skwapliwie podchwyciła komplement męża.

- Nasz majątek jest równie rozległy, ale atutem tego miejsca jest sąsiedztwo morza. Jest coś magicznego w kombinacji zieleni i błękitu.

Jennifer ustawiła się tuż obok Thorntona. Poprawiając się w siodle, chwyciła księcia za ramię.

- Przejazd był raczej męczący, wasza wysokość. Może odprowadziłby mnie pan z powrotem do domu?

To wystarczyło Caroline.

- Och, proszę nie rezygnować, lady Jennifer. Ja też kiedyś zniechęciłam się do jazdy konnej, gdy w dzieciństwie spadłam z kuca. Potrzebowałam długich trzech lat, by ponownie odważyć się dosiąść konia. Chętnie pani pomogę, proszę tylko jechać obok mnie. Nie masz nic przeciwko temu, Thorn? Przypominam sobie, że kiedy

przed laty byłam początkującą amazonką i bałam się galopować, pozwalając mi jechać obok siebie. - Powiedziawszy to, obdarzyła Thorntona promiennym uśmiechem.

Nazwanie księcia po imieniu nie pozostało niezauważone.

- Znacie się państwo tak długo?

Ton Jennifer Ross był lodowaty. Nie potrafiła ukryć irytacji z powodu interwencji Caroline.

- Och, całą wieczność.

Śmiech Caroline, towarzyszący wyjaśnieniu, odbił się echem od drzew rosnących poniżej miejsca, gdzie się zatrzymali.

- Kiedy byliśmy młodszy, umawialiśmy się, że pewnego dnia pobierzemy się i będziemy szczęśliwi - ciągnęła.

- Twoje zamążpójście stało się, oczywiście, na przeszkodzie tym planom - spuentował Thornton, nie bez przekory.

- Mimo wszystko ciągle mam nadzieję - oświadczyła Caroline i śmiało spojrzała mu prosto w oczy.

Pragnęła go kochać i być kochana. Jednak optymizm przygasł w obliczu konstatacji, że jest to możliwe tylko we śnie. W jej śnie. Thornton Lindsay poślubi kogoś takiego jak Jennifer Ross, kobietę o koligacjach, z posagiem i nieposzlakowaną przeszłością. Majątek jej rodziców w połączeniu z Penleven to dopiero będzie potęga.

A jednak prosił ją, Caroline, żeby starała się stwarzać pozory, że coś go z nią łączy. Nie miała zwyczaju nie dotrzymywać obietnic, więc gdy inni posiadali z rumaków, ona pozostała w siodle, czekając, aż księżę do niej podejdzie.

- Pomogę ci.

- Bardzo proszę.

Uchwycił ją w talii i uniósł z siodła. Otarła się o niego całym ciałem. Nie puścił jej nawet wtedy, gdy jej stopy dotknęły ziemi. Dotychczas z łatwością wcielała się w kolejne role, ale teraz te metamorfozy przychodziły jej coraz trudniej.

- Zaczynam wierzyć, że jest pani czarodziejką, pani Weatherby - szepnął księżę. - Proszę dalej działać w ten sposób, a do jutra rana pozbędziemy się Rossów.

Lepszej zachęty nie potrzebowała. Z ręką wspartą na jego ramieniu starała się sprawiać wrażenie, miała nadzieję, że skutecznie, kobiety bardzo pewnej siebie, przy której Jennifer Ross nie ma czego szukać w Penleven.

- Kiedy pani wraca do Londynu, pani Weatherby?

- Zazwyczaj przyjeżdżamy na cały miesiąc, lady Ross a obecnie jesteśmy tu zaledwie od tygodnia. Wszelako szczęśliwie się złożyło, że nasz pobyt zbiegł się z państwa wizytą, inaczej nie miałabym szansy państwa poznać.

Krzywy uśmiech, którym została poczęstowana w odpowiedzi, świadczył o tym, że hrabina Ross nie zapomniała o dobrym wychowaniu nawet w momentach najtrudniejszej próby. Niewątpliwie obecność Caroline w Penleven musiała być mocno irytująca dla matki, której śniła się perspektywa wydania córki za męża za właściciela jednego z największych majątków ziemskich w kraju.

- A co z pani rodziną? Często ją pani odwiedza?

- Niestety, nie. Oboje rodzice zmarli przed laty. Zostaliśmy zupełnie sami z bratem.

- I dzieckiem. Słyszeliśmy od służby, że ma pani dziecko.

Do diabła. Caroline sądziła, że uda się nie mieszać w to Alexandra. Była szczęśliwa, gdy do konwersacji wtrącił się Thornton.

- Proszę tam popatrzeć. - Wyciągnął ramię w kierunku morza. - To najszybszy szkuner, jaki kiedykolwiek żeglował po kanale La Manche. Nazywa się „Morska Czarownica” i przemierza Atlantyk na trasie między Londynem a Ameryką.

Trzy pary oczu zwróciły się we wskazanym kierunku, zaś Caroline podziwiała zręczność, z jaką Thornton zvekslował zainteresowanie Rossów z niewygodnego

dla niej tematu na inny. Na tym między innymi polegała jego profesja: potrafił uważnie obserwować, co się wokół niego dzieje, i odpowiednio reagować, żeby nie dać się zaskoczyć. Teraz prowadził towarzystwo w stronę niewielkiego skrawka ziemi, oblanego z trzech stron morzem, przylądka Lizard. O Alexandre wszyscy zdążyli zapomnieć.

Dobre dwie godziny później znaleźli się z powrotem w domu.

Caroline była zmęczona zarówno jazdą konną, jak i prowadzoną grą. Marzyła tylko o tym, żeby w swoim pokoju usiąść w fotelu z Alekssem na kolanach i przez okno popatrzeć na morze. Niepokoiła się o Thomasa. Po wyprawie do Exeter jego nieobecność zawsze źle na nią wpływała.

Książę Penborne miał jednak inne plany. Gdy Rossowie udali się do swoich pokojów, żeby się przebrać do kolacji, zaprosił Caroline na krótki spacer do ogrodu na tyłach zamku.

Zdjął z oka opaskę i schował ją do kieszeni. Caroline zauważyła, że gdy byli sami, bardzo rzadko ją zakładał. Zdjął też surdut, którego kołnierzem, będąc w towarzystwie, osłaniał twarz. Ucieszyła się, bo wyglądało to tak, jakby przy niej nie uznawał za konieczne ukrywać blizny.

- Dziękuję za pomoc, Caroline. Myślę, że po twoim przedstawieniu panna Ross dojdzie do przekonania, że nic u mnie nie wskóra.

- Twoja babka będzie oczywiście mocno rozczarowana. Wydaje mi się, że chętnie widziałaby więcej dzieci w zamku.

Roześmiał się.

- Dlaczego Morag nie zajęła się tobą po śmierci rodziców? - Caroline odważyła się zadać nurtujące ją od dawna pytanie. Zorientowała się, że dotknęła bolesnego tematu.

- Ponieważ to ja przywlokłem szkarlatynę z Eton do Penleven. Cała moja rodzina umarła, tylko ja przeżyłem. Podejrzewam, że Morag bała się, że nie będzie potrafiła ukryć swojej niechęci do mnie.

- Niechęci? Dlaczego?

- Mój ojciec był jej jedynym dzieckiem. Chyba wolałaby widzieć na marach mnie, a nie jego.

Współczucie przeppełniło serce Caroline.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Osiem.

Nie można się dziwić, że gdy dorósł, opuścił Anglię i długo nie wracał. Nic dziwnego, że był takim zgorzkniałym samotnikiem. Życie nauczyło go nikomu nie ufać. Starannie ważyła słowa, zanim je wypowiedziała.

- Alexander jest zdrowy. Czy gdyby zachorował i zaraził kogoś, kogo kochasz, i ten ktoś by umarł, mógłbyś go znienawidzić?

Zaskoczyła go.

- Nie. Oddałbym życie, żeby go ocalić.

- A nie sądzisz, że twój ojciec myślał dokładnie tak samo?

- Chyba tak.

- W takim razie masz odpowiedź.

Przygładził dłonią włosy, patrząc uważnie na Caroline.

- Nie przyszło mi to nigdy do głowy.

- Bo nie byłeś ojcem.

- A czy jestem? Jestem ojcem Alexandra? - Najwyraźniej chciał się upewnić.

- Jesteś.

Pochwycił jej dłonie.

- Babka nie przestaje opowiadać, jak bardzo jest do mnie podobny.

Caroline zainteresowało co innego.

- Czy twoja babka często przyjeżdża do Penleven?

- Nie, nie utrzymywaliśmy bliskich stosunków. Od kilku lat wybrała sobie za miejsce zamieszkania Plymouth.

- Czy zaprosiłeś ją do Penleven z mojego powodu? Bo jakby to wyglądało, gdybym przebywała tu bez przyzwoitki?

- Tak.

Zrobiło się jej przyjemnie.

- To najmiłsze, co ktoś zrobił dla mnie od dawien dawna, i bardzo ci za to dziękuję.

Uniosła jego dłoń do ust. Dotknęła końcem języka kostek na zgięciu palców. Przepęłniało ją zupełnie nieznane uczucie: czuła się bezpieczna z kimś innym poza Thomasem. Tonące w kwiatach Penleven, które widziała za plecami Thorntona, pogrążyło się powoli w mroku. Rozległy się czyjeś kroki i książę się od niej odsunął. Obok nich przeszedł ogrodnik, który pozdrowił Thorntona. Nastrój prysł.

Tego wieczoru też nie przyszedł. Caroline czekała dopóty, dopóki zegar dzwoniący gdzieś w głębi domu nie oznajmił jej, że jest za późno na wizytę księcia. Może nie ma go w domu, może pojechał do Holston, albo i gdzieś dalej. A może była jeszcze inna kobieta, podobna do tej, z którą przyjechał do Hilvertonów. Mniej skomplikowana, która nigdy nie płacze w jego ramionach i nie marzy o niemożliwym: o ukoronowaniu małżeństwem znajomości opartej na braku równości.

Nie będzie o tym więcej myślała. Nie powinna. Machinalnie obciągnęła jedwabną koszulę nocną, specjalnie wybraną na ten wieczór, kusząco opływającą ciało.

Nie przyszedł i już nie przyjdzie.

Leżała nieruchomo wsłuchana w szum drzew za oknem i ciche rozmowy służących, wykonujących ostatnie obowiązki przed udaniem się na spoczynek.

Dotychczasowe życie odpływało w przeszłość. Zastanawiała się, czy Penleven skusiło ją swoim komfortem, ciepłem, dobrym jedzeniem, bezpieczeństwem.

Przeciągnęła się. Jedwabna pościel. Co za luksus.

Zaczynała lubić mieszkańców Penleven i brat też czuł się tu szczęśliwszy niż gdzie indziej. Jutro wyciągnie przybory malarskie i zacznie malować. Zrobi *tableau* z widokiem zamku i twarzami mieszkańców. Przynajmniej zostanie po niej jakaś pamiątka, gdy stąd wyjedzie.

Wracając z popołudniowej przejażdżki, Thornton usłyszał dobiegające z kuchni śmiechy. Zazwyczaj ktoś krzątał się wokół domu, a dzisiaj wszędzie było dziwnie pusto. Henry opuścił stanowisko przy frontowych drzwiach, Jamesa też nie było w stajniach, gdzie miał zwyczaj czekać po południu na chlebodawcę.

Thornton przystanął zaskoczony dochodzącymi z kuchni wybuchami wesołości gospodyni. Co się dzieje? Ruszył w tamtą stronę i otworzył drzwi.

James i Henry stali obok siebie, do kołnierzy surdutów mieli przyczepione kłosa pszenicy. Naprzeciwko nich Caroline St Clair, w męskiej czapce na głowie zapobiegającej opadaniu włosów na oczy, szkicowała na płótnie ich podobizny. Na dalszym planie były już uwiecznione postacie ubranej w fartuch gospodyni i pokojówki Polly, trzymającej w rękach koszyk cytryn. Podobieństwo było uderzające, choć sylwetki zostały uchwycone zaledwie kilkoma kreskami. W ustawionej w kącie kuchni kołysce spał Alexander, pod kołyską zwinięty w kłębek drzemał kuchenny bury kot.

Penleven wydało się nagle Thorntonowi inne, nieznanne. Do tej pory każdy robił, co do niego należało, wszystko działało jak dobrze naoliwiony mechanizm. Tymczasem nagle zapanowały wesołość i swoboda. Po raz pierwszy od powrotu z Europy poczuł się nie na miejscu. Zbyt poważny, nawet stary.

- Czy wasza wysokość również zechce znaleźć się na obrazie? - zapytała Caroline. - To na razie tylko szkic, ale zamierzam przenieść go na większe płótno i pozostawić w Penleven, gdy będę stąd wyjeżdżała.

- Wyjeżdżała? Doprawdy, pani Weatherby, proszę nawet o tym nie wspominać. Nie wiem, jak to przeżyjemy. Każdy zacznie robić to, za co mu płacę, gdy pani zabraknie. - Brnął dalej, chociaż wiedział doskonale, że jest na straconej

pozycji. - Mój koń stoi na dworze, zajmij się nim, Henry. Dopilnuj, żeby stajenny dobrze go wyszczotkował.

- Już się robi, wasza wysokość.

Henry i James żywo ruszyli do drzwi, przedtem jednak nie omieszkali rzucić okiem na swoje podobizny utrwalone na płótnie przez Caroline. Reszta służących też rozeszła się po domu, nawet kot obudził się i opuścił miejsce pod kołyską Alexandra.

- I kto mi teraz zechce pozować? - zażartowała Caroline. - Może ty?

- Ciągle czekam na portret Alexandra.

Thornton nie wspomniał o zamówionym wcześniej autoportrecie. Zauważył, że zrobiło się jej przykro.

Dzisiaj nie mógł się zdobyć na to, żeby być miły. Tęsknił do niej przez dwie ostatnie noce, brakowało mu jej ciepła, uśmiechów i tej szczególnej bliskości, gdy zasypiali razem po akcie miłosnym. Splatała dłonie z jego dłońmi, jak gdyby chciała go zatrzymać przy sobie do samego rana.

Wiedział, że źle robi, okazując zły humor, ale nic na to nie mógł poradzić. Wyszedł do ogrodu i jego samopoczucie pogorszyło się jeszcze bardziej, gdy ujrzał zażywających świeżego powietrza Rossów. Hrabia odłączył się od rodziny i zaszedł mu drogę.

- Chciałbym z panem zamienić parę słów, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Thornton doskonale wiedział, o czym chce z nim porozmawiać Ross, i tego tematu wolałby nie poruszać. Rozmowa o córce hrabiego była mu bardzo nie w smak.

Poprowadził jednak gościa w głąb ogrodu, zadowolony, że hrabina wraz z dziećmi trzyma się w bliskiej odległości. Teraz udają wielkie zainteresowanie fontanną na końcu esplanady. Może uda się nie przeciągać tej niemiłej konwersacji za długo, pomyślał książę.

Hrabia Ross nie tracił czasu.

- Jennifer zbliża się do wieku, w którym należałoby pomyśleć o zamążpójściu. Zauważyłem, że przejawia skłonność do waszej książęcej wysokości.

- Skłonność?

Słowo to zabrzmiało w uszach Thorntona wręcz ironicznie.

- Żywi do pana uczucie, które sama określa jako silne. Będąc jej ojcem, uznałem, że mam prawo porozmawiać z panem na ten temat, chciałbym się bowiem dowiedzieć, czy jest szansa na odwzajemnienie jej uczucia przez pana.

Thornton był zadowolony. Tak postawione pytanie otwierało mu łatwą drogę wyjścia.

- Obawiam się, że moje uczucia są ulokowane gdzie indziej.

- Rozumiem.

Hrabia Ross wyglądał na zbitego z tropu i niezadowolonego. Biedak Trudno mu będzie pozbyć się z domu tak zepsutej dziewczyny jak jego córka.

- Przypuszczam, że swój afekt skierował pan w stronę pani Weatherby?

Thornton domyślił się, że staremu łatwiej będzie przynieść córce dobrze uzasadnioną odmowę.

- Ma pan rację. Nie sądziłem jednak, że moje uczucia są aż tak czytelne.

- Nie pańskie, wasza wysokość, a pani Weatherby. Moja żona ma talent do rozpoznawania zakochanych kobiet i twierdzi, że Caroline Weatherby prezentuje typowe objawy. Muszę stwierdzić, że diablo piękna z niej kobieta - dodał po chwili.

Thornton nie wiedział, jak zareagować. Pokiwał tylko głową. Był szczęśliwy, że reszta Rossów już do nich dołączyła.

Zakochana kobieta? Czy to możliwe?

Jennifer Ross z nadzieją badała wzrokiem twarz ojca. Gdy ten pokręcił przecząco głową, rozplakała się i pobiegła w głąb ogrodu. Matka i niańki rzuciły się za nią z młodszymi dziećmi uczeponymi ich spódnic. Ross tylko wzruszył

ramionami. Thornton poczuł przyływ sympatii do hrabiego. Ostatecznie jest ojcem i stara się jak najlepiej wywiązać ze swoich obowiązków.

Czy on nie zachowywałby się podobnie, gdyby miał córkę na wydaniu? Pożegnał się z hrabią i ruszył do domu. Powinien przeprosić Caroline za swoje chimeryczne zachowanie w kuchni.

Siedziała w swoim pokoju zajęta malowaniem. Na jego widok pospiesznie zakryła płótno. Alexander patrzył na matkę ze swojego miejsca na łóżku. W jego nogach leżał zwinięty w kłębek kot.

- Nie chcesz, żebym zobaczył, jak idzie ci praca?
- Nikomu nie pokazuję nieskończonych obrazów.
- Co malowałaś w kuchni?
- Tylko szkicowałam.

Odłożyła pędzel na paletę. Ciągłe unikała jego wzroku. Jasne włosy złocił promień słońca. Miała urocze dołeczki w policzkach. „Diabło piękna kobieta”, przypomniał sobie słowa hrabiego. Usiadł na łóżku obok syna.

- Rossowie wyjeżdżają z samego rana. Miałem interesującą rozmowę z Donaldem Rossem.

- Tak?
- Jest przekonany, że jego żona posiada nadzwyczajne zdolności.

Caroline rzuciła księciu zaciekawione spojrzenie.

- Twierdzi, że ona potrafi rozpoznać zakochaną kobietę.
- Chodzi o ich córkę?
- O ciebie. Zachnęła się.
- Nigdy o czymś takim nie słyszałam.
- Czy ona ma rację?
- Jestem kochanką, wasza wysokość. Będę musiała przenieść się do domu na wsi, gdy się mną znudzisz. Nie mogę sobie pozwolić na luksus zakochania się.
- Więc ona się myli?

- Myli się - odparła Caroline, patrząc księciu prosto w oczy.

Gdy wyszedł, odkryła zasłonięty kawałkiem materiału portret, z którego patrzyły na nią bursztynowe oczy Thorntona.

- Niech cię diabli - syknęła.

Uśmiechnęła się do Aleksa, którego zaniepokoiło zachowanie matki.

- Przeklęta, głupia baba. Co ona może wiedzieć o miłości?! Wzięła do ręki pędzel. Kilkoma muśnięciami przyciemniła tło, żeby lepiej wydobyć twarz, stworzyć wrażenie głębi. Brązowa tonacja malowidła dobrze oddawała charakter ciemnozłotego spojrzenia Thorntona Lindsaya, natomiast rozproszone światło dochodzące z okna za jego plecami akcentowało płaszczyznę policzka.

Dotknęła palcem krzyżujących się linii na lewej połowie jego twarzy. W kuchni była na niego zła. Chciał się izolować, podkreślić dystans dzielący go od zwykłych ludzi. Pan i władca. Nawet w tej zalanej słońcem, pachnącej ciastem i pomarańczami kuchni.

Thornton Lindsay. Thorn. Samo brzmienie jego imienia kłuło*.

Mimo wszystko, gdy wychodził, wyczuła w nim jakieś wahanie, jakąś słabość. Podeszła do lustra. Masując skronie przypatrywała się uważnie swojej twarzy. Co ta Ross w niej zobaczyła?

* Thorn (ang.) - cierń, kolec (przyp. tłum.).

W głębi oczu dostrzegła czającą się boleść. Nie ma żadnych widoków na poślubienie Thorntona. Dziewicza kochanka. Jedna z niewielu osób na świecie, które wiedziały o Lillyannie de Gennes.

Adele Halstead stała za jej plecami, a ta dziewczyna tuż przed nią. Thomas wmieszał się w grupę nieznajomych Francuzów.

- Jeśli tam pójdziesz, umrzesz, Lilly. Jesteś Francuzką, a twoi rodzice, ile razy tu staną i spojrzą z tego wzgórza, zawsze odczują ból, bo przypomni im się, że

Thornton Lindsay posłał na śmierć setki dobrych Francuzów. Dlaczego tego nie rozumiesz?

Nienawiść do wszystkiego, co brytyjskie, była uderzająca. Caroline zdała sobie sprawę z tego, że pistolet Adele jest wymierzony w jaskrawoczerwone plecy brytyjskiego żołnierza, stojącego niecałych sto jardów od nich.

Thornton Lindsay. Wówczas nie kulał.

Nie знаła go. Nie rozumiała boleści w głosie Lillyanny i jej nagłego postanowienia, gdy ruszyła biegiem w jego stronę, osłaniając go własnym ciałem od kuli.

Adele zakłęła na głos. W oczach przyjaciółki swojej matki Caroline zauważyła coś przerażającego.

- Wracaj, Lilly! Do cholery, wracaj!

Dziewczyna nie odwróciła się, jej długą niebieską spódnicę wzdymał wiatr. Zniknęła we wnętrzu kościoła, gdzie schronili się angielscy żołnierze.

Upłynęła minuta, może dwie. Nawet ptaki zamilkły, jakby nasłuchiwały. Chmury zasłoniły słońce i wtedy światem wstrząsnęła kanonada.

Szczątki końskie i krzyki umierających ludzi wypełniały przestrzeń. Rzucili się do ucieczki. Ona i Thomas. Ziemia wokół nich się poruszała. Dobiegli do lasu, tam dopiero znaleźli schronienie. Zatrzymali się pod olbrzymim dębem. Ich zdyszane oddechy były jedynym dźwiękiem wypełniającym pokrytą grubą warstwą mchu polanę.

- Poświęciła życie - odezwał się wreszcie Thomas.

- Dla niego.

Pierwszy raz w życiu Caroline ujrzała potęgę miłości, gotowej poświęcić wszystko dla ukochanego.

Pięć lat później wiedziała, że gdyby była na miejscu Lilly, zrobiłaby dokładnie to samo, aby go ocalić!

Thornton wypił więcej, niż mu się to zdarzało od dłuższego czasu. Siedział w bibliotece i nie potrafił przestać rozmyślać o Caroline. Nie kocha go. Powiedziała mu to prosto w oczy. Hrabina Ross była w błędzie.

Pałaca brandy spływała w dół przetyku. Lubił to uczucie. Duchy przeszłości traciły twarze, ich obecność stawała się łatwiejsza do zniesienia. Roztapiały się w ciszy.

Jak tu cicho. Tylko cienie stały się u stóp.

Wstał z fotela i chwiejnym krokiem, przesuwając dłoń wzdłuż ściany dla zachowania równowagi, podszedł do okna.

Prawie noc. Kolejna. I jeszcze jedna.

Tak bardzo chciał ją mieć przy sobie, blisko, żeby broniła go przed nocnymi koszmarami, które zjawiały się jak na zawołanie po północy.

Znów czuł, jak Lilly przywiera do niego, składając na jego wargach pocałunek lekki niczym muśnięcie motyla. W jej zachowaniu nie było nic, co można było odczytać jako ostrzeżenie. Chyba że tak należało potraktować spłoszone spojrzenie szarzielonych oczu. Nie była do końca szczerą. Ukrywała przed nim swój strach. Pograżał się w żalu, pot perlił mu się na czole, wracały drgawki, z trudem chwycił powietrze.

Wtedy ukazywały się inne obrazy, głęboko pogrzebane w świadomości. Był małym, szczęśliwym chłopcem, a mury siedziby rodu Penborne rozbrzmiewały radością jego mieszkańców. Kiedy to było? Jeszcze przed Eton. Przed wyjazdem do Europy. Zanim kawałek roztopionego ołowiu pokancerował skórę jego twarzy.

Nareszcie Caroline. Światło w ciemnościach, płomień w popiele, na jaki wypaliło się jego życie. Czuwała nad nim, żeby nikt go nie skrzywdził.

Odstawił butelkę na półkę z książkami. Melancholia była niewdzięcznym kompanem do kieliszka. Niestety, dzisiejszego wieczoru po prostu zalał robaka.

Caroline wróciła do malowania. Zanim zdążył zobaczyć, co malowała, zakryła płótno. Jeszcze jeden sekret. Nawet się jej specjalnie nie dziwił.

- Ta dama to jedna wielka tajemnica - szepnął.

Pokocha go kiedyś? Musi go pokochać, bo jeśli nie, będzie zgubiony.

Gałka u drzwi obróciła się powoli, skrzypięciu zawiasów towarzyszyło przekleństwo. Thornton.

Oparł się o futrynę. Miał trudności z utrzymaniem równowagi. Był pijany. Wszedł do środka. Nawet z dala Caroline czuła zapach brandy i widziała, jak drżą mu dłonie, którymi sięgnął po świecę wciąż jeszcze jasno palącą się na półce nad kominkiem.

Podszedł do sztalug i uniósł zakrywające portret płótno. Usłyszała jego głęboki wdech.

- Po co przyszedłeś? - szepnęła.

- Żeby cię... przeprosić.

- Za co?

- Za wszystko.

- W takim razie będziesz długo przepraszał - odparła ze śmiechem.

Zbliżył się do łóżka i usiadł. Palcem przytkniętym do ust nakazał jej milczenie, bo Alexander poruszył się w kołysce.

- Ciii...

Postawił świecę na stoliku i patrzył przez chwilę na jej chybotliwy płomień.

- Chciałbym... żeby ta Ross... miała rację.

Powiedział to jakby nie swoim głosem.

- Robiłem różne rzeczy... złe rzeczy... które nie spodobałyby ci się, ale Anglia ich potrzebowała. Przy tobie... czuję się... dobry... i gdy usłyszałem to, co powiedziała ta Ross... myślałem... miałem nadzieję...

Niepewność biła z jego twarzy, w głębi oczu czaiło się cierpienie. Wciąż gnębiły go koszmary wojenne. Wyczuła, że nie bardzo wiedział, co przed chwilą wyraził. Postanowiła zaryzykować i wypowiedzieć słowa, które on być może zapomni jeszcze przed nastaniem świtu, ale których potrzebował właśnie w tej chwili.

- Kocham cię. Tak po prostu.

Poweselał. Spoważniał jednak, gdy ustami zaczął szukać jej warg.

- Kochaj mnie, najdroższa.

- Kocham.

Porzuciła wszelką ostrożność, nie chowała się za osłoną kobiecej pasywności. Rozwarła usta i językiem odszukała jego język. Blisko, bliżej. Z trudem łapała oddech.

Czas stanął w miejscu.

Dryfowała zawieszona pomiędzy stanem nagłego olśnienia a w pełni realnym, wibrującym w jej ciele aktem stopienia się w jedno jej duszy z jego duszą.

Ich pierwszy pocałunek! Pękły wszelkie tamy. Pragnęła więcej. Nie będzie ostrożna, lecz barbarzyńska, szalona, wolna.

Wziął ją gwałtownie, pospiesznie, jakby bał się, że nie zdąży, zanim ona ochłonie i odejdzie. Znowu spotkały się ich usta.

- O Boże! - wyjąkał, gdy w końcu rozdzielili się i otaczający ich świat ponownie przybrał rozpoznawalne kształty. - O Boże - powtórzył i opadł bez siły na pościel.

Szeroko rozwarte oczy lśniły zdumieniem i niedowierzaniem dopóty, dopóki nie ogarnął go sen, dobrotliwy i kojący, bo oddawał się mu z lekką duszą, z nadzieją i ulgą. Wypita brandy też zrobiła swoje.

Starannie otulony, obudził się z bólem głowy i we własnym łóżku. Zasłony były szczelnie zaciągnięte. Był bez butów.

James? Henry? Nie. Pamiętał, że był u Caroline. Widział swój portret. Naprawdę tak wygląda? Szczery, otwarty. Niezbyt to do niego podobne. Poruszył głową i jęknął. Podłożył pod szyję poduszkę. Zawrót głowy ustąpił.

Jak zwykle siedział wieczorem w bibliotece i tam dopadły go wspomnienia, które łagodziła brandy. Potem było światło świecy, otaczające złotą aureolą lśniące blond włosy.

„Kocham cię”. Powiedziała to. Był tego pewien. Czy odpowiedział jej tak samo? Kłamstwo, mistyfikacja, podstęp, a raczej ich skuteczność, były miernikiem jego sukcesów w życiu. Nagle zaprzagnął położyć temu kres.

„Kocham cię”. Nie było śladu oszustwa w ciemnoniebieskich oczach, gdy przybliżał twarz do jej twarzy.

- Boże, dopomóż.

Dawno się nie modlił. Poczuł się wzmocniony na duchu. Nie jest sam.

Wszedł Henry ze szklanką czegoś, co jego zdaniem miało pomóc na ból głowy. Thornton przyjął to z wdzięcznością.

- Gdzie jest pani Weatherby?

- Była tu przed chwilą ze swoim synkiem i pytała o waszą wysokość.

- Z moim synem - poprawił lokaja książkę i zauważył błysk zainteresowania w oczach służącego.

- Państwo Ross wyjechali zaraz po świcie. Zostawili list z podziękowaniem dla waszej wysokości. Leży na biurku - poinformował Henry i zabrał się do odsłaniania okien.

Thornton uśmiechnął się z ulgą. Rossowie wyjechali, ból głowy mija, w uszach dźwięczą mu słowa Caroline St Clair. „Kocham cię”.

- Mógłbyś odnaleźć panią Weatherby i poprosić ją, żeby przyszła?

- Tutaj?

- Tutaj, Henry.

Zjawiała się po dziesięciu minutach, ale sama.

- Mam nadzieję, że dobrze się czujesz - powiedziała Caroline.

Takiego powitania się nie spodziewał. Była lekko spłoszona. Poczuł przyływ uczuć opiekuńczych, co wytrąciło go z równowagi. Na prawym rękawie niebieskiej sukni zauważył plamę czerwonej farby. Coś mu się przypomniało.

- Namalowałaś mój portret.

- Jest jeszcze nieskończony...

- Podoba mi się.

Uśmiechnęła się. Nagle wyszło za chmur słońce i opromieniło złotym blaskiem jasne włosy Caroline. Wyglądała niczym anioł.

Po raz pierwszy poczuł się w jej obecności niepewnie jak mały chłopiec w towarzystwie dziewczynki.

- Inne rzeczy też pamiętam...

Spojrzała na niego bez słowa.

- Coś zbiłem.

- Szklanke. Nieważne.

- Jeśli powiedziałem coś, co mogło cię urazić, przepraszam.

- Niczego takiego nie powiedziałeś.

- Zachowywałem się przyzwoicie?

- Umiarkowanie.

Roześmieli się jednocześnie. Znowu zrobili coś razem po raz pierwszy. Ta rozmowa w zalanej porannym słońcem sypialni to chyba dobry prognostyk. Thornton zauważył, że palcami prawej dłoni Caroline nerwowo obraca złotą bransoletkę na lewym nadgarstku.

- Masz ją od Thomasa, prawda?

Potwierdziła ruchem głowy.

- Miałam dwanaście lat, właśnie wróciliśmy do Paryża. Byłam chora i on martwił się o mnie.

- Bardzo chora?

Zbladła. Był zaskoczony.

- To nie była wina ani Eloise, ani Thomasa.

- Co ci było?

- Zostałam ranna.

- To ta blizna na lewym biodrze?

- To był wypadek. Byliśmy głodni.

- Głodni? Nie rozumiał.
- Przez pół roku mieszkaliśmy w małym domku na północnym wybrzeżu.

Eloise wyjechała.

- Z kochankiem?

Caroline nie odpowiedziała, ale Thornton domyślił się, że właśnie tak było.

- Byliśmy dziećmi, nie mieliśmy pojęcia o pieniądzach. Szybko wydaliśmy te, które nam zostawiła. Thomas ustrzelił królika. Czyściłam broń i wypaliła.

- Kto był z wami? Spojrzała mu prosto w oczy.
- Nikogo nie było.
- Jak długo leżałaś?
- Długo.

Dwoje dzieci zdanych tylko na siebie! Cud, że ocaleli. Pomyślał, że jest coś winien Thomasowi. Porozmawia z nim wieczorem. Wyciągnął do niej dłoń. Nie zamierzał już żartować na temat wydarzeń wczorajszego wieczoru.

- Będę się tobą opiekował.

Zamierzał dotrzymać obietnicy. Nie miało to nic wspólnego z namiętnością. Rozczułały go jej krótkie paznokcie. Uśmiechnął się, gdy zacisnęła palce na jego palcach.

- Gdzie urodził się Alex?

Nagle zapragnął dowiedzieć się o niej wszystkiego.

- W Hilverton. Pomagał mi Thomas i akuszerka z Campton.
- Żałuję, że nie było mnie przy tobie. Sam się sobie zdziwił, że to mówi.
- Byłeś, Thorn, w mojej wyobraźni. Wykrzykiwałam twoje imię.
- Nienawidziłaś mnie?
- Dopóki nie urodził się Alexander. Potem czułam do ciebie tylko

wdzięczność.

Wdzięczność, nie miłość. Thornton nie mógł się sobie nadziwić, że tak bardzo pragnie usłyszeć słowa, które wypowiedziała w nocy: „Kocham cię”. Teraz, gdy nie jest pijany, mógł odpowiedzieć.

- Kto mnie zaprowadził do sypialni?

- Ja.

- Sama?

- Nie stawiałeś oporu.

- Przepraszam. Zazwyczaj tyle nie piję.

- Udzieliłeś mi schronienia, Thorn. Czasami dobrze jest móc się odwdzięczyć.

- Odwdzięczyć - mruknął pod nosem.

Oparł się na poduszkach. Kielkowało w nim pewne postanowienie.

- Kiedyś byłem zaręczony. Wiedziałaś o tym?

Odczuł potrzebę opowiedzenia o wszystkim Caroline. Wypowiadania się jej z całego życia. Skrywał zbyt dużo sekretów, które za długo zżerały jego duszę. Nie odzywała się, więc kontynuował.

- Myślałem, że znam Lilly, że wiem, kim jest, dopóki nie zjawiała się za mną w kościele w Orthez i nie wydała nas na pastwę ognia artyleryjskiego.

Caroline pobladła jak chusta. Jej dolna warga drżała.

- Przepraszam, jeśli to ci sprawia przykrość.

Pokręciła głową. W jej oczach dostrzegł coś, co nakazało mu zamilknąć. Jakby doskonale wiedziała, o czym mówił. W głowie zaczęły mu się kłębić najdziksze teorie. Oblał go zimny pot. Czy jest skazany na wieczny smutek?

- Zrobiła to z miłości do ciebie - odezwała się wreszcie Caroline.

- Co ty mówisz?

- Thomas i ja byliśmy tam z Adele Halstead, która trzymała w ręku pistolet wycelowany w twoje plecy. Zastrzeliłaby cię, gdyby Lillyanna nie wybiegła i nie ustawiła się na linii strzału. Nie przypuszczam, żeby miała pojęcie, co się wydarzy, bo z naszego miejsca nie mogliśmy widzieć posterunków artylerii.

- Byłaś tam?

Nie spodziewała się, że on zareaguje z taką gwałtownością.

- Nie jest tak, jak myślisz. Adele obiecywała zabrać nas z powrotem do Anglii.

Przypadkiem natknęliśmy się na nią koło Orthez. Nasza matka umarła. Propozycja Adele spadła nam z nieba. Mieliśmy do wyboru wygodną podróż powozem bogatej kobiety albo pełne niebezpieczeństw przedzieranie się przez góry do Hiszpanii. Po prostu znaleźliśmy się w niewłaściwym czasie w nieodpowiednim miejscu. Dwoje siedemnastolatków nieświadomych, że zaplątali się w grę wywiadów i osobistej zemsty. Gdy zobaczyliśmy, co się dzieje, uciekliśmy.

- Co ty mówisz!

- Przypuszczam, że Lillyanna padła ofiarą intrygi. Jestem przekonana, że nie wiedziała o prawdziwych zamierzeniach Adele Halstead, ale kochała cię tak bardzo, że zaryzykowała dla ciebie życie. Przegrała.

Thornton zasłonił oczy dłonią.

- Gdybym miała zgadywać, byłabym skłonna przypuszczać, że Lillyanna nie miała szansy - ciągnęła Caroline. - Adele krzyczała, żeby się zatrzymała, ale ona nie przestała biec w twoją stronę.

- Dziękuję ci, że mi o tym opowiedziałas.

Caroline pokiwała głową. W głosie Thorntona słychać było zmęczenie. Potrzebował czasu, bo właśnie otworzyły się niezaleczone, stare rany. Będzie mu łatwiej teraz, skoro dowiedział się o poświęceniu ze strony Lillyanny. Nie padł ofiarą zdrady. Był kochany.

- W biurku za tobą, w trzeciej szufladzie od dołu znajdziesz owiniętą w zielony aksamit miniaturę. Mogłabyś mi ją podać?

Zrobiła, co prosił. Nie uległa pokusie, żeby odsłonić obrazek, zanim mu go wręczyła.

- O to ci chodzi?

Siedział przez chwilę bez ruchu, jak gdyby czekał na przyływ odwagi, żeby zrobić to, co zamierzał.

- Muszę się upewnić... - zaczął. - Muszę się upewnić, że... naprawdę widziałś Lillyannę.

Ukazała się twarz kobiety, którą kiedyś kochał.

- To ona - potwierdziła Caroline.

- Cieszę się.

- Zamówiłeś jej podobiznę?

- Nie. Dostałem ją od brata Lillyanny, już po jej śmierci. Ciągłe prześladował mnie jej widok.

- Nie mogłeś o niej zapomnieć?

Caroline wiedziała aż nadto dobrze, jak trudno jest uwolnić się od związków ze zmarłymi.

- Nie o to chodzi. Po prostu prześladowały mnie wątpliwości związane z wydarzeniem w kościele. Ciągłe myślałem o zdradzie.

- Teraz już nie masz wątpliwości?

- Już nie - odparł z uśmiechem Thornton.

Rozdział czternasty

Thornton stał przy oknie w bibliotece. Zmierzchało. Powierzchnia morza lśniła w blasku zachodzącego słońca. Do drzwi zapukał Thomas.

- Lokaj powiedział, że chce pan mnie widzieć.

- Tak. Powinniśmy porozmawiać.

Brat Caroline był speszony. Usiadł na brzeжку kanapy i palcami nerwowo pukał w oparcie.

Thornton poczuł się nagle nieskończenie bardziej doświadczony od młodego człowieka, którego miał przed sobą.

- Chciałbym cię prosić o rękę twojej siostry - powiedział, stając przed nim.

Thomas St Clair aż krzyknął ze zdziwienia.

- Czy pytał pan już Caro?

- Nie. Dobre wychowanie nakazuje, żebym najpierw porozmawiał z tobą.

Sądziłem, że jako jej jedyny krewny powinieneś pierwszy dowiedzieć się o moich zamiarach.

- Caroline nie jest odpowiednią kandydatką na żonę dla pana. Nazwisko St Clair zostało splamione przez jej matkę, gdy uciekła z...

- Nieważne, to było dawno temu - zniecierpliwił się Thornton.

Nawet nie chciał o tym słuchać.

- Pobyt w Londynie nie przyniósł nam chluby. Stanie się pan obiektem plotek.

- Na mój temat plotkują od wielu lat. Nigdy nie zwracałem na to uwagi. A o was wszyscy na pewno zdążyli zapomnieć, tym bardziej że występowaliście pod fałszywym nazwiskiem. Nie mówiąc już o tym, że nawet ja miałbym trudności z rozpoznaniem Caroline bez rudej peruki.

- A wdowa Weatherby?

- Jestem pewny, że to wcielenie nie przynosi jej ujmy. Pobożna, moralna, cnotliwa. Dopóki nie spotkała mnie i się nie zapomniała. To moja wina. Kto nie będzie skłonny jej tego wybaczyć, jeśli to ja mam ją poślubić?

Thomas zamilkł.

Thornton wrócił na miejsce przy oknie. Uświadomił sobie nagle, że musiała być jeszcze inna, i to poważna przeszkoda, ale on nie chciał o niej teraz słyszeć. To Caroline powinna wyjawić mu swoje sekrety. Nie pragnął poznać ich z ust Thomasa. Musi spojrzeć Caroline w oczy i zrozumieć, na czym polegał jej udział we wszystkim, co wyjdzie na jaw.

- Gdyby twoja siostra chciała ze mną porozmawiać, będę tutaj przez następnych parę godzin. Możesz ją uprzedzić, o czym mówiliśmy.

- Dobrze.

Thomas wyciągnął rękę do Thorntona.

- Gdybym mógł wybierać szwagra, wybrałbym pana - powiedział z przekonaniem.

Szczerłość przemawiała przez młodzieńca, uznał księżę, jednak ma nieczyste sumienie. Thornton nie zatrzymywał go, gdy wstał i ruszył ku wyjściu.

Caroline postanowiła przejść się po wzgórzach. Szła najszybciej, jak mogła. Wiatr rozwiewał jej włosy, a po twarzy spływały łzy.

Chciał ją poślubić. Chciał się nią zaopiekować.

Czekał na nią w bibliotece, a ona kuliła się ze strachu w łóżku. Nie dowierzała sobie. Obawiała się, że rzuci się prosto w jego ramiona, a tym samym zgubi Thomasa. Tkwiła więc w swoim pokoju zamknięta na klucz.

Późną nocą, gdy świeca wypaliła się niemal do końca, Thornton dwa razy zapukał do drzwi. Nie odezwała się, więc zniechęcił się i odszedł.

Pod nogami wyczuwała kruchą, wapienną skałę, której odłamki osuwały się po każdym jej kroku w dół do morza. Przed nią rozpościerał się ocean, nad nią niebo. Obcas buta zaplątał się w obręb spódnicy. Przystanąła. Usłyszała cichy świst

powietrza, jakby gwizd wiatru. Poczowała muśnięcie i świat przewrócił się do góry nogami. Ostatnia jej myśl, zanim upadła, dotyczyła Thorntona Lindsaya.

- Gdzie jest twoja siostra?

Thornton wpadł jak burza do pokoju Thomasa.

- Od rana nie ma jej w domu, a Alexander bez przerwy płacze.

Thomas zerwał się na równe nogi.

- Nie wróciła na lunch?

- Nikt jej nie widział od czasu, gdy po śniadaniu wyszła na spacer, a teraz dochodzi trzecia.

- A wieczorem? Czy wasza wysokość rozmawiał z nią wieczorem?

- Nie.

- Nie zostawiłaby Alexandra na tak długo, chyba że...

- Chyba że?

- Stało się coś złego.

Thornton wybiegł z pokoju Thomasa. Dzwoniąc ręcznym dzwonkiem, przeszedł cały dom, zatrzymując się dopiero we frontowym holu, gdzie zgromadziła się wokół niego cała zaalarmowana służba.

Pojawił się również kuzyn Leonard, który nieoczekiwanie przyjechał rano z Londynu i teraz również zaoferował pomoc. Thornton się ucieszył. Kuzyn dobrze znał rozkład domu i każdy zakątek okolicy.

- Leonardzie, pani Weatherby zaginęła. Nie widziano jej mniej więcej od jedenastej rano. Nigdy nie wychodziła na tak długo.

- Może poszła do wioski?

Thornton popatrzył na Thomasa, który pokręcił przecząco głową.

- Nie, ale poślę służącego, żeby to sprawdził.

Stanął na środku holu i mówił głośno, żeby wszyscy dobrze słyszeli.

- Ruszamy na poszukiwanie. Podzielimy się na grupy, każda przeszuka konkretne miejsce. Jeśli znajdziecie panią Weatherby, natychmiast poślijcie kogoś z wiadomością do domu.

W ciągu dziesięciu minut dom opustoszał. Tylko babka Thorntona siedziała na kanapie i pomarszczonymi starymi dłońmi miętoszyła mokrą od łez chusteczkę.

- Ona nie poszła do wsi, Thorn - powiedziała. - Była bardzo zdenerwowana - dodała. - Spotkałam ją przy wyjściu. Wyjaśniła, że wybiera się na krótki spacer, żeby zebrać myśli. Widziałam, że ma zaczerwienione od płaczu oczy. Była roztrzęsiona.

- Zauważyłaś, w którą stronę poszła?

- Nie, bo natychmiast udałam się do Alexandra.

- Widziałaś zapewne, jak była ubrana?

- Miała czerwony płaszczyk narzucony na ciemnoniebieską aksamitną suknię.

Czerwony. Łatwo dostrzec taki kolor nawet z dużej odległości wśród klifów sąsiadujących z Penleven. Ale przecież mogła być wszędzie. Mogła przysnąć w bibliotece albo w ogrodzie. Spojrzał w zasnuwane chmurami niebo, z którego sączył się drobny deszcz. Mogła schować się w jakiejś stodole albo w małym domu nad morzem, który kiedyś jej pokazywał. Trzeba zajrzeć i tam. Wszystko jedno gdzie się skryła, on ją znajdzie.

- Poszukam na polach za zabudowaniami - zaproponował Leonard.

Thorntona uderzył jego wygląd. Pot zrosił mu czoło, oczy miały jakiś chorobliwy, szklisty wyraz. Czyżby był chory? Książę czuł, że kuzyn chce z nim o czymś porozmawiać, ale nie miał czasu zajmować się jego problemami. Pospiesznie siodłał konia.

Galopował brzegiem klifu nad przylądkiem Lizard, przeszukiwał głębokie rozpadliny płaskowyżu. Niestety, bez skutku. Zsiadł z konia, spętał go, a sam zsunął się na skalną półkę poniżej trawiastej powierzchni lądu.

- Caroline!

Wiatr porywał wołanie, po chwili wracało echem odbitym od skał. Zsuwał się coraz niżej, nie przestając wołać. Ciągłe nic. Słyszał głos Thomasa, który przeszukiwał inną część wybrzeża. Po lewej, wzdłuż linii drzew osłaniających drogę, w stronę wyżej położonych pól, biegali inni poszukujący.

„Kocham cię”.

- Boże, pomóż mi ją odnaleźć.

Modlił się cicho. Mimo wszystko nie ulegał panice, choć po głowie krążyły najgorsze przypuszczenia. Co będzie, jeśli...

Jeśli co? Otrząsnął się. Szukał Caroline głupio, chaotycznie. Musi wziąć się w garść i spokojnie rozważyć różne możliwości.

Było ciemno, gdy wracał do domu. Księżyc prawie nie było widać, bo padało. We wszystkich oknach stały zapalone świece. Dom przypominał latarnię morską zachęcającą: Tu płynicie. Tędy droga.

Zanim zatrzymał konia, spostrzegł wybiegającego mu na spotkanie Thomasa.

- Żadnego śladu?

- Żadnego, ale znajdę ją, obiecuję ci.

Na szczycie schodów Morag trzymała na rękach Alexandra. Książę wbiegł na górę po dwa stopnie naraz, po drodze ściągając przemoczone wierzchnie ubranie. Przytulił drobne ciało synka do wilgotnej od łez koszuli. Malec pachniał mlekiem i matką.

Jego dziecko. Ich dziecko. Potrzebuje matki i ojca.

Poczuł, że babka obejmuje go ramieniem. Zamknął oczy i modlił się żarliwie w duchu.

Nie spał. Spoczywał obok Alexandra wsłuchany w odgłosy deszczu i wiatru za oknem. Caroline leży gdzieś, może ranna, zmarznięta i przemoczona. Trzecia. Za dwie godziny wstanie świt. Będzie mógł wznowić poszukiwania. Paluszki syna zacisnęły się na jego palcu. Dziecko nie spało, obserwowało go szeroko rozwartymi oczami. Na jego buzi wykwitł uśmiech.

- Sprowadzę ją do domu.

Zrobi to. Obiecał to sobie wbrew nurtującym go wątpliwościom.

Wszystko było mokre. Twarz, ubranie. Caroline próbowała opanować drżenie. Było jej zimno. Podkuliła kolana, chciała wstać, ale ciało odmawiało posłuszeństwa. Wokół panowała ciemność.

Traciła świadomość. Nic nie widziała. Czuła ból. Nie potrafiła unieść głowy. Pozwoliła jej opaść. Przestała rozumieć, co się z nią dzieje.

Dłonie Thorntona krwawiły. Pozdzierał sobie skórę podczas wspinaczki na klif. Od rana poszukiwał Caroline na plaży, potem wyżej na obrośniętych ostrymi muszlami skałach. Teraz, gdy wśród gęstej ostrej trawy, dostrzegł powiewający na wietrze skrawek czerwonej tkaniny, nie czuł bólu.

Była tam gdzieś. Odetchnął z ulgą. Na występach skalnych nie było żadnych śladów krwi, włosów czy podartej odzieży.

- Caroline!

Nic, tylko zawroźnienie wiatru. Zawołał jeszcze raz. I jeszcze raz. Żadnej odpowiedzi. Wspiął się wyżej. Przywarł do wąskiej skalnej półki. Z pęknięcia skały wyrastały kępy trawy w głębi rozpadliny zebrała się kałuża wody. I wtedy dostrzegł Caroline leżącą bezwładnie o dwadzieścia kroków od miejsca, w którym się zatrzymał.

Bał się krzyczeć, zamarł z przerażenia. Wreszcie zdobył się na odwagę. Zaczął się mozolnie czołgać po skalnej półce, z trudem znajdując oparcie dla stóp. Gdy dotarł na miejsce i unióśł głowę Caroline, wydała jęk. Żyje! Poklepał ją po policzku. Ulżyło mu, bo się poruszyła i nawet spróbowała usiąść.

- Ostrożnie - szepnął.

Niewielka lawina kamieni poluzowanych jej stopą osunęła się w dół i spadła na piętrzące się pięćdziesiąt stóp niżej poszarpane skały. Obmacał jej ramiona i nogi, żeby sprawdzić, czy są całe. Za lewym uchem znalazł krew ściekającą aż na plecy. Odchylił włosy, różowe od krwi i deszczu. Zaklął na głos. Oczom jego ukazał

się wyraźny ślad po kuli, która otarła się o czaszkę. Tak mało brakowało, a byłoby po niej. Wolał nawet sobie tego nie wyobrażać. Otulił ją ramionami, starając się ogrzać przemarznięte ciało, żeby przestała tak drzeć.

- Caroline? - spróbował. - Caroline, słyszysz mnie?

Otworzyła oczy. Białka były przekrwione.

- Boli mnie głowa.

Zacisnęła kurczowo palce na jego dłoni.

- Upadłam. Słyszałam jakiś dźwięk...

- Możesz usiąść?

Nie chciał jej straszyć, nie wspomniał o kuli. Musiał ściągnąć ją z tej skalnej półki i sprowadzić do domu. Od morza nadciągnęły czarne chmury. Lada chwila znowu zacnie padać.

- Chyba tak.

Skrzywiła się z bólu. Przyłożyła obie dłonie do głowy.

- Strasznie boli.

- Wiem.

- Gdzie jest Alexander?

- Z Morag w zamku.

- A Thomas?

- Szuka cię. Wszyscy ciebie szukają.

- Wiedziałam, że ty mnie znajdziesz. Tylko ty...

Po jej policzkach potoczyły się łzy. Była wciąż w szoku. Obejrzała z przerażeniem zakrwawione dłonie, które zdjęła z głowy.

- Gdybym nie przeżyła...

- Nie umrzesz, Caroline.

- Nie?

Otarła twarz rękawem. Głośno szlochała. Ponownie sięgnęła do rany na głowie.

- To tylko draśnięcie.

To stwierdzenie dodało jej otuchy.

- Tak myślisz?

Siedząc, uniosła spódnicę i zaczęła oglądać nogi, poruszała nimi w różne strony, sprawdzała, czy są całe. Gdy się co do tego upewniła, zaczęła dłońmi obmacywać twarz.

- Co to takiego?

Wyczuła olbrzymi guz na czole.

- Czy moje oczy są w porządku?

Otworzyła szeroko powieki, obróciła twarz w stronę światła. Potem z ukosa spojrzała pytająco na Thorntona.

Nieoczekiwanie się roześmiał. Napięcie, w którym trwał przez ostatnią dobę, nagle ustąpiło.

- Do diabła, Caroline. Ciągle mnie zaskakujesz. Nigdy nie zachowujesz się tak, jak bym się spodziewał.

Nie ruszała się.

- W Paryżu widziałam człowieka z takim samym wielkim guzem. Nagle padł jak rażony piorunem i przestał oddychać. Kiedy indziej...

- Dostyc tego.

Odciągnął jej dłoń od guza na czole.

W tym momencie nastąpiło oberwanie chmury. Zdjął surdut, narzucił jej na ramiona i pomógł wsunąć ręce w rękawy, po czym starannie pozapinał guziki.

- Musimy stąd zejść! - przekrzykiwał ulewę, wskazując w górę na wielki nawis rozmoczonej ziemi, który lada chwila mógł runąć wprost na nich i strącić ich z wąskiej półki.

Caroline pokiwała głową. Jej blada twarz pobleadła jeszcze bardziej, gdy wstawała. Thornton podtrzymywał ją za ramię. Wzięła kilka głębokich oddechów, próbując opanować strach.

Kazał jej położyć się na jego plecach i objąć za szyję.

- Nie puszczaj, pod żadnym pozorem.

- Nie puszczę.

- Dobrze.

Zrobił krok do przodu.

Caroline przywarła z całej siły do Thorntona. Jeżeli zginą, to razem roztrzaskają się o nadbrzeżne skały. Na pewno był równie przerażony jak ona, choć na zewnątrz okazywał tyle spokoju i pewności siebie.

Nie mogła uwierzyć, że on znajdzie wyjście z pułapki, w której się znajdowali. Ale najwidoczniej mu się to udawało, pomału i cierpliwie, krok po kroku.

- Już blisko - powiedział cicho.

Przystanął, żeby odpocząć. Oparł czoło o skałę, oddychał głęboko.

- Mogę spróbować sama...

- Ani mi się waż.

Nie oponowała. Gdy popatrzyła na drogę, którą pokonali, wiedziała, że sama nigdy by nie podołała.

Kolejna kępa ostrężyn, większy kamień, na którym można postawić stopę. Była pod wrażeniem odwagi Thorntona, jego siły i wiary w siebie. Leżąca pod nogami kłoda okazała się zmurszała, nie dała wystarczającego oparcia. Stoczą się w dół? Nie. Uchwycił się ciemnego krzewu, nie bacząc na krwawiące dłonie i przedramiona.

Ostatnie kroki. Znaleźli się na płaskich skałach dominujących nad plażą. Zejście z nich nie nastęczało najmniejszych trudności.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, w jakim niebezpieczeństwie się znajdowali. Płakała rzewnymi łzami, nie mogła się od niego oderwać.

Thornton ją uratował. Ryzykował własne życie dla jej ocalenia.

Plaża pachniała morzem. Ten zapach zawsze kojarzył się jej z poczuciem wolności. Teraz będzie się kojarzył z jego bliskością, gotowością do poświęcenia, odwagą. Z tym wszystkim, co składa się na miłość.

Ich twarze były niemal przezroczyste w bladym świetle poranka. Nie potrzebowali słów, żeby wyrazić, co czuli. Otarli się o śmierć, w obliczu której on złożył u jej stóp dowód największego poświęcenia.

Dotknął ustami jej warg. Przywarła do niego i otaczający ich świat przestał istnieć.



Rozdział piętnasty

Nazajutrz bolało ją wszystko. Szyja, głowa, nogi, palce, którymi całą noc kuczowo trzymała się skalnej półki, żeby nie zsunąć się z niej w przepaść.

Thornton nie został na noc z Caroline. Napój, który przyrządziła jej pod wieczór kucharka, musiał zawierać domieszkę środka nasennego. Niepokoiła się, czy był na nią zły za to, że naraziła go na niebezpieczeństwo? Bardzo chciała go zobaczyć. Zegar na kominku wskazywał kilka minut po jedenastej.

Niemal w południe drzwi otwały się i ukazał się Thornton z kwiatami z ogrodu w Penleven.

- Morag pomyślała, że będziesz zadowolona - rzekł, stawiając wazon na nocnym stoliku. - Pozdrawia cię.

- A co z Thomasem? Gdzie on jest?

Nagle ogarnął ją niepokój o brata, podobnie jak owego dnia, kiedy zniknął w Exeter. Thornton nie kwapił się z odpowiedzią.

- Dzisiaj rano wyjechał do Plymouth.

- Dokąd?

Usiadła gwałtownie na łóżku, odwinęła kołdrę.

- Dlaczego? Po co tam pojechał?

- Wspominał, że ma się z kimś spotkać. Proponowałem mu powóz ze stangretem, ale nawet nie chciał o tym słyszeć. Wziął konia ze stajni i wyruszył o świcie.

Wpadła w panikę. Zrozumiała, dlaczego Thomas wyjechał.

Najprawdopodobniej podejrzewał, że jej wypadek miał coś wspólnego z de Lerinami. To rzeczywiście nie był przypadkowy upadek. Dotknęła dłonią bolącego miejsca za uchem.

- Ja nie upadłam tak po prostu, prawda?

- Nie. Strzelano do ciebie.
- Thomas o tym wiedział?
- Tak.

Wszystko układało się w logiczną całość. Brat zapewne zamierza popłynąć do Francji, odnaleźć de Lerinów i oddać się w ich ręce, żeby siostrze nic złego się nie przytrafiło. Bał się o nią i chciał ją chronić. Była o tym przekonana.

Serce waliło jej jak młotem. Czy poprosić Thorntona o pomoc? Był ustosunkowany, ludzie się z nim liczyli. Jest ojcem jej dziecka. Czy łącząca ich więź jest wystarczająco silna, żeby zdecydował się dla niej złamać prawo, jeśli zajdzie taka konieczność?

A co potem? Sam stawia czoło de Lerinom? Wiedziała, jaki jest honorowy. Gdyby Thomas został uwięziony za zabicie podłego człowieka, Thornton, była o tym przekonana, wzięłby sprawy w swoje ręce i zakończył porachunki z resztą tej niebezpiecznej rodziny.

Nie mieszaj go w to, podpowiadał rozsądek. Zrobił więcej niż ktokolwiek dla kraju i króla. Powinien zostać w domu. Nie można go narażać. Dla jego dobra i dobra Alexandra. Opanowała się. Oparła się o wezglowie łóżka, przytknęła dłonie do głowy.

- Źle się czuję...

Postarała się, żeby brzmiało to przekonująco.

- Sprowadzę doktora.

- Nie. Kręci mi się w głowie... Nie mogę zebrać myśli...

Zamknęła oczy, żeby zmylić jego czujność.

- Zdrzemnę się, to mi pomoże...

Dotknął jej dłoni. Ostateczne pożegnanie, a on nawet o tym nie wie. A ona musi nad sobą panować i nie może pochwycić jego dłoni w swoją. Czowała narastającą w gardle gulę.

- Przyjdę za godzinę, żeby przekonać się, jak się czujesz. Coś ci podać?

- Nic. Muszę się zdrzemnąć.

Po wyjściu Thorntona zerwała się z łóżka. Szczęśliwie się złożyło, że doglądająca jej całą noc pokojówka nie wróciła. Jest sama. Przynajmniej do czasu odnalezienia brata.

Niecałe trzy godziny później Thornton zauważył list przypięty do łóżeczka Alexandra.

Opiekuj się Alekssem, Thorn. On lubi, żeby z rana się z nim pobawić, a wieczorem mu pośpiewać. Zасыpia przytulony do swojego czerwonego, wełnianego kocyka. Nie szukaj mnie. Kocham Cię.

Caroline

Jego krzyk sprowadził do pokoju starą księżnę. Nie straciła głowy.

- Musisz ich oboje sprowadzić do Penleven, Thornton - stwierdziła stanowczo po przeczytaniu listu Caroline. - Potrzebujemy ich. Myliłam się, nie zajmując się twoim wychowaniem przed laty. Nie możesz popełnić mojego błędu, szukaj Caroline.

- Zostaniesz tu?

- Dopóty, dopóki będziesz tego sobie życzył. Myślę, że Leonard z przyjemnością dotrzyma mi towarzystwa.

Morag położyła dłoń na ramieniu Thorntona. Był jej za to wdzięczny. Jak dobrze jest czuć przynależność do rodziny. Jest jego babką. A on jest ojcem. Gdyby utracił Caroline, nic już nie byłoby takie samo.

Plymouth tętniło życiem. Poszukiwanie tych dwojga na ulicach i w tawernach równało się szukaniu igły w stogu siana. Muszą tu gdzieś być, uznał Thornton. Pierwszy statek do Francji wyruszy dopiero z porannym odpływem. Wcześniej nie będzie żadnego ruchu z portu w stronę kanału.

Wypatrywał siwej klaczy i jej siostry, te bowiem dwa konie znikły z zamkowych stajni w Penleven. Dochodziła ósma. Był tu już od dwóch godzin i stopniowo zaczynał tracić nadzieję. Czyżby Thomas kłamał? Może zamierzają wyruszyć na kontynent z innego portu? Niewykluczone. W tej części wybrzeża było to praktycznie możliwe prawie z każdej wioski.

W tej tawernie było szczególnie głośno i tłumnie. Książę ze zdziwieniem ujrzał Thomasa. Grał w karty i na cały głos recytował wiersze Robbiego Burnsa. Za jego plecami stała Caroline w męskim przebraniu. Nie do rozpoznania.

Nie wyglądała na chorą. A on tak się o nią martwił w drodze z Penleven do Plymouth! Znowu wystrychnęła go na dudka! Ogarnęła go wściekłość.

Dosiadł się do karcianego stolika. Ignorując ich oboje, zażądał nowego rozdania.

Po dwudziestu minutach, kiedy zgromadził całkiem pokaźną wygraną, Caroline usiadła obok brata i też z niewinną miną zażądała kart. Grała ostrożnie, dobierała mało, nie był więc zdziwiony, gdy wygrała pierwsze rozdanie. Kolejny sekret, którego przed nim wcześniej nie ujawniła. Jeszcze jedna umiejętność, dzięki której mogła iść przez życie, siejąc spustoszenie wśród mężczyzn.

Nie szyła, nie robiła na drutach, nie cerowała. Nie śpiewała i nie grała na żadnym instrumencie. Nie interesowała się układaniem menu dla gości i pielęgnowaniem ogrodu. Nie miała pojęcia o zajęciach, które były domeną kobiet z dobrych domów.

Natomiast grała w karty jak zawodowiec i na zawołanie zmieniała twarz. Była przekonująca. Wycierała rękawem nos i bez zmrużenia oka opróżniała stojący przed nią kieliszek brandy.

Rzuciła mu wyzwanie, a on je podjął.

Położył trzy króle i asa.

Pobiła go bezapelacyjnie trzema asami i dzokerem. Z triumfującą miną zgarniała wygraną, gdy pozostali gracze wstawali od stolika.

Thornton miał już dość tego udawania.

- Mam pokój w zajeździe dyliżansów za rogiem. Jeśli w ciągu pół godziny oboje się tam nie stawicie, każę was aresztować pod zarzutem kradzieży koni. Czy to jasne?

- Tak.

Wyszedł. Miał nadzieję, że zrozumieli. Gra skończona.

Nie minął kwadrans, a już byli w zajeździe. Caroline zdążyła przebrać się w suknię. Szczelnie osłonięta peleryną, starała się nie zwracać na siebie uwagi.

Wyglądała przepięknie. Już od progu skupiły się na niej spojrzenia mężczyzn.

- Co z Alexandrem?

- W porządku. Morag się nim zaopiekuje do mojego powrotu.

Specjalnie nie powiedział „naszego”. Zaprowadził ich do pokoju na górze, gdzie rozpalono w kominku, a na stole znalazł się chleb i dzbanek wina.

- Jedliście?

- Dawno.

Thomas był zrezygnowany.

- Częstujcie się.

Żadne z nich się nie poruszyło.

- Jak twoja głowa, Caroline?

Zauważył, że zrobiło się jej przykro. Zsunęła nieco pelerynę, gdyż w pokoju było ciepło.

- Dobrze. Dziękuję. Zwykła uprzejmość.

- Przypuszczam, że macie opłacony przejazd do Francji.

- Tak jest, wasza wysokość - potwierdził Thomas. - Na „Białej Łabędzicy”.

Wychodzi w morze z porannym odpływem.

- Dlaczego?

Milczenie.

- Ścigacie osobę, która strzelała do Caroline?

Znowu milczenie.

- To ta sama osoba, która więziła cię w Exeter?

Thornton wiedział, że jest bliski prawdy. Potwierdziło to widoczne zdenerwowanie Thomasa. Caroline lepiej nad sobą panowała. Patrzyła mu wyzywająco w oczy. Uważała najwidoczniej, że nie powinien ingerować w ich sprawę.

Wszystko to było bez sensu, ale trudno o jakiś sens w postępowaniu rodzeństwa Anstrettonów. Albo Weatherbych. Albo St Clairów. Zaprzysięgli kłamcy o tysiącu twarzy.

- Wygląda na to, że się nie dogadamy.

Thornton skrzyżował nogi, odchylił się do tyłu i napełnił sobie kieliszek. Czekał. Wiedział z doświadczenia, że czasami bardzo niewiele brakuje, aby doprowadzić do skruchy kłamcę, jeśli ujawniło się prawdziwe motyw jego postępowania. Ostentacyjnie wyciągnął zegarek. Za kwadrans dziewiąta. Czas pracował na jego korzyść.

Caroline kręciło się w głowie. Przytrzymała się poręczy kanapy, żeby nie upaść. W stroju do konnej jazdy, swobodnie rozparty na siedzeniu, Thornton Lindsay sprawiał wrażenie, jakby był u siebie. Tak samo jak w szulerni w Plymouth, gdzie nie przeszkadzało mu towarzystwo, jakiego zazwyczaj przecież unikał.

Pomyślała, że niczym kameleon z łatwością przystosowuje się do otoczenia. Szramy na policzku były jedynym dowodem, że nie zawsze wychodził z oparów obronną ręką. Bez trudu domyślił się, dokąd się wybierają i dlaczego. W końcu to doświadczony żołnierz i wytrawny szpieg.

Ich matka nigdzie nie zagrzała dłużej miejsca. Prowadziła cygańskie oraz rozwiązłe życie, odrzucała wszelkie rygory moralne, kierowała się tylko własnymi zachciankami. Jedną z nich był Guy. Zabójczo przystojny, wpełzł w ich życie jak jakiś wielki, egzotyczny gad. Potrafił koncentrować na sobie zainteresowanie. Matce spodobało się życie w centrum uwagi po latach wykluczenia.

Tym razem jej zazdrozczono. Nie opuściłaby go bez względu na to, co by zrobił, choćby dlatego, że był obiektem pożądania setek kobiet. Tak zachowują się ludzie bez moralnego kręgosłupa. Tkwią w pułapce bierności i chciwości, niezdolni po podjęcia jakiegokolwiek działania, żeby się z niej uwolnić i postąpić właściwie.

Caroline i Thomas mieli czternaście lat, gdy jesienią 1809 roku matka spotkała Guya. Poszła na bal z jednym kochankiem, wróciła z innym. Wyglądała atrakcyjnie w czerwonej sukni eksponującej jej obfite wdzięki. Siedzieli ukryci za schodami i patrzyli. Słyszeli jej śmiech i widzieli, jak ją traktował - jak niewolnicę. Zauważyli ślady na jej szyi w miejscu, gdzie uchwycił ją zbyt brutalnie.

Z takim człowiekiem się związała. Nic dziwnego, że tak się to skończyło!

- Wasza wysokość nie zdoła nam w żaden sposób pomóc - powiedziała Caroline. - Byłoby najlepiej, gdyby wrócił pan do Penleven i o nas zapomniał.

Uniósł brwi ze zdziwienia.

- A twój syn? Też powinien o tobie zapomnieć?

- Nie - zaprzeczyła drżącym głosem. - Jak wrócimy...

Thomas nagle wstał i przerwał siostrze.

- Moim zdaniem czas powiedzieć prawdę. Pomyśl o Alexandre...

Cały Thomas. Dobrze go znała od tej strony. Rodzinę stawiał na pierwszym miejscu. Tak było zawsze w momentach zagrożenia.

- Zabiłem człowieka, wasza wysokość - oświadczył prawie obojętnie. - Wracam do Francji, żeby się do tego przyznać. Nie chciałem brać Caroline ze sobą, ale uparła się, że ze mną pojedzie.

- On nie wie, co mówi! To nie on zabił!

Krzyczała. Nie mogła się opanować. Dostrzegła konsternację na twarzy Thorntona i rezygnację Thomasa.

- Uderzałem go z całej siły w tył głowy marmurową figurką, dopóki nie upadł i nie przestał oddychać.

Musi uciszyć brata, postanowiła Caroline. Zaśmiała się histerycznie na cały głos.

- On nie wie, o czym mówi - powtarzała w kółko. - Wypił za dużo wina...
- Dlaczego to zrobiłeś?

Thornton zwrócił się do Thomasa, ignorując Caroline, jednak to ona musiała wyjawić, co się stało. Przecież brat działał wyłącznie w jej obronie.

- Bo on chciał mnie zgwałcić.

Nareszcie zostało to powiedziane na głos. W słonecznym, przyjemnie umeblowanym pokoju wydawało się to niemożliwe.

- To było w Malmaison, w niedzielę po południu...

Wydarzenia tamtego dnia wryły się w pamięć Caroline i nigdy nie zostaną z niej wymazane. Na samo wspomnienie brakowało jej tchu, a zimny pot oblewał ciało.

- Ile miałaś wtedy lat?
- Siedemnaście.
- Niech to szlag!

Thornton wstał z miejsca, podszedł do okna.

- Niech to szlag! - powtórzył.
- Próbował też wcześniej.

Podciągnęła w górę rękaw koszuli Thomasa. Pokazała szeroką, pomarszczoną bliznę na jego przedramieniu.

- Ciągle nas krzywdził.

Była roztrzęsiona.

- A wy uważacie, że jesteście winni?

Thornton Lindsay wyglądał naprawdę groźnie.

- Broniliście się przed odrażającym łotrem i od tamtej pory ciągle uciekacie.

Nie macie się z czego tłumaczyć ani za co się kajać - rzekł stanowczo.

Caroline nie zrozumiała, co książę chciał przez to powiedzieć.

- Co wam przyszło do głowy, żeby wyjeżdżać do Francji?

- Jego krewni porwali Thomasa w Exeter i strzelali do mnie. Guy de Lerin ma mściwą rodzinę. Gdyby przypadkiem został w to zaplątany Alexander... - wyjaśniła, łkając, Caroline.

- Powtórz to nazwisko - przerwał jej Thornton.

- Które?

- Nazwisko człowieka, o którym myślicie, że go zabiliście. Jak on się nazywał?

- Guy de Lerin.

- Guy de Lerin? Jak wyglądał? Ciemne włosy, wąsy i znamię na wardze, w tym miejscu?

Pokiwali głowami.

- On nie żyje, ale to nie wy pozbawiliście go życia - stwierdził Thornton. - Guy de Lerin pracował dla generała Soulta we Francji. Poderżnięto mu gardło w Hiszpanii, bo zaczepiał tam córkę pewnego wieśniaka jakiś czas przed tym, zanim spotkałem się z Adele Halstead w Orthez. Wiem na pewno, że to był on, bo przyniesiono mi jego torbę wraz z zawartością.

- Boże!

Thomas opadł na kanapę. Próbował przyswoić sobie usłyszane rewelacje.

- Nie zabiłem go? - zapytał, nie wierząc własnym uszom.

Caroline usiadła obok brata i ujęła jego dłoń.

- Jesteś pewien, że to o niego chodziło? - zwróciła się do księcia.

- Mam doskonałą pamięć do nazwisk i twarzy. Nie zapominajcie, że służyłem w wywiadzie.

A więc Guy nie zginął z ich ręki.

- Czy to coś zmienia? - zapytała Caroline tonem osoby nie do końca przekonanej.

- Z całą pewnością, ale jest pewien problem.

Zaskoczeni Thomas i Caroline spojrzeli na Thorntona.

- Ktoś próbuje cię zabić, Caroline.

Do Penleven wrócili wynajętymi końmi, żeby własnym, którymi przyjechali do Plymouth, dać odpocząć. Po ostatnich rewelacjach nie mieli sobie wiele do powiedzenia, w powozie panowało milczenie.

Od pełni zaufania do nieufności. Od prawości do nieuczciwości. Jak łatwo skomplikować wzajemne relacje. Na dnie pozostaje osad gorczy.

Thornton Lindsay, sztywny i wyprostowany, siedział w milczeniu i wyglądał przez okno powozu. Thomas popadł w zadumę. Caroline odchyliła głowę na oparcie i przymknęła oczy. Była wyczerpana, nie miała siły miotać się między nadzieją, rozpaczą i miłością. Gdyby nie było z nimi Thomasa, zaryzykowałyby i usiadłaby obok Thorntona, ale w obecności brata, przewidując afront, nie ruszała się z miejsca.

Ręce księcia wciąż były poranione od wspinaczki na klif, a guz na czole od uderzenia odłamkiem skały ciągle widoczny. Dzisiaj rano w zajeździe w Plymouth, gdy przeprowadzał ją przez sień, poczuła się pod jego opieką bezpieczna.

- Macie wciąż ten medalion, po który włamaliście się do domu Adele Halstead? - zapytał.

Zmarszczyła brwi, zastanawiając się, skąd to pytanie. Thomas zdążył potwierdzić.

- Czy mógłbym go obejrzeć?

- Wasza wysokość uważa, że kryje jakąś zagadkę? - zapytał Thomas.

- Ta cała historia tak czy inaczej musi się wiązać z przeszłością, a przypomnę, że ataki na was zaczęły się od czasu, gdy medalion znalazł się w waszych rękach.

- Wasza wysokość sądzi, że ma to związek z Adele Halstead? - był ciekaw Thomas.

Księżę nie odpowiedział.

Caroline próbowała przypomnieć sobie wszystko, co wie o przyjaciółce matki, i ułożyć z tego logiczną całość. Wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć, że już nie będą posługiwać się fałszywymi nazwiskami.

Nie są przecież mordercami. Nie muszą uciekać przed sprawiedliwością. Znowu są sobą: Caroline i Thomasem St Clair.

Wiszący nad ich głowami miecz zniknął. Od dziś, cokolwiek się zdarzy w ich życiu, będzie wymagało zwyczajnych reakcji, bo Thomas jest wolny od obaw przed rozpoznaniem i oskarżeniem.

- Czy w Campton mieliście jakiegoś wroga? - przerwał milczenie Thornton.

Caroline potrząsnęła przecząco głową.

- A w Londynie? Czy mogliście się tam komuś narazić?

- Może Excelsior Beaufort-Huges poczuł się urażony? Jeśli sądził, że ma podstawy liczyć na zgodę Caroline... Grałem w karty i wygrywałem. Niektórzy partnerzy mogli się czuć zawiedzeni, chociaż nigdy nie oszukiwałem - snuł domysły Thomas.

- Trudno orzec - odparł Thornton. - Wiem tyle samo co wy. W Penleven będziecie bezpieczni - podkreślił, nie patrząc na rodzeństwo.

Wziął ich pod swoje skrzydła, bo tak nakazywało mu poczucie obowiązku. Tylko tyle, zrozumiała Caroline. Z bladym uśmiechem skinęła głową w podzięcie i odwróciła wzrok. Nie chciała, żeby ukochany zobaczył jej łzy, by domyślił się, jak bardzo rozpacza.

Rozdział szesnasty

Idąc na górę do pokoju Thorntona Lindsaya, Caroline narzuciła na ramiona koronkowy peniuar. Było późno, prawie druga w nocy. Służba dawno poszła spać, dom pogrążony był w ciszy. Wzięła ze sobą medalion. Uznała, że jeśli wszystko inne zawiedzie, użyje go jako pretekstu do złożenia wizyty.

- Kto tam?

Najwyraźniej Thornton nie spał. Z sąsiedniego pokoju padało światło nocnej lampki. Caroline weszła do środka. Siedział przy biurku i pisał, a w drugiej ręce trzymał kieliszek. Na kominku płonął ogień. Na ścianie, naprzeciw biurka, wisiał portret pięknej kobiety. Zainteresowała się kompozycją i kolorystyką obrazu, sama przecież malowała portrety.

- To moja matka - odezwał się książę, spostrzegając wzrok Caroline. - Zamówiła ten portret w prezencie dla ojca. Niedługo przed śmiercią.

Zapiął koszulę na piersiach, gdy zauważył, że przeniosła spojrzenie na jego tors.

- Po co przyszłaś?

- Przyniosłam medalion mojej matki, o który pytałeś.

Położyła medalion na srebrnej tacce, stojącej na przylegającej do biurka szafce.

- Chciałam ci także podziękować za to, że pojechałeś po nas do Plymouth i sprowadziłeś nas w powrotem do Penleven.

- Już trzeci raz przywożę cię do domu, Caroline. Zostaniesz czy znowu uciekniesz i będziesz udawała kogoś, kim nie jesteś?

Thornton podszedł do stolika, na którym stała karafka brandy. Napenił kieliszek i wychylił jego zawartość.

- Myślałem, że cię znam - powiedział - ale doszedłem do wniosku, że w miarę zacieśniania naszej znajomości wiem o tobie coraz mniej. Chyba nie potrafię znieść więcej kłamstw.

- Myślisz o mnie?

- Dzisiaj rano leżałaś chora w łóżku, po czym ukradłaś konia ze stajni i przez pół hrabstwa uganiałaś się za swoim bratem. Potem w męskim przebraniu grałaś w karty jak zawodowy szuler, a teraz, gdy cały dom ułożył się do snu, przychodzisz do mojego pokoju w na wpół przezroczystych koronkach, żeby mnie uwodzić.

Thornton popadł w zadumę, po czym zbliżył się do Caroline.

- Nie mam pojęcia, w które wcielenie mam wierzyć. W czasie wojny nieustannie musiałem rozpoznawać prawdę spośród tysięcy kłamstw i więcej nie chcę tego robić. Domagam się uczciwości. Czy potrafisz się na to zdobyć, Caroline? Jeśli mamy stworzyć Alexandrowi rodzinę, musimy przynajmniej sobie ufać.

Chodzi mu o zaufanie, nie o miłość, z bólem skonstatowała Caroline.

- Jeśli chcesz, żebym wyjechała...

- Nie chcę, żebyś wyjechała.

W ciszy, która zapanowała po tych słowach, słychać było tylko tykanie zegara stojącego na kominku. Caroline poczuła się głupio w cienkim negliżu. Oboje wiedzieli, o co jej chodziło i co on odrzucił. Zrobiło się jej wstyd. Zarumieniła się.

- Jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć.

Spojrzał na nią badawczo.

- Moja matka opowiadała nam, że nasz ojciec należy do angielskiej arystokracji, jednak nie wymieniła jego nazwiska.

- Dlaczego?

- Zerwała wszelkie kontakty w Anglii i nie chciała, żebyśmy tu wracali.

Uważała, że będziemy narażeni na pogardę. Oprócz tego mama nie zaliczała się do kobiet, które mogły stać się wyłączną własnością jednego mężczyzny. Taka jest prawda: matka kokota, ojciec nieznany.

Nieoczekiwanie Thornton wybuchnął śmiechem.

- Caroline, czy możesz obiecać, że między nami nie będzie już więcej żadnych sekretów?

- Mogę - potwierdziła drżącym głosem.

- Prosiłem Thomasa o twoją rękę. Powiedział ci o tym?

Skinęła głową.

- A ty zamknęłaś mi przed nosem drzwi na klucz.

- Bałam się, że gdy dowiesz się o de Lennie, pojedziesz za nami i go zabijesz.

Musiałam cię chronić.

- Chcesz powiedzieć, że...

Zebrała się na odwagę.

- Kocham cię, Thorntonie. Pokochałam cię od pierwszej chwili, gdy ujrzałam cię na balu w Londynie, z tym podniesionym kołnierzem i jednym okiem zasłoniętym opaską.

- To wyjaśnia wszystko!

Nie takiej odpowiedzi się spodziewała.

- Kocham cię, ale wyjdę za ciebie tylko pod warunkiem, że ty też mnie kochasz.

Thornton się roześmiał.

- Naprawdę nie wiesz, co do ciebie czuję, Caroline?

Potrząsnęła głową.

Uniósł jej dłoń do ust.

- Kocham cię od tej pierwszej nocy, gdy przyszedłaś do mnie w białej sukni. Nie byłem z kobietą od ponad dwóch lat...

- A ja nigdy przedtem nie byłem z mężczyzną!

Zatem cała ta ciągnąca się za nią fama o licznych kochankach i mężach była jedynie kamuflażem! Caroline była dziewicą, gdy za pięćdziesiąt gwinei zgodziła

się spędzić z nim noc! Jej kolejny sekret. Thorntona ogarnęło poczucie winy.

Wykorzystał Caroline, uczynił z niej swoją kochankę.

- Byłaś dziewicą?

- Tak.

Teraz wszystko nabrało sensu. Jej obawy, nieporadność. Krew na kawałku materiału, który oddarł się z jej halki, a który on wrzucił do ognia.

Niespodziewanie poczuł się obdarowany.

- Kocham cię, najdroższa. Nie płacz! Daję ci swoje serce, przysięgam, że to prawda.

- Nie wiem, czy na to zasługuję. Mam na sumieniu różne postęпки...

- Księżnej Penborne nikt nie ośmielił się tknąć, przysięgam ci.

- A Thomas?

- Wydzielę mu kawałek ziemi, niech sobie zbuduje dom.

- Zrobiłbyś to dla mnie? Dla nas?

Pocałowała go w policzek. Delikatnie dotykała językiem blizn.

- Lubię, jak przy mnie nie zakładasz opaski na oko i nie chowasz się za kołnierzem. Kiedy cię pierwszy raz ujrzałam, pomyślałam sobie, że masz oczy jak sokół.

- Bo zasłonięte?

- Nie, bursztynowe i groźne.

- Oczy drapieznika?

Zaczął rozwiązywać jej peniuar. Miała tak niewiele na sobie pod spodem. Stała nieruchomo. Patrzył na nią w zachwycie.

W świetle świec Caroline czuła się piękna, kochana, wielbiona.

Thornton wziął Caroline na ręce i zaniósł ją do łóżka. Za chwilę znalazł się obok niej. Jego ubranie też wylądowało na podłodze.

Pragnęła go tak samo jak wtedy, za pierwszym razem, w Londynie.

Było ciemno, gdy Caroline się obudziła. Świece się wypaliły. W szyby bił deszcz. Wyczuła, że nie ma obok niej Thorntona. Usiadła w pościeli. Zobaczyła go stojącego przy kominku. Palił cygaro. Jego mały, czerwony ognek wyraźnie widać było w ciemnościach.

- Nie śpisz?

Wydmuchał dym w stronę paleniska.

- Czy matka mówiła wam coś o waszym ojcu?

Ze wszystkich pytań, jakie mógł jej zadać, tego spodziewała się najmniej. Jej niepokój wzrósł, gdy zauważyła, że trzyma w rękach jej medalion i mały nożyk.

- Kiedyś powiedziała mi w Malmaison, że jest pewna, iż Bóg stworzył dla każdego drugą połówkę, ale ona zmarnowała swoją szansę.

- Urodziliście się w...

- ... w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym szóstym roku.

- We Francji?

- Tak.

Thornton podszedł do łóżka.

- Eloise St Clair przyjechała do Francji zimą tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego piątego roku, jak wynika z informacji z list pasażerskich, do których dotarłem. Czy wiesz, jak długo przed śmiercią matka знаła Adele Halstead?

- Nie. Adele pojawiła się w Paryżu, gdy mama była chora. Spędzały dużo czasu razem, rozmawiały i myślę, że Adele pomogła mamie poukładać różne sprawy. Dlatego nie oskarżyliśmy jej, gdy zginął medalion wraz z biżuterią.

- A po przyjeździe do Londynu próbowaliście odzyskać te rzeczy?

- Tylko medalion. Mama nigdy się z nim nie rozstawała. To jedyny przedmiot, jaki ceniła.

Caroline zadała sobie w duchu pytanie, dlaczego Thornton o to wypytuje.

- Myślisz, że Adele Halstead mogłaby mieć coś wspólnego z... - Nie dokończyła, bo w mgławicy niepewności nagle dostrzegła coś z wielką wyrazistością. - Uważasz, że ona może wiedzieć, kto jest naszym ojcem?

- Sądzę, że przyjechała do Paryża, wiedząc, kto nim jest.

- Dlaczego tak myślisz? - Nie nadała za Thorntonem.

- Dlatego, że doszedłem do przekonania, iż waszym ojcem jest jej mąż, Maxwell Halstead, hrabia Wroxham.

Thornton pokazał Caroline dwie miniaturowe podobizny jej samej i brata. Zostały ostrożnie wyjęte z medalionu, ich brzegi nie dawały się rozprostować. W milczeniu czekała cierpliwie, aż Thornton otworzy medalion. Jej oczom ukazała się twarz matki, znacznie młodsza od tej, którą zapamiętała, a obok twarz młodzieńca.

- To jest Wroxham. Znasz tę kobietę?

- To moja matka. Ich podobizny były cały czas ukryte pod naszymi?

Thornton skinął głową.

- Od kiedy o tym wiesz?

- Nic nie działo się przypadkowo, Caroline. Adele Halstead nie można ufać.

Czy twoja matka wiedziała, że Adele jest żoną Wroxhama?

- Nie jestem pewna. Nigdy nie słyszałam, żeby Adele mówiła o swoim życiu w Anglii albo używała w Paryżu nazwiska Wroxham lub Halstead. Przedstawiała się jako pani de Chabaneix. Przez przypadek odkryliśmy w Londynie, że to lady Wroxham.

- Według moich informacji Wroxham poślubił ją w Hiszpanii w tysiąc osiemset pierwszym roku. Kupił sobie patent oficerski w czasie kampanii na Półwyspie Iberyjskim, a ona już wtedy pomagała Anglikom, szpiegując Francuzów.

- Myślisz, że on o tym wie?

- Jestem pewny, że nie. Ciekawe, jak to było z waszą matką i z hrabią?

- Eloise powtarzała, że kochała naszego ojca.

- Ile lat miała matka, gdy was urodziła? Caroline szybko policzyła w myślach.

- Dziewiętnaście, jak przypuszczam.

- Była za młoda na ślub kościelny. Na szczęście można się udać do Szkocji, do Gretna Green. Tam nie zważają na takie przeszkody jak zbyt młody wiek czy brak zgody rodziców państwa młodych.

- Przypuszczasz, że wzięli potajemny ślub w Szkocji?

- Gdyby tak było, Adele Halstead miałyby silny motyw, żeby chcieć się was pozbyć.

Wszystko stawało się jasne.

- Ponieważ Thomas miałby prawo do odziedziczenia tytułu hrabiowskiego, prawda? Trzeba mu o tym powiedzieć.

- Jeśli to prawda, to jest zagrożony. Ciebie kula minęła o włos. Pewne jest, że ten, kto do ciebie strzelał, chciał cię zabić. Thomas zbyt łatwo daje się wciągać w zasadzki.

- Kto za tym wszystkim stoi? Podejrzewasz Adele? Potrafi posługiwać się bronią.

- Jednak nie zbliżała się do Penleven w ciągu ostatniego miesiąca. Kazałem ją śledzić od czasu tamtego londyńskiego incydentu z medalionem i nie stwierdziłem w jej postępowaniu niczego podejrzanego.

- A dlaczego Thomas nie został zabity w Exeter?

- Nie mam pojęcia, ale się dowiem.

- Odłóżmy to do jutra, Thorn. Teraz ja cię potrzebuję - oznajmiła Caroline i położyła jego dłoń na swojej piersi.

- Twierdzisz, Caro, że jesteśmy dziećmi hrabiego Wroxhama? - Thomas otworzył medalion. - I co teraz?

- Moim zdaniem są dwie możliwości. Ty zostaniesz w Penleven...

Thomasowi trudno było uwierzyć w teorię Thorntona na temat ich pochodzenia. Poranna rozmowa w bibliotece kompletnie wytrąciła go z równowagi.

- Teraz, kiedy zidentyfikowaliśmy już zagrożenie, łatwiej będzie was chronić - odezwał się Thornton.

- Mamy się ukryć...

- Mojemu wnukowi chodzi wyłącznie o wasze bezpieczeństwo - wtrąciła Morag Lindsay.

- Bezpieczeństwo? Ale za jaką cenę? Jak długo mamy być więźniami?

Caroline próbowała mitygować brata.

- Chyba przesadzasz, Thomasie...

Thornton nie dał jej dokończyć.

- Uwaga Thomasa jest słuszna. Mam w związku z tym plan. Zagrajmy podobnie jak Adele, a być może dopisze nam szczęście. Morag przedstawi was londyńskiej socjocie jako dzieci jednego z jej przyjaciół i dopilnuje, żeby hrabia Wroxham z żoną znaleźli się na przyjęciu wydanym z tej okazji.

- Nie rozumiem.

- Założysz medalion. Zobaczymy, jak na to zareaguje hrabia. Często atak jest lepszą taktyką niż obrona.

- Thornton, stajesz się coraz bardziej podobny do swojego ojca - zauważyła Morag.

- Dzięki, babciu.

Caroline miała wątpliwości, czy Thornton powinien potraktować to jako komplement, jednak ze względu na perspektywę zajęcia przez Thomasa należnego mu miejsca w społeczeństwie nie chciała zgłaszać obiekcji. Zresztą była przekonana, że Thornton dobrze wie, co robi.

- Otworzymy nasz rodzinny dom w Mayfair - zaczęła snuć plany Morag. - Zaprosimy również Leonarda. Oczywiście nie obejdzie się bez wizyt u krawcowych i krawców. Oboje potrzebujecie odpowiedniej garderoby. Zaangażujemy też fryzjerkę i nauczyciela tańca.

Caroline pochwyciła spojrzenie Thomasa, podczas gdy stara dama kontynuowała wyliczanie niezbędnych przygotowań. Nagle uderzyło ją coś nadzwyczajnego. Przecież to nam się należało od urodzenia, uznała. Te wszystkie ekstrawagancje i luksusy. Po tylu latach biedy ta myśl miała posmak gorzkości.

Rozdział siedemnasty

Jeszcze nigdy w życiu Caroline nie miała na sobie czegoś tak pięknego. Stała nieruchomo, a przysłana przez londyńską krawcową dziewczyna upinała szpilkami ostatnie poprawki. Zaledwie skończyła, na dole dał się słyszeć głos Thorntona. Od przyjazdu do Londynu spędzali ze sobą każdą noc, ale bardzo rzadko zjawiał się w domu babki w ciągu dnia, bo tak nakazywały zasady obowiązujące w towarzystwie. Dlaczego przyszedł teraz?

Przeczytała bilecik przyniesiony przez pokojówkę. Thornton prosił, żeby jak najszybciej zeszła do salonu, bo musi z nią porozmawiać.

Był sam. Stał przy oknie z opaską na oku i wysoko postawionym kołnierzem. Caroline zrozumiała nagle, ile musi go kosztować przyjazd do Londynu i poddawanie się rygorom londyńskiej rozplotkowanej socjety, która była mu obmierzła.

Wziął ją za rękę i przyciągnął blisko do siebie.

- Szkoda, że nie możemy pojechać do domu - odezwała się Caroline.

- Ja też żałuję.

Jego ton zaniepokoił Caroline.

- Czy powstał jakiś problem?

- Nie jestem pewien - mruknął. Podeszedł do drzwi i je zamknął. - Wczoraj byłem u Halsteadów. Bez wątplenia Adele jest krętaczką, ale wiek i pozycja towarzyska trochę ją odmieniły.

- Może zrozumiała, że prędzej czy później prawda wyjdzie na wierzch.

- A może to nie ona strzelała do ciebie na ścieżce. Caroline szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

- Ale kto inny mógł to zrobić? Komu innemu przeszkadzam?

Patrząc na Thorntona, Caroline uzmysłowiła sobie, że on już wie. Właśnie się tego domyślił. Przestraszyła się.

- Babka jest z Alekssem w ogrodzie. Idź do niej, Caroline, i skłoń ją pod byle jakim pretekstem, żeby poszła do twojego pokoju. Zostańcie tam, dopóki po was nie przyjdę.

Nie pytała o wyjaśnienia. Zauważyła, że Thornton przyjął to z ulgą.

- Daj mi godzinę - poprosił. - Obiecuję, że wszystko wyjaśnię. Zamknij na klucz drzwi do swojego pokoju i nie otwieraj, póki nie usłyszysz mojego głosu.

Idąc przez ogród, Morag cały czas narzekała na swoją niesprawność. Uderzenia laski, którą się podpierała, wchodząc na schody, towarzyszyły niemal każdemu wypowiedzianemu słowu. Caroline niecierpliwiła się, bo wiedziała, że Thorntonowi zależało na pośpiechu.

- Nie jestem już taka jak kiedyś... Pozwól mi odpocząć...

Caroline przyciskała synka do piersi i w duchu modliła się, żeby stara księżna się pospieszyła. Dotarły do wylotu ostatniego korytarza, gdy nagle w ich pobliżu pojawił się Leonard.

- Ależ mnie przestraszyłeś - odezwała się Morag. - Nie spodziewaliśmy się ciebie przed wieczorem.

Choć korytarz był słabo oświetlony, Caroline dostrzegła dziwny wygląd Leonarda. Nad jego ustami perliły się kropelki potu, źrenice były nienaturalnie rozszerzone, oddech miał mdły, słodkawy zapach.

Stał i patrzył. Caroline nawiedziły czarne myśli. Guy de Lerin zażywał opium, ten słodkawy, mdły zapach wyczuwalny od Leonarda był jej znajomy. Wiedziała, co opium może zrobić z człowiekiem. Wyprzedziła Morag i podała jej *synka*.

- Muszę porozmawiać z Leonardem. Czy wasza wysokość mogłaby zanieść Aleksa do mojego pokoju i poczekać tam na mnie?

Stara księżna była zaskoczona, ale zrobiła to, o co była proszona. Od rozmowy z Thorntonem upłynęło nie więcej niż dziesięć minut. Kiedy on się zorientuje, że Leonard wrócił do domu? Nagle Caroline zyskała pewność, że kuzyn stanowi śmiertelne zagrożenie. Przywołała na usta niewinny uśmiech i zaczęła rozmowę.

- Cieszę się, Leonardzie, że cię widzę, bo mam z tobą o czymś do pomówienia. W przyszłym miesiącu chciałabym zrobić niespodziankę starej księżnej, a mianowicie urządzić jej urodzinowe przyjęcie i liczę na twoją obecność. Myślałam o wieczorku tutaj, w Londynie, ale jeśli uważasz, że wolałaby uroczystość w Penleven, wezmę pod uwagę twoją sugestię - paplała Caroline, mając nadzieję, że zyska na czasie i że Morag wraz z Alekssem zdąży schronić się w pokoju.

Był zdziwiony.

- Wiem, że jesteś bardzo zajęty i że czeka cię wiele towarzyskich spotkań w Londynie, ale może... - Urwała. Rzuciła trwożne spojrzenie za jego plecy, zakryła dłonią usta. - Ojej, pajak! Za tobą olbrzymi pajak! - wykrzyknęła.

Obejrzał się za siebie i w tym momencie pchnęła go gwałtownie, tak że stracił równowagę, i uciekła. Nie gonił jej. W tej sekundzie zrozumiała, że popełniła fatalny błąd. Alexander! Leonardowi chodziło nie o nią, tylko o synka.

- Thorn!

Rzuciła się w stronę swojego pokoju, krzycząc przeraźliwie, żeby ostrzec Morag. W drzwiach zrozumiała, co się wydarzyło.

Babka Thorntona leżała na podłodze i wiła się jak lalka poruszana niewidocznymi sznurkami, zanim nagle znieruchomiała. Z głębi pokoju dobiegał płacz Alexandra.

Nagle wszystko ucichło, ogarnęła ją ciemność.

Odzyskała przytomność w powozie. Miała ręce skrepowane sznurkiem. Naprzeciwko siedzieli dwaj mężczyźni, których nie znała. Jeden z nich, z którego

ucha zwisał okazały okrągły kolczyk, trzymał na kolanach śpiącego Alexandra. Caroline ogarnęło przerażenie. Związane do tyłu ramiona utrudniały swobodne oddychanie, czuła pulsujący ból kości policzkowej.

- Dlaczego to robicie? - Nie mogła rozpoznać swojego głosu.

Żaden z nich nie odpowiedział.

- Zapłacę wam dwa razy tyle, ile macie dostać. Trzy razy tyle, jeśli zawieziecie nas z powrotem do domu.

Patrzyła to na jednego, to na drugiego, próbując znaleźć jakiś ślad ludzkiego uczucia na ich twarzach. Nadaremnie. Obaj wyglądali jednakowo nieprzystępnie.

- Jeśli zawieziemy cię do domu, ptaszynko, zgnijemy w mamrze.

- To zostawcie mnie w najbliższym miasteczku. Obiecuję wam sowitą nagrodę. Przysięgam.

Roześmieli się.

- Zadowolimy się tym, co za ciebie dostaniemy w burdelu w Gloucester, i to bez żadnych komplikacji.

Pobladła.

- A co z moim synem?

- Przygarną go w sierocińcu.

Dotknął kciukiem gładkiej buzi dziecka. Caroline ogarnęła zgroza. To szaleńcy, pomyślała. Wieźli ją i jej dziecko Bóg wie dokąd.

- Na waszym miejscu zastanowiłabym się, czy nie lepiej zwrócić się o nagrodę do księcia Penborne'a. Dostaniecie hojną zapłatę, jeśli wrócimy do domu. Obiecuję, że nikt wam nie będzie stawiał żadnych pytań na temat waszego udziału w porwaniu.

- Człowiek, który dał nam złoto, uprzedzał, że tak będziesz mówiła.

Powiedział, że jesteś kochanką księcia, który nie zamierza się z tobą ożenić. Nie masz także dostępu do fortuny Lindsayów, a książę jest tobą znudzony.

- I uwierzyliście?

Spostrzegła, że jeden z porywaczy, ten z kółkiem w uchu, wyciągnął z kieszeni buteleczkę opatrzoną napisem „Nalewka opium”. Ostatnie, co zachowała w świadomości, to płacz Alexandra zaniepokojonego jej okrzykami protestu.

Ocknęła się w pokoju pomalowanym na ciemnoniebiesko. Jej suknia znikła. Włożono jej halkę, której dekolt obnażał piersi do połowy. Każde poruszenie głowy powodowało tępy ból pod czaszką. Palcami wymacała na szyi medalion. Sięgnęła do jego zapięcia.

Nie zabrali jej medalionu? Nie mogła wprost uwierzyć, że dopisało jej szczęście. Alex leżał obok na łóżku. Miał zamknięte oczy, nie ruszał się. Powodowana nagłą obawą, zbadała jego puls. Bił normalnym rytmem. Po prostu spał. Gdzie tu znaleźć coś do pisania? W pobliżu kominka leżały resztki podartej gazety. Wstała i ostrożnie podeszła do paleniska. Za drzwiami usłyszała głosy. Oddarła niezadrukowany kawałek gazety i węglem z kominka napisała na nim:

Własność Thorntona Lindsaya, księcia Penborne'a.

Włożyła złożony papierek do środka medalionu. Medalion umieściła w powijakach, którymi był owinięty Alex. Boże, pozwól, żeby ktoś to znalazł. To nasza ostatnia nadzieja.

Do pokoju weszła rudowłosa kobieta w średnim wieku. Miała na sobie suknię Caroline.

- Na imię mi Clara - odezwała się cicho. - Jesteś w Gloucester. Z taką gładką skórą będziesz miała powodzenie u klientów, chociaż nie jesteś już dziewczicą.

- Klientów?

- To burdel, moja droga. Nawet takie dobrze wychowane panienki jak ty wiedzą, co się tu robi. Za cztery dni właściciel wróci z Londynu i pierwszy się z tobą prześpi.

- To niemożliwe... Nigdy dobrowolnie...

Kobieta nie dyskutowała z Caroline. Podłożyła jej dłoń pod kark, drugą na siłę otworzyła usta i wlała do gardła tę samą gorzką nalewkę, do której wypicia zmusili ją porywacze w powozie.

- Dobrowolnie nie, ale upojona opium... to inna sprawa. Po kilku miesiącach nie będziesz miała odwrotu. Jaki mężczyzna przyjmie cię znowu do siebie?

- Thornton.

W nim nadzieja. Caroline zdążyła jeszcze zauważyć jakąś staruchę, która wyniosła z pokoju zawiniątko z jej synem, zanim zapadła w nicość.

Była otumaniona, ręce i nogi miała jak z waty. Obok niej rozbierał się mężczyzna, jedną ręką unosił jej halkę. Czuła jego zimne palce na udach.

To nie Thornton. Nie godziła się na to.

- Proszę... - zaczęła go błagać.

- Niecierpliwisz się, kwiatuszku. Jak miło widzieć taki zapal u nowej dziewczyny.

Roześmiał się. Dostrzegła, że brakowało mu niemal połowy uzębienia, reszta była w żółto-czarnym kolorze.

Położył się obok. W świetle świec zauważyła jego lubieżny wzrok wpatrzony w jej piersi wyłaniające się z rozmamłanych koronek.

W tym momencie drzwi rozwarły się na całą szerokość.

Słychać było odgłosy szamotaniny i bijatyki, czyjeś okrzyki i nagle wszystko zaczerwieniło się od krwi.

Jej krwi? Próbowała skoncentrować wzrok, wstać, ale nie mogła się ruszyć. Nie była w stanie poruszyć ustami, rękami. Tak wygląda śmierć? Taka straszna duszność i ciemność?

- Caroline?

Usłyszała swoje imię z oddali. Nagle znowu mogła oddychać, już nie przygniatał jej ciężar.

- Caroline.

Teraz słyszała wyraźniej, bliżej. Potrząsnęła głową i zaczęła lepiej widzieć. Nad nią stał Thornton, za nim Thomas, a obok wysoki siwowłosy mężczyzna.

Znajomy?

- Caro?

Łzy zaczęły płynąć z oczu Caroline.

- On mnie prawie...

Wyciągnęła ramiona do Thorntona. Pochwycił ją z całej siły w swoje.

- Alexander? - zapytała przez łzy.

- Jest w Penleven pod opieką Morag. Twoja notatka została znaleziona, kochanie. Alex jest bezpieczny.

- To... był... twój kuzyn.

- Wiem. Zastrzelił się, gdy odkryłem, jaką odegrał w tym rolę. To było zaraz po tym, jak ty go zdemaskowałaś, ale już ciebie z dzieckiem wywieziono.

- Adele?

- Okazało się, że o niczym nie wiedziała. Jej grzechem była tylko chciwość. Thornton otulił kocem Caroline. Czekał, aż przestanie się trząść.

- Mama poprosiła Adele, Francuzkę mieszkającą w Londynie, żeby skontaktowała się z hrabią Wroxhamem - przystąpił do wyjaśnień Thomas. - Dała jej medalion, który miał mu uświadomić, kim jesteście.

Wysoki jasnowłosy mężczyzna położył dłoń na ramieniu Thomasa.

- Jestem Maxwell Halstead, Caroline, wasz ojciec. Wyjaśnię ci to.

- Ojciec?

Uzmysłowiła sobie, że jest podobny do wizerunku młodzieńca, utrwalonego na miniaturze umieszczonej w medalionie.

Caroline bez wahania uchwyciła jego dłoń. Nie są już sierotami. Może nawet są kochani? Potwierdzały to łzy widoczne w jego oczach. Takich samych oczach jak jej własne: ciemnoniebieskich.

- Wasza matka i ja pobraliśmy się. Uciekliśmy do Gretna Green, ale już po paru godzinach moi rodzice nas odnaleźli - powiedział hrabia, najwyraźniej mocno poruszony. - Miałem zaledwie osiemnaście lat. Nie potrafiłem przeciwstawić się zaborczości matki. Wstydzę się teraz. Eloise St Clair - zawahał się, jakby się zastanawiał, jakich słów użyć - przywiązywała wielką wagę do wartości materialnych, a kwota, którą zaproponowała jej moja matka, była znaczna. Gdy uciekła na kontynent, Wroxhamowie użyli swoich wpływów i pieniędzy, by nie wyszło na jaw nic, co splamiłoby honor hrabiowskiego rodu.

- Urodziła nas.

- Przysięgam, nie wiedziałem, że była w ciąży, dopóki Thornton nie przyprowadził wczoraj do mnie Thomasa i nie przekonałem się na własne oczy, że to mój syn.

- Twoja druga żona... nic nie wspominała... o medalionie?

- Adele Halstead - wtrącił Thornton - wyjechała dzisiaj rano z Anglii. To ona porwała Thomasa w Exeter, ale nie potrafiła się ostatecznie zdobyć na to, żeby pozbawić go życia. Dlatego okazaliśmy jej łaskę i pozwoliliśmy opuścić kraj.

Adele Halstead wyjechała, a Leonard Lindsay nie żyje, pomyślała Caroline, to koniec ich niedoli i nowy początek. Stoją za nią murem trzej mężczyźni, którzy byli dla niej najważniejsi.

- Kiedy dowiedziałeś się... o swoim kuzynie? - zapytała Thorntona, który ukląkł obok niej.

- Po wizycie u Adele Halstead zacząłem się zastanawiać, kto był w pobliżu ciebie za każdym razem, gdy dochodziło do wypadku. Wczoraj rano wreszcie sobie uzmysłowiłem, że Leonard. Poszedłem do jego pokoju, żeby z nim porozmawiać, ale go nie zastałem. Pokojówka powiedziała mi, że wyszedł do ogrodu, a gdy wróciłem...

Thornton nie dokończył i po dłuższej chwili dodał:

- Kocham cię, Caroline. Gdybym cię utracił... - Był do głębi poruszony.

Zacisnęła palce na jego dłoni i tak trwali, złączeni teraz i na zawsze. Zawiązuje się nowa rodzina. Caroline była pewna, że kiełkuje w niej nowe życie. Dziewczynka. Dostanie na imię Lilly. Siostra Alexandra.

Nie mogła powstrzymać łez.

Epilog

- Thorn, jak mnie odnalazłeś?

Leżeli w łóżku w gospodzie w Gloucester. Byli razem i nie zagrażało im żadne niebezpieczeństwo.

Splotła nogi pod prześcieradłem z jego nogami. Było jej ciepło. Uśmiechnęła się radośnie, gdy ramieniem przyciągnął ją mocno do siebie.

- Alex został podrzucony w kościele przy dokach portowych. Kapłan znalazł medalion ukryty w jego kocyku i zawiadomił policję. Tak się szczęśliwie złożyło, że niegodziwiec, który go podrzucił, spił się w miejscowej gospodzie i został szybko zdemaskowany i aresztowany.

Caroline wzdygnęła się. Równie dobrze wszystko mogło się skończyć zupełnie inaczej.

- Nikt już nam nie zagrozi, kochanie. To było szaleństwo ze strony Leonarda. Myślę, że spowodowane nadużyciem opium, od którego był uzależniony. Narkotyki oraz zazdrość pozbawiły go zdrowego rozsądku.

- Tak nagle?

- Nie. Jak się nad tym bliżej zastanowić, trwało to od pewnego czasu. Nie mógł przeboleć utraty widoków na przejęcie Penleven. Wiesz przecież, że gospodarował tam jak na swoim przez te lata, gdy nie było mnie w Anglii, i siebie widział w roli pana zamku. Przekonał się, ile dla mnie znaczysz, i uzmysłowił sobie, że Alex może zostać moim spadkobiercą... To przeważało szalę.

- Byłeś jego jedynym krewnym?

- Morag i ja byliśmy jego jedyną rodziną. Rodzice odumarli go bardzo wcześnie i spędził w Eton prawie tak samo długi czas jak ja.

- Byliście razem w Eton?

- Nie. Był ode mnie cztery lata starszy. Nasze drogi się rozminęły.

Caroline pochyliła się nad Thorntonem. Uśmiechnął się tak radośnie i wyglądał tak przystojnie, że Caroline nie mogła powstrzymać okrzyku zachwytu. W łagodnym świetle świec jego blizny były prawie niewidoczne, a bez opaski na oku wyglądał tak, jakby był uleczony.

Miała nadzieję, że tak było istotnie. Uleczony jej miłością.

Ucałowała jego nos, policzki, skronie.

- Gdyby coś ci się kiedyś przydarzyło, kochanie... - powiedział chropawym głosem.

- Nic się nie przydarzy.

- Obiecujesz?

Zamiast odpowiedzieć, wzięła leżący na nocnym stoliku medalion i zawiesiła go na szyi.

- Jutro zacznę malować miniatury nas obojga i włożę je do środka.

- I zostaną tam na zawsze - wyszeptał.

- Tak - przytaknęła i zamknęła mu usta gorącym pocałunkiem.

